

KAI HERMANN

MIŁOŚĆ W BERLINIE

Współautor
bestselleru
*My, dzieci
z dworca Zoo*

Świat Książki

KAI HERMANN

MIŁOŚĆ W BERLINIE

Z niemieckiego przełożył Piotr Kostarczyk

Wyłączyć to przeklęte słońce! Zasnąć znowu!

Bez szans.

Wstrętna mieszanka tytoniu, pigulek, alkoholu i tym podobnych wypełniała głowę i spoczywała grubą warstwą na języku. Chaotyczne, niewyraźne wspomnienia nie dawały spokoju.

Całowała się z tym idiotą, to fakt. I co, może powinna była jeszcze dać mu się zerznąć? W porządku, przytrzymała jego rękę. A on po prostu wstał i poszedł.

Wkurzył się. Gówniana sprawa.

Gdy człowiek budzi się po takiej nocy, jedyne, czego pragnie, to szybka śmierć.

Joe bardzo chciało się siusiu. Na szczęście, zanim człowiek na dobre zadreńczy się życiem, może jeszcze koncentrować się na tysiącu innych drobiazgów. Na przykład: by pójść do toalety.

Joe miała właściwie na imię Johanna, ale tak zwracała się do niej tylko mama, i to wyłącznie wtedy, gdy się złościła. Dziś znów to uczyni. Mocno zaakcentuje drugą sylabę.

Będąc w przedpokoju, Joe usłyszała głosy.

- O nie, tylko nie to! - jęknęła.

Mama i jej przyjaciel okupowali łazienkę jak prawie w każdą niedzielę rano. Już sama myśl o tym doprowadzała Joe niemal do szału - mama w wannie z tym tępym ochlapusem! Co oni tam, do diabła, wyprawiają? Też coś - mama z takim typem! A wszystko tylko dlatego, że samotne noce są dla niej czymś przygnębiającym. Po prostu chore.

Gdy tak siedzą w tej wannie, potrafią gadać wyłącznie o cenach benzyny, molestowaniu seksualnym nieletnich albo nowych gwiazdach telewizyjnych. Ale nie dziś.

Joe usłyszała swoje imię. I za chwilę głos mamy:

- Już sama nie wiem, jak mam z nią postępować. A potem ten typ, miał na imię Mikę, odezwał się:

- Porozmawiam z nią. W końcu ma już piętnaście lat. W każdym razie tak dalej być nie może. I kto to widział spać do południa!

- Ja już sobie z nią nie radzę - poskarżyła się mama. I zaraz typ rzekł poważnie:
- Pozwól mi się tym zająć.

Joe szybko wróciła do swego pokoju. To już koniec -pomyślała. Jej własna matka nasyłała na nią swojego gacha. Czyżby się poddała? Joe nie chciała o tym dłużej myśleć, inaczej zwymiotowałyby. Najpierw jednak musiała zrobić siusiu.

Oczywiście już dawno temu przestała wierzyć, że wszystko się jakoś ułoży. Ale że jej ojczymem będzie najgorszy typ w całym Berlinie? To brzmi jak żalosna farsa. Joe wtuliła twarz w poduszkę.

- Ech, mamó! Tak bardzo cię kocham, przecież sama wiesz - szeptała do siebie. - Czy naprawdę chcesz przysłać tu tego typa? Błagam, nie rób tego. Każ mu trzymać się z daleka albo pchnę go nożem. - Wyobrażnia często podpowiadała Joe dramatyczne rozwiązania.

Rozległo się pukanie. Joe stanęła obok łóżka. Sztywna i blada. Mniej więcej jak ten marmurowy posąg anioła, który widziała na cmentarzu. Po chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł Mike. Na odległość kroku.

- Co ja widzę! Już się wyspaliśmy?
- Nie słyszałam, żeby ktoś powiedział: „Proszę!” - odparła lodowato.

Intruz miał na sobie stary biały płaszcz kąpielowy mamy, o wiele dla niego za wąski i zbyt krótki. Jego cienkie, blade nogi wyglądały niezwykle komicznie w połączeniu z wieńczącym je, wydatnie uwypuklonym brzuchem.

- I po co od razu taka agresja - rzekł.

- Muszę do ubikacji. - Joe skierowała się ku wyjściu. Lecz on stał na szeroko rozstawionych nogach, tarasując drogę. Gdyby mimo wszystko zdecydowała się przejść, musiałyby go dotknąć. Na pewno by ją zatrzymał, a wtedy zwymiotowałyby.

- Skąd ten nagły pośpiech? - zapytał. -1 to w przypadku kogoś, kto wraca do domu o czwartej nad ranem?

No tak, zawsze musiał wyjechać z czymś podobnym. A mamę to bawiło.

Joe zdołała się opanować.

- Jesteś ostatnią osobą, którą powinno obchodzić, kiedy wracam do domu.
- Nic podobnego, droga panno. Obchodzi mnie, i to bardzo, gdy twoja matka

przez całą noc oka nie może zmrużyć ze zdenerwowania. Bo córeczka szlaja się po mieście do rana.

Już przy „droga panno” Joe powinna była wybuchnąć. Zrobiła to przy „córeczce”. Ten facet budził w niej coraz większą nienawiść i obrzydzenie.

- Od moich stosunków z mamą trzymaj się lepiej tak daleko, jak to tylko możliwe. A jeśli masz jeszcze coś do powiedzenia, to się streszczaj, bo mi strasznie chce się lać. Rozumiesz? - Joe rozkoszowała się swoją zuchwałością.

Jakiż on był przeraźliwie żalony! I jak się przed nią napuszył!

- Dobra, posłuchaj uważnie. Od dziś koniec ze szwendaniem się po nocy. Jasne? Szlus. Nieodwołalnie.

- Mówiłeś coś czy mi tylko w uchu dzwoniło? - Joe zachowywała się coraz swobodniej.

- Od tego momentu naprawdę koniec. Nieodwołalnie! - powtórzył głośno.

Joe zrobiła krok w jego stronę. Pierwszy raz spojrzała mu prosto w oczy.

- A w ogóle to czemu cały czas tak mi się przyglądasz? Na pewno podnieca cię, że jestem w koszuli nocnej, co?

W końcu nie wytrzymał.

- Ale z ciebie sztuka, nie ma co! To właśnie cała ty! - ryknął.

Naprawdę powiedział „sztuka”? Co za obleśny typ! Za chwilę dodał:

- Naćpać się i do łóżka, co?! W wieku piętnastu lat?! Nie powinien był tego mówić. I to po tej strasznej nocy. Ale Joe nie miała najmniejszego zamiaru ustępować bez walki.

- A co - wzruszyła ramionami. - Jeśli mnie to rajcuje, to czemu nie?

Tamtego aż zatkało.

- Co? Jeszcze się przyznajesz? Spisz, z kim popadnie, i... i...

- A ty co? Myślisz, że nie widzę, jak się na mnie gapisz? Od rana czuję na sobie twój obleśny wzrok.

Teraz on zrobił krok w jej stronę. Stanęli oko w oko.

- No, przyznaj się, najchętniej sam byś mnie przeleciał, co?

Nie poczuła bólu. Właściwie nie zauważyła nawet, co się stało. Runęła do tyłu na

łóżko. Przyłożyła dłoń do twarzy. Chwilę potem poczuła, że z nosa leci jej krew.

- Przykro mi, ale sama się o to prosiłaś. - Jego głos dobiegł do niej z daleka.

To prawda, co mówią - pomyślała. Po silnym ciosie rzeczywiście widzi się gwiazdy. Krew bez przeszkód kapłała na białe prześcieradło. Czowała swego rodzaju przyjemność, obserwując szybko rosnące czerwone plamy na śnieżnobiałym tle. Oczy miała mokre od łez, ale nie płakała.

Jej wyobrażenia znów zaczęła pracować. Jaka szkoda, że nie uderzyła skronią w twarde kant łóżka! Za chwilę zjawiłaby się mama. Zobaczyłaby swoją córkę leżącą na podłodze, wpatrującą się pustym wzrokiem przed siebie. I ta wypływająca z kącika ust cienka strużka krwi. Potem wpada policja. Aresztują tego typu, a mamę zabierają ze sobą. Zaraz by się na pewno załamała. I już nigdy nie kąpałaby się z żadnym obcym facetem w wannie. Co trzeci dzień przynosiłaby świeże kwiaty na grób córki.

W tym momencie do pokoju weszła mama. Spojrzała na krew na prześcieradle i rzuciła tylko:

- No cóż, Johanna. Najwyraźniej masz, czego chciałaś. Joe usiadła na łóżku i zasłoniła twarz włosami. Jako mała dziewczynka robiła tak, gdy pragnęła stać się niewidzialna lub w ogóle zniknąć. Krwawienie z nosa ustało. Minęła dłuższa chwila, nim zrozumiała, co się właściwie stało. Koszula nocna była kompletnie przemoczona. Na materacu widniała ogromna plama. Śmierdziało jak w dyskotekowym kiblu.

To nie mogła być prawda. Wszystko, tylko nie to. Joe rozpaczliwie próbowała poukładać w głowie skołatane myśli.

Kiedyś, gdy miała siedem czy osiem lat, zdarzało się jej czasem zmoczyć łóżko. To był absolutny horror. Podobne wydarzenia wywołują zazwyczaj w małych dzieciach niskie poczucie własnej wartości. Wtedy również była to wina ówczesnego partnera mamy. Dziecko jednak nie potrafi tego zrozumieć. Mama oczywiście nie opowiadała szkolnemu psychologowi o swoich związkach.

Joe zrzuciła z siebie przemoczoną koszulę i spojrzała na odbicie w lustrze. Uważała, że jest brzydka i ma przeraźliwie mały biust. Cała prawa połowa twarzy była sinoczerwona.

Jaką sentencją ten typ uraczy ją teraz? „Ledwo od ziemi odrosła, a już z brzuchem lata?” Albo coś w tym stylu. Z całą pewnością. A mama pośle mu jeden z tych swoich uśmiechów, przepelnionych z jednej strony oddaniem, z drugiej zaś - udręką. Bo jej również ten typ dał się nieraz we znaki.

Dla Joe jedno było pewne: dziś widziała go po raz ostatni. I już nigdy, przenigdy nie położy się spać w tym zaszczanym łóżku. Z mamą może się jeszcze kiedyś zobaczy.

Joe przez pół godziny stała pod prysznicem, usiłując zmyć ze skóry niewidzialny brud. Zużyła na to całą butelkę żelu do kąpieli, lecz gdy się dokładnie wytarła, miała ochotę wszystko powtórzyć.

Gdy wylewała do umywalki wodę toaletową Mike'a, drugą ręką ścisnęła sobie mocno nos. To cuchnęło nim bardziej niż on sam. Do pustej flaszeczki zaczęła ostrożnie przelewać „kreta”. Po chwili jednak ponownie przeczytała napis ostrzegawczy znajdujący się na butelce. Wylała zawartość flaszeczki do muszli klozetowej. Ślepotą to nie była dobra kara. Poza tym bardzo by mu to odpowiadało. Mama musiałaby do końca życia być psem przewodnikiem, a ją pewnie zamknęliby w więzieniu. Potem ukazałoby się w gazecie zdjęcie Joe z czarnym paskiem na oczach, tak cienkim, że i tak wszyscy by ją bez trudu rozpoznali. Pod spodem widniałby napis: „Za tą anielsko niewinną twarzą czai się bestia”. Oczywiście, gdyby zdobyli zdjęcie, które zrobił wujek podczas ostatniej Wigilii, to przy choince. Albo zdjęcie w bikini. I ogromny nagłówek: „Wyrównała rachunki za pomocą kwasu”. A obok zdjęcie Mike'a z jego zaszłymi mleczną mgłą oczami - wyglądałby jeszcze bardziej kaprawo niż przedtem. Pod spodem zaś napis: „Kochałem ją jak własną córkę”.

Wyobraźnia Joe znów pracowała na najwyższych obrotach. Zawsze bardzo chętnie włączała stację Fantasy, ilekroć nie miała ochoty na poważniejsze przemyślenia.

Wcisnęła szczoteczkę do zębów i grzebień do kieszeni szlafroka. Chwilę nasłuchiwała w przedpokoju i wślizgnęła się do swojego pokoju. Włożyła ulubione stare dzinsy poprzecierane na kolanie i obcisłe w pupie. Mama padłaby, gdyby je

zobaczyła.

Ale mama już wkrótce nie będzie musiała się wściekać. Joe zaczęła pakować rzeczy do torby podróżnej. Bielizna, T-shirty, skarpety i kilka marek, które zdołała wyciągnąć ze swojej pomalowanej w kwiatki porcelanowej świnki skarbonki. Przez chwilę szperała w starej skrzyni na zabawki. Spod sterty klocków lego wyciągnęła paczkę prezerwatyw. Mama często myszkowała w jej rzeczach, jednak ta kryjówka była jak dotąd niezawodna.

Joe chwyciła swego starego pluszowego misia. Jak wielu innym misiom, także jemu brakowało jednego oka. Wyglądał na szczególnie sfatygowanego, bo ponoć w dzieciństwie często wyrzucała go z wózka. Niebawem miś wrócił na swoje miejsce na regale.

- Ty zostajesz tutaj. Odtąd będziesz musiał sam się o siebie troszczyć.

Joe poczuła się nagle znacznie lepiej. Może nie aż tak dobrze, by uporządkować dwie lub trzy myśli. Nawet nie próbowała. Wszelkie rozmyślenia mają sens jedynie wtedy, gdy jest się w dobrym nastroju. W przeciwnym razie można się tylko bardziej pograżać. Gdy już ci nic nie wychodzi, robisz cokolwiek, byle nie myśleć. Na przykład krzyczysz. Joe postanowiła spakować wyłącznie siedem najważniejszych rzeczy. Nie zadreżczała się masą idiotycznych pytań: Dlaczego? Dokąd? Co potem? Robiła po prostu to, co planowała już od dawna.

Włożyła granatową bluzę z kapturem. Na ramię zarzuciła czerwoną torbę. Uchyliła nieznacznie drzwi do przedpokoju i chwilę nasłuchiwała. W mieszkaniu rozbrzmiewał tylko odgłos telewizora.

Joe ruszyła przez przedpokój. Drzwi do salonu były zamknięte. Jak w każdą niedzielę o tej porze Mike oglądał swój ulubiony magazyn piłkarski „Doppelpass”. Mama siedziała obok i udawała, że również interesuje się futbolem. Choć tak naprawdę patrzyła jedynie z nudów. Potem zwykle szła do kuchni przygotowywać obiad.

Joe przystanęła na chwilę pod drzwiami do salonu, choć bardzo nie chciała tego robić. Z łazienki aż tu dochodziła silna woń wody toaletowej Mike'a.

Minęła szafę, w której wisiała jego śmierdząca kurtka skórzana z Turcji i

jaskrawoniebieski płaszcz mamy, jeszcze z lat osiemdziesiątych. Mama twierdziła, że wygląda w nim młodo, ale się myliła. Joe jeszcze raz rozejrzała się dokładnie dookoła. Przypomniała sobie nagle zapach domu, gdy mieszkały z mamą same. Pachniało wtedy przypalonymi grzankami i olejkiem do kąpieli.

Joe podeszła do kurtki Mike'a i przeczesała kieszenie. Znalazła, dwie pięciomarkówki i kilka drobniejszych monet. Zastanowiła się, czy zrobić to samo z płaszczem mamy, lecz stała już przy drzwiach wyjściowych. Ostrożnie nacisnęła klamkę i za chwilę znalazła się na klatce schodowej. Wolnym krokiem ruszyła po wytartych drewnianych stopniach na dół. Nie starała się nawet robić tego cicho. Miała, być może, nadzieję, że mama wybiegnie za nią i przerażonym głosem zawoła: „Proszę, nie rób tego! Wróć do domu!”. Lecz Joe nawet by się nie obejrzała.

Ściany klatki schodowej miały kolor brązowy. Nie był to nawet jasny brąz, lecz po prostu brąz. Chyba najbardziej przygnębiający kolor, na jaki można pomalować klatkę schodową. Ścianę na parterze pokrywały szczelnie napisy w stylu: „Melania kocha Grzesia”. Były też serca, penisy i jeszcze mocniejsze rzeczy. Najbardziej plugawe bazgrały Joe zawsze zamazywała. Zwłaszcza te, które dotyczyły jej samej. Na tej klatce spędziła całe swoje dzieciństwo.

Wyszła na zewnątrz. Na zawsze, mniej więcej. Na ogół podobna decyzja bywa dość bolesnym przeżyciem, lecz Joe na razie wyczerpała swój zasób emocji. Czuliła się wolna, lecz w głowie miała kompletną pustkę. Ucieczkę z domu zawsze wyobrażała sobie o wiele bardziej dramatycznie.

Ulica ziała pustką. Mężczyźni oglądali mecz, kobiety przygotowywały obiad. Starsze dzieci jeszcze dosypiały albo kąpały się, ziewając. Dla młodszych takie niedzielne przedpołudnie to czas totalnej nudy.

Joe nie miała pojęcia, dokąd się udać. I nie miała najmniejszej ochoty o tym myśleć. Minęła „Green Card”, nową knajpę, która wyglądała na bardzo drogą i zupełnie nie pasowała do okolicy. O tej porze przebywało tam niewielu gości. Joe przechodziła tędy wiele razy, również w niedzielę, w porze śniadania. Można było stanąć na przystanku i obserwować ludzi, dla których nie stanowiło problemu wydanie dwunastu marek za śniadanie. Przeważały pary. Jeszcze nieco zamroczone

po zeszłej nocy, lecz całkowicie zrelaksowane. Nie rozmawiały wiele, czasem szczerzyły się do siebie w błogim uśmiechu. Zachowywały się tak, jakby przeżyły sto orgazmów i zbierały właśnie siły na sto następnych. I nikt nie powinien w to wątpić.

Joe nie znosiła tego widoku, gdy przystawała na przystanku sama, tępo wpatrując się w wystawy sklepowe. Nie siedziała z jakimś typem i nie jadła śniadania, przeżywszy właśnie sto orgazmów.

Tego ranka Joe nie zatrzymała się na przystanku. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Często mijaly ją wozy patrolowe, lecz dźwięk syren policyjnych był w niedzielę rzadkością. Przed „Kaisersem” stała grupka skinów i zgrywała ważniaków. W tej okolicy było ich wielu. Joe знаła kilku z tej grupki. Właśnie zamierzała przejść na drugą stronę ulicy, gdy jeden z nich zauważył ją i zawołał: - Hej, Joe! Chodź do nas! Osobnik nazywał się Killer, w każdym razie tak na niego wołali.

Lepiej nie mieć na pieńku z nazistami, zwłaszcza gdy mieszkało się w okolicy. Joe nie przepadała za nimi, choć tutejsi skini nie byli chyba z tych, co to katują bezdomnych. Tak jej się przynajmniej wydawało. Niektórych znała jeszcze z podstawówki. Nie potrafili porozmawiać sam na sam z dziewczyną i w ogóle zrobić cokolwiek samemu. Dlatego zawsze trzymali się w grupie i najczęściej wystawali pod piwiarnią.

Joe odruchowo skierowała się w ich stronę, choć nie miała najmniejszej ochoty z nimi gadać. Ale taka już była - czasami zdarzało jej się słuchać bezmyślnie różnych idiotów. Łysych albo nauczycieli w szkole, albo choćby tego Mikę'a. Raz chciała pokazać mamie zeszyt z pracą klasową. Wtedy Mikę odezwał się: „Daj mi go”. I podała mu automatycznie swój zeszyt. Potem była wściekła.

Gdy Joe podeszła do skinów, Killer zapytał:

- No co jest, nie dostanę buzi?

- Nie radzę. Strasznie mi jedzie - odparła. Starła się stanąć tak, by nie dostrzegli siniaka na jej twarzy.

Jeden z łysych beknał siarczyście, wzbudzając wśród pozostałych spontaniczną wesołość.

- Idziesz z nami? Kroj się zadyma - oznajmił Killer.

- Jak to?

- Azjaci aż się proszą, żeby im nakopać. Za dużo pyskują ostatnio przeciwko nam.

- ' Nie mam czasu - odparła Joe. - Tylko bądźcie grzeczni. Cześć. - Zachowywała się tak, jakby strasznie jej się gdzieś spieszyło.

Nie ma chyba nic bardziej nużącego niż niedzielny spacer przez Friedrichshain*. Zwłaszcza gdy nie wiadomo, dokąd się idzie. Żadnych wystaw sklepowych, same psie gówna. Cała atrakcja to jaskrawe oflagowanie sklepu z używanymi samochodami.

Na rogu ulicy, przed sklepem z samochodami, klęczał na chodniku jakiś chłopak. Na pierwszy rzut oka wyglądał na punka. Najwyraźniej nie był stąd. Joe przyjrzała mu się uważnie. Miał zakrwawioną twarz. Spostrzegłszy to, Joe przyspieszyła kroku. Gdy go mijiała, spytał:

Dzielnica Berlina (przyp. tłum.).

- Nie masz może drobnych? Muszę zadzwonić po karetkę.

No tak. Normalnie można w niedzielę całymi godzinami łązić po mieście i nie spotkać żadnego znajomego, nikogo, z kim można by zamienić choć jedno słowo. Nawet robotnik budowlany nie zagwiżdże na twój widok. Po prostu nikomu nie jesteś potrzebna. A gdy akurat nie masz ochoty z nikim gadać, jakiś obcy typ zaczepia cię na ulicy.

Joe sięgnęła automatycznie do kieszeni. Ten chłopak nic jej przecież nie obchodził. Podała mu monetę.

- Łysi? - spytała.

- Nie. Gliny - odparł.

Rana na jego czole nie wyglądała najlepiej. Wciąż krwawiła. Chłopak przetarł twarz brudną chustką. Joe podała mu papierową chusteczkę.

- Powinieneś coś z tym zrobić - rzekła. - To wygląda dość poważnie.

Chłopak nie zareagował. Wyjął z kieszeni szcztura i wtulił zakrwawioną twarz w jego futerko. Pocałował go i posadził sobie na kolanie.

Joe kucnęła odruchowo i przyjrzała się zwierzęciu.

- Ale on słodki!

- Słodki? - Chłopak włożył pozbawione jednego szkła okulary i przyjrzał się jej uważnie. Joe odwróciła gwałtownie głowę, chcąc ukryć siny ślad.

- Łysi? - spytał chłopak.

- Nie, mój ojczym - odparła.

- No, no.

Wstała gwałtownie i zarzuciła torbę na ramię. Właściwie nie wiedziała, czemu w ogóle przy nim kucnęła i na dodatek zaczęła zwierzać się ze swoich problemów.

- Gdybyś chciała się go pozbyć na dobre, daj mi znać.

- Nie powinienes tu sterczeć. W okolicy kręci się pełno skinów - poradziła.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Musisz się stąd wynosić.

Chłopak wykonał gest obojętności. Jednak, niby od niechcienia, rozejrzał się wokoło.

- Dzięki - powiedział.

Joe odeszła bez słowa. Wokół kręciło się sporo wozów patrolowych. Czowała się o wiele pewniej, będąc z dala od tego typu. Pewnie to jakiś dupek, choć może na pierwszy rzut oka na to nie wyglądał. Joe przypomniała sobie, jak się przez te swoje sfatygowane okulary na nią patrzył. Uważała, że oczy są bardzo ważne u chłopców. Oczywiście nie tylko oczy. Ten chłopak miał dziwnie szydercze spojrzenie, choć musiał zapewne czuć się podle. Może to był jednak dupek. Na pewno zarozumialec. Patrzył na nią tak jakoś z góry. Tylko szczura miał fajnego.

Joe zastanawiała się przez moment, czy w ogóle ma jakiś plan. Nie miała żadnego. Może rzuci się wieczorem pod pociąg. Nie, to chyba nie wchodziło w grę. Nie czowała się aż tak bardzo przygnębiona, ale szczęśliwa też nie. Właściwie nie czuła nic. Spojrzała w niebo. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień. Wcześniej tego nie zauważyła. Słońce świeciło już mocno, z rzadka kryjąc się za pojedynczymi chmurami. Było tak ciepło, że nie marzły jej nawet koniuszki palców jak zazwyczaj. Zaczął się maj.

Dotarła do cmentarza. Przeszła przez bramę, tak po prostu. Na ogół wizyta na

cmentarzu kojarzy się z powagą i smutkiem. I choć nie wydaje się jakimś szczególnie niesamowitym miejscem, na ogół ludzie, odwiedzając go, są onieśmieleni i rozmawiają po cichu. Tego dnia Joe poczuła się zupełnie dobrze, gdy spacerowała między grobami.

Usiadła na jednej z ławeczek. Zadumała się, patrząc na kwitnące drzewa. Dotąd nie przypuszczała, że jest aż tyle rodzajów zieleni. Pewnie tysiące, jeśli wliczyć w to drzewa Afryki, Azji czy Amazonii.

Potem zaczęła się zastanawiać, jak to się dzieje, że spotyka się dwoje ludzi, którzy w tym samym czasie oberwali po głowie. Przypadek? Nie wiadomo. Może.

Joe wydawało się, że siedzi na tej ławce całą wieczność.

Nie była niezadowolona, gdy przysiadła się do niej starsza kobieta. Po tak długim czasie na opustoszałym cmentarzu zaczynała już czuć się dość samotnie. Poza tym starzy ludzie nigdy tak naprawdę jej nie wnerwiali. Nawet jej dziadkowie.

- Piękny dzień - odezwała się starsza pani.
- Rzeczywiście, piękny - odparła Joe.
- Czy tu pochowano twojego dziadka albo babcię? - spytała kobieta.
- Tak - skłamała Joe.
- Ale masz jeszcze innego dziadka i babcię?
- Wszyscy odeszli bardzo wcześnie.

Joe właściwie nie potrafiła kłamać, od razu strasznie się czerwieniła. Miała za to dar opowiadania i wszyscy wierzyli w każde jej słowo.

- Przypominasz mi moją najmłodszą wnuczkę. - Kobieta najwyraźniej chciała zmienić temat.

Ale Joe spodobało się rozmawianie o śmierci. Czy cmentarz nie był do tego najlepszym miejscem?

- U nas w rodzinie wszyscy mają chorobę dziedziczną i wszyscy bardzo wcześnie idą do piachu.

- A twoi rodzice?
- Odeszli dawno temu.
- Dobry Boże! To straszne!

- Tak. Jestem zupełnie sama.

Zrobiło jej się trochę przykro, że tak nałgała starszej kobiecie, tym bardziej że wyglądała na całkiem sympatyczną. Było już jednak za późno, by zawołać: *prima aprilis!* Poza tym Joe naraz wyobraziła sobie, że rzeczywiście jest sierotą, i omal się nie rozpląkała.

Starsza pani patrzyła na nią przejęta.

- A gdzie mieszkasz?

- Tutaj, na cmentarzu. Przecież i tak niedługo mnie tu pochowają.

Przyzwyczajam się.

Kobieta spojrzała na nią z jeszcze większym przerażeniem.

- Coś podobnego! A masz ze sobą jakieś rzeczy?

Joe wskazała bez słowa na czerwoną torbę. Miała wyrzuty sumienia. Chyba trochę się zagalopowała. Chociaż właściwie historia jej nie była tak do końca nieprawdziwa. Ale jak tu wytłumaczyć obcej osobie, że rodzinę można stracić również w inny sposób? Na przykład inkasując cios w twarz od zasranego kochanka swojej matki.

- Przecież nie możesz sypiać na cmentarzu. Bóg jeden wie, co może ci się przytrafić - zatroskała się starsza pani.

- A czego miałabym się jeszcze obawiać? - spytała Joe. Jednak na samą myśl o samotnej nocy wśród nagrobków przeszły ją ciarki.

- Rzeczywiście - powiedziała kobieta i nagle wybuchnęła serdecznym śmiechem. Po chwili spytała: - Kłopoty sercowe?

- Niece, skąd - zaledwie pisnęła Joe.

- Najważniejsze, że się nie poddajesz i nie tracisz głowy. Ja w twoim wieku też taka byłam. Wiesz, przekora to jedna z najważniejszych młodzieńczych cnót. Już prawie uwierzyłam, że śpisz na tym cmentarzu.

Kobieta wyjęła z torebki wizytówkę i podała Joe, wyjaśniając, że zrobiła ją jej najmłodsza wnuczka za pomocą komputera. Powiedziała też, że jeśli Joe kiedykolwiek będzie w potrzebie, zawsze może przyjść albo zadzwonić.

Joe oczywiście nie miała zamiaru nocować na cmentarzu. Właściwie to powinna

zapaść się pod ziemię ze wstydu. Nie minęło jeszcze południe, a ona już pogrzyżała się tak głęboko, że wynurzy się chyba w okolicach Nowej Zelandii.

Joe czuła się dziwnie dobrze, siedząc znów samotnie na ławce. Nie było jej przynajmniej głupio. Pomyślała, że ledwo uciekła z domu, a już spotkała na swej drodze jedną z niewielu starszych osób, które nie zachowują się tak, jakby wszystko wiedziały najlepiej na świecie, lecz są naprawdę mądre, i do tego niesamowicie fajne. Takie przypadki zdarzają się raz na sto lat. Ten ranny chłopak pewnie też nie był dupkiem. Powinien pójść do lekarza

Na ulicy pojawiała się coraz więcej patroli policyjnych.

Joe skierowała się w stronę stacji metra Weberwiese. Było raczej pewne, że nie rzuci się pod pociąg. Szła bardzo powoli, głównie dlatego, że teraz już musiała zdecydować, dokąd iść. Najpierw pomyślała o swej najlepszej przyjaciółce, Mareille. Ale ten pomysł mogła sobie od razu wybić z głowy, bo mama na pewno już ją zaalarmowała. Ją i rodziców. Nie obyłoby się bez gadek typu: „Bądź rozsądna, pomyśl o swojej przyszłości, nie możesz zrobić tego swojej matce, pomyśl tylko, ile jej zawdzięczasz”.

Właściwie pozostawały tylko dwie możliwości: iść na północ lub na południe. Do stacji Zoo lub na Alex*. Może jeszcze do Gedachtniskirche**.

Na Alex miała stosunkowo niedaleko, mogłaby dojść pieszo w kilkanaście minut. Ale tego nie uczyniła. Była zbyt leniwa, by przemaszerować całą Karl-Marx-Allee. A zresztą to prawdopodobnie naj ohydniej sza ulica w całym Berlinie. Mama nieraz opowiadała, jak to kiedyś wystrojona chodziła tu na lody i spotykała się ze znajomymi. Była to najelegantsza ulica w całym bloku wschodnim. Nic więc dziwnego, że mama jest taka, jaka jest.

Biologiczny ojciec Joe poderwał jej matkę właśnie na Karl-Marx-Allee. Mama, jak sama opowiadała, nie dała mu kosza tylko dlatego, że znał wszystkich bramkarzy w okolicy i dzięki temu mógł wejść do każdego lokalu. W tych czasach trzeba było mieć znajomości, by dostać miejsce w zwykłej lodziarni.

Niedługo po narodzinach Joe jej biologiczny ojciec wyjechał przez Węgry na Zachód. Dla mamy czas imprez na Karl-Marx-Allee dobiegł końca. Miała zaledwie

dwadzieścia lat. Była całkiem ładna. Oczywiście, że los obszedł się z nią parszywie, ale słysząc zdania w stylu: „W końcu

* Alexanderplatz (przyp. tłum.).

** Kościół poświęcony pamięci cesarza Wilhelma, w czasie wojny zniszczony i do dziś celowo nieodrestaurowany ku przestrodze przyszłych pokoleń (przyp. Tłum.).

poświęciłam dla ciebie całą swoją młodość", trudno zachować spokój. Joe nie miała przecież wpływu na nic - ani na to, kto będzie jej ojcem, matką, ani czy w ogóle się urodzi. Czy już do końca życia ma mieć poczucie winy? Z wdzięczności zalewać się łzami - bo mama nie porzuciła jej zaraz po urodzeniu?

Joe wsiadła do metra na stacji Weberwiese. Oparła się o drzwi i obserwowała rodziny, które spędzały niedzielne popołudnie poza domem. Na twarzach mamusi i tatusiów malował się wyraz błogiego zadowolenia. Wystrojona dziatwa również nie posiadała się z radości, że to śmiertelnie nudne przedpołudnie ma się już ku końcowi. Większość zapewne udawała się do babć i dziadków, by opychać się ciastkami. Lub do ogródka jordanowskiego.

Zapewne inaczej wyglądali na co dzień w swoich domach, na przykład w poniedziałek rano. Jednak Joe, patrząc na tych wszystkich ludzi, zatęskniła za domem, przez chwilę przynajmniej. Że też musiała uciec właśnie w niedzielę!

Metro niezwykle szybko pokonało dystans dzielący stację Weberwiese i Alexanderplatz. Przez chwilę Joe zastanawiała się nawet, czy nie jechać dalej. Tak jakby chciała zyskać trochę czasu w nadziei, że wymyśli jakiś lepszy punkt docelowy niż Alexanderplatz. Wsiadła z wagonu dosłownie w ostatniej sekundzie. Nie było w tym za grosz oryginalności - będąc zbiegiem, schronić się na Alex.

Począpiała schodami na górę.

Wcześniej bywała już u punków przy fontannie. Nikt nie zwrócił tam na nią większej uwagi. Wyglądała bowiem jak typowa mieszkanka Friedrichshain albo laska z Neukölln** Dzielnice Berlina (przyp. tłum.). Ani nazistka, ani punkowa, ani w ogóle cokolwiek.

Interesowało ją to miejsce, choć czasem zdarzały się trudne momenty. Ludzie „stąd” nie akceptowali nikogo, kto choćby nie wyglądał jak trzeba. Dlatego też „nowi” z góry skazywani byli na pochopną i fałszywą ocenę.

Tak było zwłaszcza w przypadku dzieciaków z prowincji. Zaraz po przyjeździe do stolicy pytały: „Nie wiecie, gdzie tu można przekimać?”. Najwięcej przyjeżdżało ich w czasie wakacji. Żegnali się z rodzicami i już za chwilę farbowali włosy w dworcowej toalecie. Potem jeszcze przekłuwali sobie język, i dalej na Alex! Starzy bywalcy traktowali takich przybyszów z pobłażliwym lekceważeniem. Nie szczędzili im odzywek w stylu: „Szukasz miejsca na nocleg? Słyszałem, że w Hiltonie mają przyzwoitą obsługę”.

Po wyjściu z podziemi Joe najpierw ujrzała policyjne kaski. Dalej, przy fontannie, stała pokaźna grupa pańczurów i trochę lewaków. A przed domem towarowym „Kaufhof” brygada skinheadów. Było ich znacznie mniej niż punków. Łysi zazwyczaj nie zapuszczali się w pobliże Alex, z wyjątkiem tych w czarnych uniformach, ich własnej straży porządkowej. Natomiast przed „Kaufhof” czuli się bardzo pewnie, co sprawiała obecność armii policjantów i tych ze straży.

Widząc, co się dzieje, Joe miała ochotę zawrócić, ale wtedy musiałaby na nowo zastanawiać się, dokąd iść. Na północ czy na południe? Wschód czy zachód? Z Alexanderplatz można się dostać wszędzie. Niedobrze więc, gdy nie wiesz, w którą stronę świata się udać. Dlatego Joe nie zawróciła.

Przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła przed witryną dużego sklepu RTV „Saturn”. Udawała wielkie zainteresowanie telewizorami w oknie wystawowym, jednak zdołała przypatrzeć się grupie punków na tyle uważnie, by go dostrzec. Na głowie miał opatrunek. Joe ucieszyła się, że jej posłuchał.

Przed wystawą stało kilka osób. Obserwowali wyścigi samochodowe, wyświetlane jednocześnie na wielu ekranach. Bez dźwięku. Czasem na ekranie ukazywało się pędzące samotnie auto, czasem było ich więcej, sunących jedno za drugim.

- Jeszcze da radę - odezwał się ktoś.
- Eee, chyba nie da - stwierdził ktoś inny.

Wyścigi samochodowe są jeszcze głupsze niż piłka nożna. Ten, który odezwał się pierwszy, odwrócił się gwałtownie od ekranów. Właśnie okazało się, że jego faworyt jednak nie dał rady.

- Ja bym ich wszystkich wysłał na roboty. Ogolić i pozamykać w barakach! -
zawyrokował.

- Tak, chociaż ci krótko ostrzyżeni właściwie mi nie przeszkadzają - rzekł drugi i również się obrócił.

Joe cały czas obserwowała sytuację po drugiej stronie ulicy. Obie grupy zdawały się nie dostrzegać siebie nawzajem. Obecność oddziału policji robiła swoje. Kilko Indian, którzy zazwyczaj muzykowali na Alex, zajętych było pakowaniem swoich fletów i bębnow. Nagle tuż przy nich pojawił się jeden ze skinów. Zamierzał zaatakować jednego z Indian, ale próba się nie powiodła. Napastnik był zbyt pijany, a niedoszła ofiara wystarczająco sprawna, by uniknąć zagrożenia. Indianie czym prędzej opuścili niepewny teren, skinheadzi zaś mieli z całej sytuacji niebywały ubaw.

Joe również ta scena na moment rozbawiła. Śmiesznie wyglądali ci mali ludzie, uciekający w popłochu, prawie zaplątując się w swoje luźne poncha. Nie przepadała za tymi Indianami, naciągali bowiem dzieciaki, wciskając im tani kit. Pewnie dlatego, że sami nie grzeszyli wzrostem. Jedna dziewczyna, będąca dwie klasy niżej niż Joe, spędzała z nimi mnóstwo czasu. Zupełnie namieszali jej w głowie opowieściami o matce ziemi i ojcu niebie. Niewiele chyba z tego zrozumiała. W każdym razie wmawiali jej, że wszyscy są kapłanami albo świętymi i że seks jest dla nich czymś w rodzaju nabożeństwa. Również wielu dorosłych dawało się na to nabrać.

W grupie punków rozległy się pojedyncze okrzyki: „Na-zi won!”, „Faszyści i gliny to skurwysyny!”. Potem znów zrobiło się dość spokojnie.

Nagle Joe poczuła przemożną potrzebę zapalenia papierosa. Uświadomiła sobie zaskoczona, że przez cały dzień nawet o tym nie pomyślała. Choć to zapewne dlatego, że zeszłej nocy wypaliła całą paczkę. Teraz jednak musiała zapalić.

Minęła „Burger Kinga” i udała się w kierunku ulicy Karla Liebknechta, gdzie znajdował się kiosk. Może jest otwarty. Po drodze mijala w bliskiej odległości grupę łysych. Nagle jeden z nich zawołał:

- Hej, to Joe!

To był oczywiście Killer. Machał ręką jak nawiedzony. Między palcami trzymał

papierosa.

Joe nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie ze zgrają faszystów. Dostrzegła jednak, że kiosk, do którego zmierzała, jest zamknięty. Podeszła do Killera i spytała:

- Masz szluga?

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Odchylił połę swej wojskowej kurtki. Z wewnętrznej kieszeni sterczał karton papierosów. Pewnie znowu obrobili jakiś automat albo kiosk. Killer podał Joe nową paczkę R6.

Rozpieczętowała ją niezwłocznie, Killer podał jej zapalniczkę. Joe zaciągnęła się głęboko. Teraz najchętniej by sobie poszła i paliła w samotności. Ale chyba nie powinna odchodzić w taki sposób, otrzymawszy w prezencie paczkę papierosów.

- A ty co, wybierasz się na Majorkę? Po co łazisz po mieście z tą torbą? - spytał Killer.

- Uciekłam z domu - oznajmiła Joe i natychmiast ugryzła się w język. Jak mogła być tak głupia!

- Poważnie?

- Nieee, tak tylko żartowałam.

- Możesz się zadekować u mnie - zaoferował Killer.

- Co ty powiesz?

To, co się stało później, zaczął taki jeden jakaś Atze i jeszcze dwóch innych. Byli nachalni i brutalni. Gdy taki typ spotyka na swej drodze kobietę, czerwieni się po uszy i słowa nie może wydusić. Lecz po pijanemu, w większej grupie, zachowuje się tak, jakby musiał każdego dnia zaliczyć nową laskę.

- U-u mnie t-też mo-o-o-o-żesz się zade-ekować. Mam woln-ne p-pół łóżka - wyjąkał Atze.

- Ach tak!

- Trzymaj się z daleka, bo pożałujesz - zagroził mu Killer.

Joe chciała uciekać. Spojrzała w kierunku punków. Od razu dostrzegła obandażowaną głowę. Patrzył prosto na nią. Na nosie miał swoje przetrącone okulary. Cholera -pomyślała Joe - co on sobie teraz o niej pomyśli.

- Przecież możemy się nią podzielić - odezwał się trzeci skin.

- Zamknij mordę! - warknął Killer. W tej okolicy on był przywódcą skinów.

Odepchnął tamtego na bok i stanął na szeroko rozstawionych nogach naprzeciwko Joe. Ohydnie się rozkraczył, tak jak to robią skini, gdy chcą zrobić na kimś wrażenie.

- Nie słuchaj tych kretynów - rzekł.

- Nie mam zamiaru. Zresztą i tak muszę już lecieć.

- Nee, zostaniesz jeszcze chwilkę. Już od dawna mam na ciebie chrapkę, naprawdę. - Uśmiechnął się obleśnie.

- Powinieneś wziąć zimny prysznic - poradziła Joe.

- Co chciałabyś na urodziny?

- Od ciebie? Lalkę Barbie. Może być wersja Good Night albo Baby-Krissy.

- Pewnie chciałabyś, żebym cię przeleciał. Nieprawda?

- Z tym zaczekajmy lepiej do Gwiazdki.

- Dobra, to w takim razie dzisiaj jest Wigilia. - Killer złapał Joe za biust tak mocno, aż krzyknęła z bólu. - Czy tam w ogóle coś jest?

Joe przez dobre pięć sekund palcem nie mogła ruszyć z przerażenia. Potem zamachnęła się, jak tylko mogła, i otwartą dłonią z całej siły wyrznęła Killera w sam środek wyszczerzonej mordy.

Killer złapał się za twarz.

- N-n-no t-to chyba m-miałeś wszy-y-ystk-kie zęb-by -wyjąkał Atze.

- Jak tam, wszystkie na swoim miejscu? - spytał trzeci. Joe była przerażona, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- O tym, kto może łapać mnie za cycki, decyduję wyłącznie ja - rzekła, lecz nie wyszło jej to najlepiej.

Killer trzymał się za lewe oko. Atze jąkał się jeszcze bardziej, gdy się denerwował.

- A t-t-to p-p-pinda.

- Dobra, rozprawimy się z nią od razu - odezwał się czwarty skin. Chwycił Joe i popchnął w kierunku Atze. -Łap tę dziwkę! - ryknął.

Czerwona torba upadła na chodnik. Atze złapał Joe i cisnął nią wprost w ramiona Killera. Ten złapał ją za ramię, ale natychmiast wypuścił, zauważywszy za swoimi

plecami Zorro.

Zorro włożył okulary, by lepiej kontrolować sytuację. Dopiero później zauważył Joe, gdy stała przed witryną „Saturna”. Rozpoznał ją po czerwonej torbie, którą miała ze sobą. Zdziwiło go, gdy tak nagle zjawiała się na Alex.

Tak naprawdę Zorro nazywał się Egbert Engel. Ale w Berlinie nikt o tym nie wiedział. Dlatego wszyscy wołali na niego po prostu Zorro. Pochodził z Dannenbergu nad Łabą. Tam również tak na niego wołali. Albo Eggie. Jego szczur wabił się Django.

Na lewym ramieniu Zorro jak zwykle wisiała Asi. Nie odstępowała go na krok. Skończyła zaledwie czternaście lat. Niedawno uciekła z domu w Lichterfelde. Pragnęła bardzo, by Zorro się nią zaopiekował. Najwyraźniej się w nim zakochała. Zorro kilka razy powtarzał jej, że najlepiej będzie, gdy wróci do domu, do willi rodziców. Bo przecież była jeszcze dzieckiem.

Zorro śledził uważnie każdy krok Joe. Sam nie wiedział,

- Jak tam, wszystkie na swoim miejscu? - spytał trzeci. Joe była przerażona, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- O tym, kto może łapać mnie za cycki, decyduję wyłącznie ja - rzekła, lecz nie wyszło jej to najlepiej.

Killer trzymał się za lewe oko. Atze jękał się jeszcze bardziej, gdy się denerwował.

- A t-t-to p-p-pinda.

- Dobra, rozprawimy się z nią od razu - odezwał się czwarty skin. Chwycił Joe i popchnął w kierunku Atze. -Łap tę dziwkę! - ryknął.

Czerwona torba upadła na chodnik. Atze złapał Joe i cisnął nią wprost w ramiona Killera. Ten złapał ją za ramię, ale natychmiast wypuścił, zauważywszy za swoimi plecami Zorro.

Zorro włożył okulary, by lepiej kontrolować sytuację. Dopiero później zauważył Joe, gdy stała przed witryną „Saturna”. Rozpoznał ją po czerwonej torbie, którą miała ze sobą. Zdziwiło go, gdy tak nagle zjawiała się na Alex.

Tak naprawdę Zorro nazywał się Egbert Engel. Ale w Berlinie nikt o tym nie

wiedział. Dlatego wszyscy wołali na niego po prostu Zorro. Pochodził z Dannenbergu nad Łabą. Tam również tak na niego wołali. Albo Eggie. Jego szczur wabił się Django.

Na lewym ramieniu Zorro jak zwykle wisiała Asi. Nie odstępowała go na krok. Skończyła zaledwie czternaście lat. Niedawno uciekła z domu w Lichterfelde. Pragnęła bardzo, by Zorro się nią zaopiekował. Najwyraźniej się w nim zakochała. Zorro kilka razy powtarzał jej, że najlepiej będzie, gdy wróci do domu, do willi rodziców. Bo przecież była jeszcze dzieckiem.

Zorro śledził uważnie każdy krok Joe. Sam nie wiedział, dlaczego. Zdziwił się bardzo, gdy zobaczył, jak podchodzi do grupki skinów. A więc takaś ty!,- pomyślał. Nie wyglądała na to.

Widział, jak poczęstowali ją papierosem, jak jeden z faszystów zaczął się do niej dobierać i jak dostał za to w pysk. Gdy wywiązała się szamotanina, Tono uwolnił się z uścisku Asi. Zdjął okulary, wyjął z kieszeni szczur i podał go dziewczynie. Następnie ruszył w kierunku skinów.

Asi pobiegła za nim kilka kroków.

- Hej, co jest grane?! - zawołała.

- Nie świruj, Zorro! Co tam kombinujesz? - zawołał jeszcze ktoś, lecz chłopak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Szedł pochylony lekko do przodu, stawiając długie, nieco niepewne kroki i lekko kołysząc zwisającymi luźno ramionami. Zmierzał prosto w stronę grupki skinheadów.

Łysi byli tak zajęci Joe, że zauważyli go dopiero wtedy, gdy stanął tuż za plecami Killera, trzymającego Joe. Dostrzegłszy go, Killer puścił dziewczynę. Pozostali mieli takie miny, jakby ujrzeli kosmitę.

Zorro podszedł do Joe.

- Cześć! Masz może papierosa? - spytał.

Joe cała się trzęsła. Drżącymi rękoma wyciągnęła z kieszeni papierosy i zapalniczkę. Minęła wieczność, zanim zdołała wydobyć dwa papierosy.

- E, c-co t-to za f-film? - wyjąkał Atze.

Joe wetknęła papierosa do ust, drugiego podała Zorro. Zapaliła sobie i jemu i

głęboko zaciągnęła się dymem. Musiała zakasłać, ponieważ wciąż ciężko dyszała.

Rozległ się histeryczny śmiech Killera.

- A ten skąd się urwał?! To przecież jakiś totalny przygłup!

Papieros Zorro zgasł.

- Poczekaj. - Zorro wyjął papierosa z dłoni Joe i przypalił swojego R6.

Ich palce zetknęły się na moment. Jeden ze skinów spytał:

- Mam go skasować?

- Zostaw. On jest mój - syknął Killer. Zorro oddał Joe papierosa.

- To jak, idziemy?

- Nie wiem - szepnęła.

- Ta dupa nie ruszy się stąd na centymetr bez mojej zgody - oznajmił Killer.

Podszedł do Zorro i stanął tak blisko niego, że niemal zetknęli się brzuchami.

Obaj patrzyli sobie prosto w oczy niczym bokserzy. Była to akurat odległość, z której Zorro widział jeszcze całkiem wyraźnie. Nie można powiedzieć, że się nie bał.

Tymczasem zaalarmowani zamieszaniami policjanci wkroczyli do akcji. Paru z nich z wyciągniętymi pałkami zmierzało w ich kierunku.

- Tylko nie próbujcie coś tu kombinować - odezwał się jeden z gliniarzy.

- Ale to ten frajer zaczął.

- W porządku. A teraz ptaszek grzecznie odfrunie, skąd przyleciał, albo przygotujemy dla niego specjalną klatkę.

Joe porwała z ziemi swoją torbę. Zorro odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem przemaszerował przed grupą skinów. Joe podążała w ślad za nim.

Atze miał zamiar im przeszkodzić, lecz Killer go powstrzymał.

- Sam go dorwę i zetrę na miazgę. Jak nie będzie glin.

- Ale dziewczyny szkoda. Mógł być niezły ubaw - zauważył trzeci skin.

- S-s-suka - wyjąkał Atze.

- Szczuć na to! Od tej dziwki pewnie tylko można podłapać adidasa.

Jeden z policjantów pobiegł za Zorro, krzycząc:

- No, ruszaj się, bo ci pomogę! Za minutę macie być daleko stąd!

Zorro nie zwracał na nich uwagi. Nie obejrzał się również na Joe.

Maria wyszedł mu naprzeciw. Poklepał po ramieniu.

- To było naprawdę niesamowite, stary - rzekł z uznaniem.

Inni także patrzyli z podziwem. Zorro poszedł prosto do Asi. Bez słowa oddała mu szczura. Zorro pocałował Django.

- Ta skinówa to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba - powiedziała Asi.

- Zamknij się! - warknął Zorro. Odszedł na bok. Cały czas tulił Django do twarzy. Usiłował ukryć drżenie rąk i górnej wargi.

Joe zatrzymała się kilka kroków przed grupą pańczurów. Brakowało jej tchu; kaszląc, sięgnęła po papierosa.

Policjanci opuścili szybki na hełmach i z pałkami w rękach wolno ruszyli w ich stronę.

Zorro rzekł:

- O nie, tylko nie to. Zostawiamy gliniarzy i skinheadów i zmywamy się.

- Ale zwiewać przed faszystami to obciach - rzucił ktoś.

- Niech się sami naporzają- odparł Zorro. Pobiegł kilka kroków. Asi znów się do niego przykleiła. Nagle zatrzymał się i obejrzał na Joe. Stała bez ruchu.

- Potrzebne ci specjalne zaproszenie? - fuknął na nią jeden z gliniarzy.

Zorro uwolnił się z objęć Asi.

- Pospiesz się! - zawołał. Joe zaczęła biec.

Od strony skinów doszły ich okrzyki: „Mendy!”, „Skurwiele!”. A potem już tylko: „Sieg!”*, „Sieg!”. * Dzielnice Berlina (przyp. tłum.).

Kilkoro punków odwróciło się, wystawiając w ich kierunku środkowy palec. Jeden z nich zawołał: „Faszystowskie sługusy!”.

Policjanci rzucili się w pogoń.

Zorro zaczekał na Joe. Wziął od niej czerwoną torbę, chwycił mocno za rękę i pociągnął za sobą.

Większość pobiegła w kierunku Domu Nauczyciela. Zorro obrał drogę prowadzącą wprost do tunelu kolejki. Przystanęli za jedną z bud z tureckim żarciem. Zorro zastanowił się, po co ciągnie ze sobą tę dziewczynę. Nie zapomniał tych pięćdziesięciu fenigów, które mu wtedy dała. Nie zapomniał też dotyku jej rąk, gdy

podawała mu swojego R6.

- Nie jesteś chyba jedną z nich?
- Nie.

Policjanci pognali za tamtymi. Wszędzie było niebiesko od migających świateł policyjnych aut.

Joe zorientowała się, że od dłuższego czasu ściska kurczowo jego dłoń. Speszona, puściła ją czym prędzej.

- Nie podoba mi się ta okolica - rzekł Zorro. - Chodźmy kawałek dalej. - Szli dłuższy czas w milczeniu.

- Kompletnie zaschło mi w gardle - odezwał się w końcu Zorro. - Masz jeszcze jakieś drobne?

- Mam - odparła Joe.

- Znam niedaleko jedną knajpę. Tam na pewno nie wytropią nas gliny. - Zorro skierował się na drugą stronę ulicy. Lokal nazywał się „Almstubl”. Szyld zdobyły kwiaty szarotki i goryczki. - To całkiem przyjemna nora, choć na pierwszy rzut oka wygląda na najzwyklejszą mordownię - wyjaśnił Zorro. Na progu, całkiem bez sensu, przczesał sobie sterczący spod bandaża kosmyk włosów.

Gdy weszli do środka, oczom Joe ukazał się oświetlony, zajmujący całą ścianę obraz. Na pierwszym planie namalowane było jezioro, a w oddali widniała góra. Jej szczyt pokrywała śniegowa czapa. Wierzchołek góry był szczególnie jasno oświetlony.

Joe zastanawiała się, co ona właściwie robi w tym komicznym miejscu. Jednak odkąd pojawiła się dziś na Alex, nie miała najmniejszego wpływu na to, co się z nią dzieje. A potem biegła jeszcze szmat drogi za tym typem, którego kompletnie nie знаła. Zawsze nie znosiła biegania za innymi i niemożności decydowania o swym losie.

Tymczasem podreptała za chłopakiem w głąb knajpy. Usiedli przy stoliku w rogu.

- Może być? - spytał Zorro.
- Jasne - odparła, choć tak naprawdę było jej wszystko jedno.

Za chwilę podszedł do nich mężczyzna w tyrolskich krótkich spodenkach ze

skóry.

- Griifi Gott - przywitał się nieco staromodnie. - Widzę, że znów oberwałeś.
- Przeklęte gliny - odparł Zorro.
- Zapewne nie byłeś całkiem niewinny - rzekł gospodarz i uśmiechnął się

sympatycznie.

- Daj lepiej kartę.
- Kartę? Dama stawia?

Podał Zorro kartę. Ten wyciągnął z kieszeni swoje połamane okulary i włożył na nos. Następnie zaczął udawać, że wnikliwie studiuje treść menu. Co chwila jednak zerkał na Joe. Milczeli dłuższy czas.

- Przydałyby ci się nowe okulary - odezwała się w końcu.

Zorro po raz pierwszy popatrzył na nią trochę dłużej.

- Rany, ale ci napuchło! - Wskazał na jej twarz. - Czy to naprawdę był twój ojczym?

- Nieee, to po prostu facet mojej mamy.
- Nie do wiary!

Joe cieszyła się, że mu o tym powiedziała. Musiała to z siebie wyrzucić, a on był chyba odpowiednią osobą.

- To dlatego uciekłaś z domu?
- To był jeden z powodów. Poza tym ciągle się na mnie gapił.
- Drań! Pokaż mi go, a już nigdy nawet nie spojrzysz na ciebie.

Tymczasem podszedł gospodarz i zapytał, czego się napiją.

- A co tu się zwykle pije? - spytała Joe. Zorro zwlekał chwilę z odpowiedzią.
- Enzian * - powiedział w końcu. Nalewka na wyciągu z korzeni goryczki (przyp. tłum.).
- Niech będzie - zdecydowała Joe.

Zorro zamówił dwa enziany i jeszcze piwo dla siebie. Wciąż zerkał na Joe przez jedyne szkło swoich okularów.

Joe pomyślała, że na pewno wygląda strasznie i dlatego Zorro tak się jej przygląda. Z tym napuchniętym policzkiem i w ogóle. Odwróciła głowę, by ukryć siną część twarzy.

- Te okulary mają w sobie coś denerwującego.
- Bez nich jestem ślepy jak kret.
- Akurat.
- Naprawdę - rzekł, ściągając z nosa okulary.
- To czemu nie sprawisz sobie normalnych, które mógłbyś nosić cały czas?
- Bo w okularach wyglądam jak kretyn.
- Wcale nie.

Gospodarz postawił przed nimi zamówione drinki. Zorro jednym haustem wychylił swój sznaps, a za chwilę Joe. Wódka drapała niemiłosiernie w gardło i Joe musiała zakasłać.

Zorro roześmiał się i pchnął kufel w jej stronę.

- Masz, popij. - Gdy Joe opanowała kaszel, spytał: -Słuchaj, a w zasadzie to dokąd się teraz wybierasz?

- Jak najdalej.
- Ja też mam zamiar wyjechać.
- Dokąd?
- W góry.
- Góry? Ja tam wolę morze.

- Też coś - rzekł Zorro poirytowany. - Tłum spasionych zombie dookoła i nic nie robią, tylko dręczą różne chrabąszcze, nadziewają meduzy na patyki, każą sobie ciągle smarować plecy albo w kółko objeżdżają swoje dzieciaki.

I jeśli akurat nie leje, słońce powoli wypala ci mózg na wiór. I z nudów możesz myśleć już tylko o seksie.

- Mów za siebie. - Joe zirytował jego wybuch. - A byłeś kiedyś nad morzem?
- Przez wiele lat spędzałem z rodzicami wakacje nad morzem. To była

prawdziwa udręka.

- A w górach?
- Tylko raz, ale to zupełnie inna historia.
- Jaka? - Joe ucieszyła się, że rozmowa nabrała tempa.
- Nieważne - odparł Zorro. - Postawisz mi jeszcze kolejkę?

- Tak, ale pod warunkiem, że opowiesz mi tę historię. Sama zresztą też się napiję. Zorro zamówił jeszcze dwa enziany i zaczął opowiadać.

- No więc kiedyś wyjechałem z rodzicami w góry. Do pensjonatu dotarliśmy dopiero późnym wieczorem. Z powodu panujących ciemności nie można było nawet zobaczyć, że się jest w górach. Gdy obudziłem się nazajutrz rano i spojrzałem w stronę okna, myślałem, że się załamię - pogoda była chyba najbardziej ponura z możliwych. Nic tylko szara nicość. To naprawdę nieciekawa historia.

- Opowiadaj dalej.

- Gapilem się więc przez to okno, leżąc cały czas w łóżku. Ale gdy wstałem i podszedłem bliżej, okazało się, że to, co wziąłem za ciemną pustkę, w rzeczywistości było ogromną górą z wierzchołkiem pokrytym śniegiem. W tym momencie zza chmur wyjrzało słońce i rozświetliło szczyt góry, która wyglądała teraz jak ze złota.

- To całkiem fajna historia.

- Jeszcze się nawet nie zaczęła. Najwyższym wzniesieniem, jakie dotąd widziałem, była winnica w Hitzacker. W okolicy, skąd pochodzę. Więc po prostu kompletnie odleciałem, gdy to zobaczyłem. Ta oślepiająca biel i złoto na szczycie tej obłądnej góry! Ubrałem się błyskawicznie i poleciałem pędem przed siebie. Pragnąłem tylko znaleźć się na szczycie. I koło jedenastej czy dwunastej dotarłem tam. Wchodząc na taką górę, człowiek nie zastanawia się, ile czasu może mu to zająć. Po prostu znajduje się jakąś drogę i idzie naprzód, byle wyżej.

Zjawił się gospodarz i postawił przed nimi kolejkę sznap-sa. Zorro, nie zwlekając, wychylił swój kieliszek. Joe objęła kieliszek dłońmi i pociągała małymi łydkami.

- Nie zjadłeś nawet śniadania ani nic?

- Wydawało mi się, że do śniadania zdążę zejść na dół. Gdy wchodziłem na szczyt, było zimno jak sto diabłów. Zrobiło się ciemno. Z moich trampek zostały strzępy. Ale będąc na górze, czułem się po prostu obłądnie, jakbym się wzniósł ponad całym światem. A w dole wszystko takie malutkie. Aż śmiech brał. Pomyślałem, że gdyby tam na dole stali teraz moi rodzice, to byłiby ledwie widocznymi punkcikami. Jak gówno much. Czułem się zajebiście dumny, stojąc tam. Czułem autentyczną

wolność, chociaż jako dwunastolatek nie zdawałem sobie z tego sprawy do końca. I wtedy z dołu nadciągnęły chmury. W kilka chwil nad doliną powstało istne morze chmur. Ponad nimi znalazły się tylko szczyty górskie i oczywiście ja. Aż brała ochota, by skoczyć w ten puch. No, i taki to był odlot.

- A jak wyglądał powrót?

- Och, to był prawdziwy horror. Naprawdę. Musiałem nieźle wyglądać. Trampki kompletnie zniszczone, ubranie podarte. Było już dawno po zmroku, gdy dotarłem do pensjonatu.

- I co na to twoi rodzice?

- Lepiej nie mówić. Zdążyli całe miasteczko postawić na nogi.

- No ładnie.

- Najpierw płakali. A jak już się wyplakali, spuścili mi porządne manto. Mimo wszystko opłacało się. Tyle tylko, że następnego dnia wróciliśmy do domu. Potem musiałem jeszcze iść na rozmowę ze szkolnym psychologiem.

- Witaj w klubie. Co takiego przeskrobałaś?

- Mniejsza o to. - Joe przyłapała się na tym, że przez całą opowieść wpatrywała się w tego chłopca jak zaczarowana. Żeby się tylko niczego nie domyślił! Przede wszystkim jednak nie powinien dopytywać się, czemu chodziła do psychologa.

Powiedziała więc szybko:

- I co, jak byłeś na górze, myślałeś o seksie? Szok! Zorro speszył się jak mały chłopiec.

- Mówiłem ci już. To niezbyt ciekawa historia.

Joe natychmiast uznała swoje pytanie za niewłaściwe.

- Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że jest naprawdę fascynująca.

- Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego czasami tu wpadam. Ponieważ właściciel knajpy, Alois, pochodzi z gór i jest nimi zachwycony. Poza tym ta góra namalowana na ścianie bardzo jest podobna do mojej - wyjaśnił, a za chwilę zawołał: - Alois, jeszcze dwie kolejki!

- Gdy słuchałam twojej opowieści, mnie też naszła ochota, by tam pojechać - powiedziała Joe.

- Prędzej czy później wyprowadzę się w góry, choćby nie wiem co.
- Więc może się tam kiedyś spotkamy.

Zorro wychylił zawartość kieliszka. Joe piła po troszku.

- Mocna, ale można się przyzwyczaić.
- Poza tym jest bardzo zdrowa.
- Skąd wiesz?
- Alois mi powiedział.

Znów zapanowało krępujące milczenie. Joe sączyła trunek. Niepotrzebnie spytała, czy, siedząc na górze, myślał o seksie. Ale to cała ona. Będąc o krok od zakochania, zawsze musiała palnąć coś głupiego. Tylko po to, by ukryć, co naprawdę czuje.

Zorro trzymał Django w dłoni i pieścił go delikatnie.

- Mogę go pogłaskać? - Wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała zwierzaka.

Dotknęła przy tym palców Zorro. Natychmiast przypomniała sobie, jak na Alex wyciągnął papierosa z jej ręki. Wtedy dotknęli się po raz pierwszy.

- Masz się gdzie podziać? - spytał Zorro, podając jej szczura.
- Nie bardzo.

- W mojej chacie znalazłoby się trochę miejsca. Zorro opowiadał, że w górach śpi się w pościeli w niebiesko-białą kratę, a puchowe poduszki są ogromne i niesamowicie wygodne. Zanim wyszli, Joe wyłożyła na blat stołu kilka monet ze świnki skarbonki, by zapłacić rachunek. Gospodarz wziął tylko parę z nich.

- Ostatnie dwie kolejki na koszt firmy - oznajmił, uśmiechając się życzliwie. - Życzę państwu dobrej nocy.

Na zewnątrz było już ciemno. Zorro i Joe szli obok siebie w milczeniu. Czasem ich ramiona tręcały się lekko, niby przypadkiem. Wsiedli do metra. Joe nie zwracała uwagi na nazwy mijanych stacji. Czula alkohol w żołądku i w głowie. Było jej trochę niedobrze, prawdopodobnie wskutek zdenerwowania. Szła tak spięta, że z trudem oddychała. Odsunęła się nieco od Zorro, by niczego nie zauważył.

Pogrążona w myślach, aż wzdrygnęła się, gdy Zorro oznajmił:

- Na następnej stacji wysiadamy.

Przeszli przez dworzec, a następnie skręcili w lewo w wąską uliczkę. Na dworze panowały już zupełne ciemności. Joe nie pytała, dokąd zmierzają. Po obu stronach ścieżki ciągnęło się ogrodzenie z metalowej siatki, gdzieniegdzie widać było zarysy domków.

- Niedługo to wszystko stąd zniknie. Kawałek dalej jest już zupełnie pusto - oznajmił Zorro i zamaszystym kopniakiem otworzył jedną z furtek. - To nie będzie Hilton.

Księżyc wyjrzał na chwilę spoza chmur. W jego białawym świetle domek działkowy wyglądał niczym z horroru. Gdy Zorro pchnął niedomknięte drzwi wejściowe, te skrzypnęły żałośnie. Potem rozległ się jeszcze jakiś hałas i pomiędzy ich nogami przebiegły dwa szczury. Joe nie mogła powstrzymać okrzyku obrzydzenia.

- To tylko narzeczone Django. Zawsze miał ogromne powodzenie - wyjaśnił Zorro.

- Tak naprawdę to wcale się ich nie boję - powiedziała Joe, ale bez wielkiego przekonania.

Zorro wszedł do środka i za chwilę powrócił, dzierżąc w dłoni zapaloną świecę. Z tą świecą i białą opaską na czole wyglądał jak anioł. W słabym świetle Joe dostrzegła łóżko, potem lustro. Przejrzała się. W lustrze odbijała się twarz Zorro oświetlona migotliwym płomieniem świecy. Wyglądał niesamowicie słodko.

- Trochę tu ciemno, prawda? - rzekł Zorro i wyciągnął spod łóżka spory karton wypełniony malutkimi świeczkami. Zapalił ich dość dużo i rozstawił w całym pomieszczeniu. - Teraz lepiej, prawda?

- Przytulnie tu u ciebie - pochwaliła Joe. Właściwie było raczej niesamowicie: płonące świeczki i niespokojne cienie tworzyły nastrój grozy.

W pokoju stał jeszcze pomalowany na zielono stół. Pod lustrem znajdowała się umywalka, obok piecyk, a wszędzie wokół błyskały świeczki. Na łóżku leżała spora sterta książek.

- Przeczytałeś je wszystkie? - spytała.

- Większość. Bez tego trudno mi zasnąć.

- Ja za to kładę głowę na poduszce i już mnie nie ma. Zorro rozsiadł się na łóżku i zaczął gładzić Django po jasnym futerku.

- Siadaj.

Joe rozejrzała się po izbie. Żadnego krzesła ani nawet zwykłej skrzyni. Usiadła na łóżku, na wyciągnięcie ramienia od Zorro.

- Ależ on słodki! -Joe w tym momencie przypomniła sobie, że raz już to powiedziała. Musiała przechylić się na bok, by dosięgnąć Django. Cofnęła jednak gwałtownie dłoń, gdy musnęła palec Zorro.

Zorro podniósł się z łóżka. Umieścił Django w klatce i włożył okulary. Przez moment jakby czegoś szukał. Potem spojrzał na Joe.

- Wyglądasz naprawdę bardzo dobrze.

- Powinieneś chyba postarać się o lepsze okulary -odparła.

Zorro zaczął przemierzać pokój we wszystkie strony. Joe nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Nie wiedziała również, czego sama chce. Mógłby się w końcu zdecydować. Było jej zimno ze zdenerwowania. Albo dlatego, że majowe noce bywają jeszcze chłodne.

Zorro podszedł nagle do umywalki i odkręcił kurek.

- Woda jeszcze jest. Nieźle, co? Można nawet wziąć normalny prysznic. Jeśli miałabyś ochotę.

Joe nie wiedziała, co powiedzieć. Czy on chciał, żeby się najpierw umyła czy co? A jeśli straci głowę i zrobi coś głupiego? Niestety, zadurzyła się po uszy. Dziewczyny z Alex z pewnością nie miały takich problemów. Dla nich to nic wielkiego. Tak czy inaczej, skłamała, mówiąc:

- Jak dla mnie, to jest trochę za zimno.

- Ja już do tego przywykłem. Muszę zmyć z siebie ten cholerny dzień. - Zorro podszedł do plastikowej zasłony, za którą zapewne znajdował się prysznic. Rozebrał się w środku. Ubranie rzucił na podłogę przed kabiną.

W pomieszczeniu znajdowało się łóżko polowe. Na nim leżał śpiwór. Za wcześnie jeszcze, żeby myśleć, co z tego wyniknie. Uciekła z domu i pobiegła ślepo za tym chłopakiem. Joe wygrzebała z torby paczkę prezerwatyw i szczoteczkę do

zębów. Mimo przejmującego zimna ściągnęła bluzę i spodnie. Stała przed umywalką i zaczęła szorować zęby. Słabe, migające płomyki oświetlały jej twarz. Spojrzała na swe odbicie w lustrze. Osoba, którą tam zobaczyła, wydała jej się zupełnie obca. Kim jest ta dziewczyna, która w ruderze przeznaczonej do rozbiórki myje zęby, podczas gdy trzy metry obok, za cienką zasłoną, stoi nagi, zupełnie obcy facet. Przecież nawet nie wiedziała, jak on ma na imię. Rzeczywiście, po co teraz o tym myśleć? To nic nie da.

Joe naciągnęła koszulkę na uda. Znów spojrzała w lustro i stwierdziła, że jej piersi są przerażająco małe. Potem zaczęła ponownie myć zęby, zerkając ciągle w kierunku zasłony. Szum wody ucichł. Słyszała, jak Zorro się wyciera. Co chwila przerywała mycie zębów, nasłuchując, co się dzieje. Gdy usłyszała jego kroki, nie obejrzała się, lecz patrzyła na obcą twarz w lustrze.

- Nie znoszę mycia zębów - powiedział Zorro.

- Ja to już robię odruchowo - oznajmiła Joe.

- Nie cierpię tego robić tylko wieczorami. To odbiera przyjemny smak alkoholu i skrętów.

Joe odwróciła się w jego stronę. Miał na sobie spodnie. Stał zakłopotany w miejscu. Najwyraźniej nie był dupkiem.

- Potrzebne ci jeszcze jakieś legowisko. - Zorro prawą nogą wyciągnął spod łóżka kilka styropianowych płyt, lewą zsunął je razem i położył na nich śpiwór. - Hotel to nie jest. Może być?

- Jasne. Ale nie ma dla ciebie śpiwora.

- Nie potrzebuję.

Joe podeszła do swojej torby i schowała szczoteczkę do zębów. Cieszyła się, że nie zaczął jej od razu całować. Chociaż mógłby przynajmniej spróbować. Pewnie była mu zupełnie obojętna. Jak on zsunął te płyty! Tak całkiem zwyczajnie. Dla takiego jak on była pewnie zwykłą smarkulą. Praktycznie bez biustu. Ale może to i lepiej. Pewnie i tak by spanikowała, nigdy przedtem nie robiła tego z kimś, kto nawet nie spytał jej, jak ma na imię. Poleżałaby chętnie kilka chwil na jego ramieniu. Na dobranoc. Ale jeszcze się taki nie urodził, co tylko przytuliłby dziewczynę i nie chciał

niczego więcej. Chyba że naprawdę dobry kumpel. Albo gej. Joe wsunęła prezerwatywy głęboko do czerwonej torby i wcisnęła się do śpiwora.

Zorro pogasił wszystkie świece. Wziął do ręki książkę, włożył okulary i położył się na łóżku. Palila się tylko jedna duża świeca stojąca obok łóżka.

- Muszę trochę poczytać. Nie przeszkadza ci to?

- Ja już i tak prawie zasnęłam - odparła Joe. Pomyślała jednak, że chyba nigdy nie zaśnie. Choćby z powodu tych narzeczonych Django. Na pewno się tu zjawia albo już czatują pod łóżkiem.

- Właściwie jak ci na imię? - spytał Zorro.

- Joe. -Joe?

- To od Johanna, ale od początku wszyscy wołali na mnie Joe. Ponoć dlatego, że wyglądałam jak chłopiec. A dlaczego ciebie nazywają Zorro?

- Też już od zawsze. W Lindenstrafie* był taki jeden Zorro, totalny świr. To dlatego. A przedtem jeszcze leciał w telewizji film o innym Zorro, kimś w rodzaju mściciela pokrzywdzonych i oszukanych. Nigdy go nie oglądałem. Babcia mi opowiadała. Uznałem wtedy, że to imię jest w porządku. Ale tak naprawdę nazywam się Engel**. -Zorro uśmiechnął się.

Joe również nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jak to?

- Engel to moje nazwisko.

- Engel podoba mi się bardziej niż Zorro.

- Sam dla siebie jestem Engel.

- Więc dla mnie też będziesz.

Przez cały czas Zorro spoglądał na Joe znad książki. Rzeczywiście, z tą wielką świecą wyglądał jak anioł. Pewnie dlatego wyrwało jej się, że będzie go tak nazywać.

Joe poczuła się teraz całkiem odprężona.

- Mieszkasz w tej chacie zupełnie sam? - spytała.

- Czasami nocuje tu Maria.

• Popularny serial zachodnioniemiecki, emitowany na ekranach ponad dwadzieścia lat (przyp. tłum.). **

Anioł (z niem.)- Przyp. tłum.

Joe nie czuła się już tak odprężona.

- A czy ona dziś już nie przyjdzie?

- Ona? Raczej on. Znalazł sobie nowego narzeczonego.

- Już nic nie rozumiem.

- Nie widziałaś go na Alex? Taki nudziarz w długiej sukience.

- Chyba nie, chociaż? Więc to facet?

- Pewnie. W sumie nie przepadam za ciotami. Ale właściwie każdy może być taki, jak chce. A Maria to prawdziwy kumpel. Jedyne, z którym mogę pogadać naprawdę o wszystkim.

- On nie jest ciotą, tylko transwestytą.

- Niech będzie. Widzę, że się na tym znasz.

- Wychowanie seksualne. Piąta klasa.

- Jak chcesz, możesz spać na połówce.

- Tu jest mi całkiem dobrze. - Joe zastanawiała się,

o co mu chodziło.

- Mnie tam wszystko jedno. Mogę przekimać na dole.

- Niech tak zostanie. Już prawie zasypiam.

Zorro trzymał książkę blisko oczu. Było zbyt ciemno, aby udało się cokolwiek przeczytać. Zresztą i tak cały czas zerkał na Joe. Miała zamknięte oczy. Musiała jednak zamrunąć i Zorro to zauważył. Zadał najgłupsze pytanie ze wszystkich:

- Śpisz już?

- Prawie - skłamała. Była na siebie zła, że mrugnęła. Była też zła, bo wciąż myślała o swoim pokoju i o mamie. Martwiła się, czy u niej wszystko w porządku. Chyba raczej tak. Bo ten, który leżał obok w łóżku, był na pewno w porządku.

Zorro ocknął się znacznie wcześniej niż zazwyczaj. Właściwie tak wcześnie nie obudził się od wielu miesięcy. Od razu też wrócił do rozmyślań, które przerwał, zasypiając.

Dlaczego musiał przywlec tu ze sobą pannę, u której miał zero szans i która prawdopodobnie chciała zachować dziewictwo do nocy poślubnej. Poza tym to nie w jego stylu nagabywać obce dziewczyny. A już na pewno nie wtedy, gdy mógł

spodziewać się kosza. Musiał być najpierw stuprocentowo pewny, że dziewczyna na niego leci, zanim zaczynał działać. W gruncie rzeczy był zakompleksiony, ale skrywał to pod maską arogancji.

Zorro włożył okulary i zaczął wpatrywać się w śpiącą Joe. Pomyślał, że mógłby się tak na nią patrzeć bez końca. Niechcący zrzucił z posłania książkę i ta z hałasem spadła na podłogę. Zdążył tylko pośpiesznie zdjąć okulary i zamknąć oczy, gdy Joe obudziła się na dobre.

- Hej, żartownisiu - rzekła, ziewając. - Nie udawaj, że śpisz.

Zorro uśmiechnął się nieśmiało, tak jak to robią winowajcy przyłapani na kłamstwie.

Joe uderzyła go pięścią lekko w ramię.

- Od rana żarty ci w głowie, Engel.

Jeszcze nikt nigdy nie zwrócił się do Zorro, używając jego prawdziwego nazwiska. A już na pewno nie w taki sposób. Wcześniej czasami robili to nauczyciele: „Oho, Engel znowu buja w obłokach” - mówili. W myślach Zorro często używał swojego nazwiska. Gdy na przykład robił sobie wymówki: „Engel, w jakie gówno się znowu wpakowałaś?”.

Ale Zorro nie wiedział, dlaczego Joe tak się do niego zwróciła i do tego walnęła prosto w ramię. O wiele za późno zrewanżował się lekkim kuksańcem i dodał:

- Ty też lubisz sobie pożartować. - Natychmiast jednak uznał, że wyszło to żałośnie, więc od razu, by zmienić temat, rzekł uroczystym tonem: - Skombinuję nam jakieś wykwintne śniadanie. Z kielbasą, ananasem i w ogóle.

Joe uśmiechnęła się do niego i Zorro od razu poczuł się o wiele lepiej. Stojąc ramię w ramię, wyszorowali zęby i udali się w stronę stacji metra.

Przez całą drogę na Alex Zorro próbował wyłudzać od ludzi pieniądze: na ulicy, w metrze. W sumie zebrał dwie marki i trzydzieści fenigów.

Gdy zbliżali się do fontanny, wszyscy się na nich gapili. Nagle Zorro przyspieszył kroku, zostawiając Joe w tyle. Zaczął zachowywać się tak, jakby nie mieli ze sobą nic wspólnego. Joe stanęła w miejscu. Zorro wszedł pomiędzy ludzi, przybił parę piątek, rzucając ukradkowe spojrzenia w jej stronę.

Joe odwróciła się i wlepiła wzrok w grupkę skejtów szalejących na placyku przed „Burger Kingiem” i pralnią „Top Clean”. Zorro ze złością obserwował, jak jakiś wysoki jasnowłosy pajac zaczął się do niej przystawiać. Ci deskarze myślą, że każdemu mogą zaimponować swoimi łamańcami.

Nagle wyrosła przed nim Asi.

- A więc jednak przespałeś się z tą skinówką. Super.

- Żartujesz? - bąknął dość cicho. - Po pierwsze, żadna z niej skinówka, a po drugie, to wcale jej nie... - „przeleciałem”, chciał powiedzieć, ale słowo utknęło mu w gardle i nie znalazł żadnego innego. Poczul się strasznie głupio.

- Naprawdę nie? - spytała Asi i znów spojrzała nań rozanielonym wzrokiem.

Zjawiała się również Spasti.

- Hej, Zorro bałamuci niewinne małolaty. Pewnie to był jej pierwszy raz, co?

- Wyobraź sobie, że są na świecie kobiety, które nie rozkładają od razu nóg, jak zobaczą chłopa.

- Wielkie dzięki, pacanie. - To rzekłszy, Spasti oddaliła się.

Zorro właściwie nic do niej nie miał. Spasti była całkiem w porządku. Ale on czuł się teraz kiepsko. Zostawił Joe. Zachował się jak tchórzliwy, zakompleksiony dupek. Podszedł do Marii, ale i ten dostroił się do całej grupy.

- No jak tam, brachu? Słuchaj, ale miałem noc! Było bosko. Słyszałem, że ty też nie próżnowałeś.

- Czy wam wszystkim odbiło? Ona po prostu nie miała gdzie przenocować.

- I użyła cię jako materaca?

- Chociaż ty mógłbyś nie być takim debilem jak tamci. Mówię ci, że nawet jej nie tknąłem. Czy tak trudno w to uwierzyć?

- Poważnie?

- Człowieku, to nie jest jedna z tych, które trochę podkrećsasz i już ściągają spodnie.

- Może po prostu się zakochałeś?

- Sam nie wiem. Zresztą wszystko jedno. I tak kto inny będzie miał ją w łóżku.

- Ależ to nie jest zwykłe zakochanie. To już po prostu czyste szaleństwo. Rany,

stary! Zupełnie jak mój romans z Connym. Na początku sobie pomyślałem, co ten słodki chłopak widzi w takim starym zboczeńcu jak ja. Ale stało się inaczej. Mówię ci, było nam jak w raju.

- Wy, chłopaczki, przecież i tak zrobilibyście to z każdym, co ma fujarę.
- Rasista. Lepiej przyprowadziłbyś tu tę swoją laskę.
- Ile razy mam jeszcze powtarzać, że to nie jest moja laska? Mógłbyś to łaskawie przekazać tamtym pacanom?

Zorro odwrócił się w końcu do Joe, myśląc, że nie będzie mu łatwo wytłumaczyć, dlaczego ją zostawił. On po prostu nie chciał, aby tamci pomyśleli, że mu na niej zależy.

Podszedł do niej i, siląc się na swobodny ton, spytał:

- No, czemu nie poszłaś ze mną?
- Przecież ja tam nikogo nie znam.
- To sami znajomi. Opowiadałem ci przecież. Maria to mój najlepszy kumpel. W tej samej chwili nadbiegła Spasti.

- Mam na imię Spasti. Chcesz mnie może za coś przeprosić? - zwróciła się do Zorro.

Jego twarz po raz pierwszy tego dnia rozpromieniła się.

- W porządku - wymamrotał.
- A ty? - spytała Spasti.
- Joe.
- Tylko Joe. Tak po prostu?
- Tak, po prostu Joe.

W tym momencie nadjechał postawny skejt. Podbił deskorolkę - ta, obracając się, poszybowała w górę - potem złapał ją zwinnym ruchem, wskoczył na nią i wylądował tuż przed Spasti.

- Bomba, Alex! Naprawdę czad! - zawołała dziewczyna z podziwem.
- Cześć! - rzucił chłopak, spoglądając na Joe. - Jak leci? -1 odjechał.
- Wyperfumowany pajac! - warknął za nim Zorro.
- Przesada. On jest zupełnie w porządku - powiedziała Spasti. - Zapraszają go na

wszystkie pokazy. Zgarnia tyle kasy, że się w pale nie mieści. Jak się zestarzeję, to za niego wyjdę.

Spasti wyglądała dość ekscentrycznie. Miała całą twarz w kolczykach. W samym języku aż trzy. Włosy jaskrawo-czerwone. Nikt nie wiedział, skąd brała taką farbę. To była jej głęboko strzeżona tajemnica. Spasti pociągnęła łyk z plastikowej butelki i podała ją Joe.

- Twoje zdrowie.

Joe wzięła mały łyk, nie dała niczego poznać po sobie, spytała tylko:

- Co to jest?

- Koktajl bananowy, mleko z odrobiną rumu.

- Całkiem niezłe. Szkoda tylko, że nie miałam dziś jeszcze nic w ustach.

- Ale! Zaraz się tym zajmę. Dajcie mi tylko chwilę -rzekł Zorro i poszedł do starszego mężczyzny, który przysiadł na skraju fontanny.

- Jak się masz, Zorro - rzekł stary.

- Dziadku, przedstawiam ci Joe - powiedział Zorro.

- Bardzo mi miło - odparł stary.

- Joe, to jest dziadek Addi. Dziadku, nie zostało ci przypadkiem coś w kieszeni?

Joe wyglądała naprawdę na przestraszoną, gdy dziadek Addi niespodziewanie wyciągnął do niej rękę. Był to dość dziwaczny staruszek. Miał na sobie koszulę w biało-niebieską kratę, a czarny krawat ciasno opinał jego cienką szyję. W klapie czarnej marynarki widniała biała trupia główka.

- Wiesz przecież, że nie pożyczasz się pieniędzy przyjaciołom. - Twarz dziadka była właściwie twarzą przepitego włóczęgi. Głębokie zmarszczki i wąski, haczykowaty nos sprawiały, że wyglądał bardzo staro. Musiał mieć pewnie ze sto lat. Ale w jakiś dziwny sposób ta twarz wzbudzała respekt.

- To naprawdę wyjątkowa sytuacja - przekonywał Zorro.

- A czy ta wyjątkowa sytuacja nie ma przypadkiem na imię Joe? - spytał starzec.

Zorro tylko lekko skinął głową, rozglądając się ukradkiem, czy nikt nie zauważył.

Joe znów przypomniał się jej pokój i koledzy ze szkoły. Pewnie tutejsi bywalcy i tak jej nie zaakceptują. Widziała przecież, jak Zorro niemal wił się ze wstydu, gdy ją

tu przyprowadził. Ten dziadek okazał się całkiem miły. Spasti i Maria również byli w porządku - akurat tych troje, którzy wyglądali jak najbardziej zakazane typy.

Zorro nie udało się wyciągnąć od dziadka żadnych pieniędzy.

- Nic nie szkodzi, on jest w porządku - rzekł Zorro, ściszej głoś. - To naprawdę nieziemsko kumaty gość. Mimo że lubi wypić. Gdybyś potrzebowała kiedyś poradzić się, to wal do niego jak w dym. On przeżył tyle, że teraz wie już o świecie wszystko.

Takimi mądrościami nie nasyci się jednak pustego żołądka. Joe zostały jeszcze cztery marki. Ale nie mogła tak po prostu urwać się do najbliższej tureckiej budy z kebabem.

Zorro przez godzinę zebrał u przechodniów o drobne, jednak z mizernym rezultatem. Choć stosował parę trików i zawsze był bardzo grzeczny, nawet wtedy słyszał po raz setny: „Idź do pracy!”. Czasem odpowiadał uprzejmym tonem: „Praca czyni wolnym, czyż nie?”. „No właśnie!” -odpowiadali.

Gdy potem Joe i Zorro podliczyli swoje finanse, okazało się, że wystarczy im dokładnie na dwie porcje frytek i jedną porcję skrzydełek z kurczaka.

Joe musiała iść do „Burger Kinga” sama, ponieważ Zorro od pewnego czasu nie był tam mile widziany. Teraz przynajmniej rozsiadł się na schodach wejściowych, by spożyć to, co przyniosła Joe.

- Od tego gówna człowiek robi się tylko jeszcze bardziej głodny - rzekł Zorro.

- Już bardziej opłaca się jadać u Turków - zauważyła Joe. "

Gdy wrócili na Alex, wszyscy wybierali się właśnie do Hasenheide*.

- Możesz iść z nami - powiedział Zorro.

Joe jak zwykle była niezdecydowana, lecz oczywiście nie potrafiła odmówić. W metrze Asi znowu nie odstępowała Zorro na krok, uczepiona jego ramienia. Nie odsuwał jej, zerkał tylko na Joe z zakłopotaniem.

Remo i Micky zajęli cztery miejsca i natychmiast rzucili się na siebie ze zwierzęcym niemal zapalem. W wagonie znajdował się jeszcze Maria i taki jeden, nieduży, na którego wołali: Stinki. Był ze swoją dziewczyną, Mucke. Ten Stinki przeżywał totalny odlot. Najpierw kulił się na podłodze i wpatrywał tępo przed siebie. Potem znowu dostawał małego rozumu. Już tylko jego przyjaciółka

próbowała go uspokajać.

- Czemu nie dasz sobie z nim wreszcie spokoju? -rzekła Zottel.

Park w Berlinie (przyp. tłum.).

Nagle Stinki doskoczył do drzwi, rozsunał je z impetem i za chwilę wisiał już na zewnątrz. Potężny podmuch w jednej chwili potargał jego czerwonego irokeza, który teraz furkotał na wietrze niczym ognisty ogon.

Miicke natychmiast rzuciła się do drzwi i próbowała je zamknąć.

- Zróbcie coś! - krzyczała. - Przecież on zaraz wypadnie!

- E tam, jest zajebiście - odezwał się chłopak wyglądający na Turka. - Zaraz roztrzaska sobie łeb. O jednego świra mniej.

- Zorro, zrób coś! - wrzeszczała Miicke.

Asi na wszelki wypadek chwyciła go mocniej za ramię.

Joe czuła się jak w kinie. Ci ludzie właściwie nic dla niej nie znaczyli. Nie miała pojęcia, do jakich numerów byli jeszcze zdolni. Lecz Stinki wychylił się już na tyle daleko, że w każdej chwili mógł wypaść albo zderzyć się z jakimś słupem. Joe rzekła cicho do Zorro:

- No, zrób coś.

Zorro oderwał się od Asi.

- Czy ja jestem jego niańką? - burknął, podnosząc się. Podeszedł do drzwi i zablokował je obiema stopami. Następnie wyciągnął prawą rękę przed siebie i chwycił chłopaka za bluzę. Najwyraźniej jednak Stinki wolał podróżować poza pociągiem i nie miał zamiaru poddać się tak łatwo. Wobec tego Zorro drugą ręką chwycił czerwoną czuprynę i bezceremonialnie wciągnął Stinkiego z powrotem do wagonu.

Stinki wpadł we wściekłość.

- Ty jebaku - wycharczał - tknij no mnie jeszcze raz, a pożałujesz!

- Nie ma sprawy - odparł Zorro ze spokojem i wyrznął go pięścią w nos. Stinki skulił się na podłodze. Miicke nachyliła się nad nim.

- Ty brutalna świnió! - krzyknęła do Zorro. Zorro nawet się nie zadyszał.

- Przecież on już jest załatwiony. Tyle tego gówna w siebie wpompował. Nie

powinniście przychodzić już pod fontannę - ćpunom wstęp wzbroniony.

- Niedoczekanie twoje! - szlochala Miicke.

- Trochę za mocno mu przyłożyłeś - wtrąciła się Joe. Nie rozumiała, czemu Engel go walnął. W każdym razie nie wyglądał na takiego, co to jedną ręką mógłby uchylić drzwi wagonu kolejki. On jeszcze wciągnął tamtego do środka i na dodatek huknął go w twarz. Zapewne uratował Stinkiemu życie. A Joe tymczasem stała obok i gapiała się na całą scenę jak na jakiś horror. Mogła przynajmniej spróbować przytrzymać Zorro, gdy ten stał w otwartych drzwiach pociągu.

Dwie stacje dalej na peronie roило się od policji. Asi znów uczepliła się ramienia Zorro. Ten popchnął Joe w stronę przeciwnych drzwi. Wskoczył na tory i pomógł wsiąść najpierw Asi, potem Joe. Następnie wszyscy razem pobiegli jakieś sto metrów wzdłuż nasypu kolejowego. Nikt ich nie gonił.

Żadne z nich nie miało już ochoty jechać do Hasen-heide. Po odejściu policji udali się w drogę powrotną na Alex. Pod fontanną kilku anarchistów nawoływało do wyjazdu do Cottbus bić nazistów, którzy jutro planowali urządzić tam zadymę.

Asi przykleiła się do Zorro, gdy ten rozpytywał agitujących o szczegóły akcji. Potem Zorro, przechodząc niby przypadkiem obok Joe, rzekł:

- Jutro uderzamy do Cottbus. - Potem wyswobodził się z objęć Asi i zaczął skręcać papierosa. - Możesz jechać z nami, jeśli chcesz.

- Może. Zobaczymy.

Wyjął z kieszeni Django i, patrząc mu w oczy, rzekł:

- Dziś też możesz przekimać u mnie. Jeśli nie masz nic innego.

- Masz na myśli Django czy mnie? - spytała Joe. Zorro uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Joe nie mogła rozgryźć tego chłopaka. Wszyscy wydawali się okazywać mu respekt. To, że przyciągał uwagę kobiet, zapewne także nie było dla niego niczym nowym. Wszyscy widzieli zachowanie Asi. I z jakim lekceważeniem ją traktował. Tylko czy ta szorstkość była szczerą? Tak czy inaczej, Joe musiała przyjąć propozycję albo wracać do domu. Inna możliwość nie wchodziła w grę.

Tymczasem Zorro zajął się wyłudzeniem pieniędzy od przechodniów.

Potrzebował ich na alkohol, poza tym jakąś niewielką choćby kwotę na następny dzień.

Było jeszcze dość jasno, gdy Joe i Zorro wchodzili na teren ogródków działkowych. Na bramie wisiała tablica: „Uwaga! Teren budowy. Wstęp zabroniony. Rodzice, pilnujcie swoich dzieci”. Zabawne miejsce. Każdy domek był jedyny w swoim rodzaju. Właściciele wkładali w ich wystrój zewnętrzny wiele energii i pomysłowości. Nieustannie coś ulepszali, przebudowywali i dokładali, wykorzystując wszystko, co udało im się zdobyć. Czy to stare rzeźbione drzwi, czy zabawnie pomalowane kolumnienki. O zmierzchu niektóre z domków wyglądały jak miniaturowe pałace z bajek. Można było pomyśleć sobie, że w jednym z nich mieszka Królowa Śnieżka, w innym drzemie Śpiąca Królowa, a jeszcze w innym krząta się Baba Jaga.

To wszystko wydawało się Joe niezwykle romantyczne. Przydomowe ogródki potęgowały to wrażenie. Trawa i zielsko rozpleniły się na grządkach. Gdzieś tam mieniły się tulipany - czerwone, żółte i lila. Wszystko to wyglądało o wiele piękniej niż gładko skoszone trawniki i równiutko przycięte żywopłoty.

Jedynie patrząc wyżej, można było dostrzec ramiona dźwigów czekających tuż za ogrodzeniem.

Na furtkach wisiały jeszcze tabliczki z wizerunkiem groźnego wilczura i wymalowanym na czerwono napisem:

„Uwaga, zły pies”, lecz na podwórkach grasował co najwyżej zdziczały kocur.

Najpiękniejszy był domek zamieszkiwany przez Zorro. Pomalowany na czerwono i zielono, z zadaszoną werandą i wspartym na kolumnach maleńkim balkonem. W ogrodzie przyciągał wzrok całkiem spory brodzik. Tak niebieski jak na hollywoodzkim filmie.

Kręte schodki prowadziły z ogrodu na balkon. Zorro i Joe wspięli się po stopniach i rozsiedli na dachu domku. Zorro raz za razem pociągał łyk z butelki, którą przyniósł ze sobą. Czasem podawał ją Joe. Wypijała małe łyeczki. Niedaleko rozległ się śpiew kosa. Gdy ptak zamilkł, Zorro próbował naśladować jego głos, gwizdząc. I ptak odezwał się ponownie.

- Świetnie ci to wychodzi - rzekła Joe z uznaniem.

- Uwielbiam wszystko, co ma skrzydła.

- Czemu?

- Bo ptaki są wolne. Mogą sobie polecieć, dokąd tylko zechcą. I mogą się pieprzyć, ile tylko zechcą. - Wypity alkohol zaczął uderzać mu do głowy. - Poza tym ptaki są po prostu piękne - dodał pospiesznie. - No, może z wyjątkiem sępów.

Na działkach zapadła noc.

- Pozwól na pokoje - powiedział Zorro z nonszalancją. Weszli do środka. Zorro, tak jak poprzednio, rozpałił kilka świec. Był już całkiem nieźle wstawiony.

Joe również szumiało w głowie. Powinna była dopilnować, by nie pił zbyt dużo. Skąd mogła wiedzieć, jak zachowuje się po alkoholu?

Zorro stał na środku izby w samych ślipach i z troską zajmował się Django. Joe myła zęby. Potem Zorro wskazał na łóżko.

- Dziś śpisz tutaj - wymamrotał.

- Ależ mnie to naprawdę wszystko jedno. - Miała nadzieję, że nawet po pijanemu nie okaże się dupkiem.

- Niece - jęknął Zorro i jak długi zwałił się na styropianowe posłanie.

Joe położyła się do łóżka.

- Dobranoc - szepnęła i zamknęła oczy. Chwilę później usłyszała, jak Zorro się podnosi. Pomyślała, że wstał, by pogasić świece. Potem zapadła cisza. Aż Joe poczuła blisko przesycony alkoholem i tytoniem oddech Zorro.

Otworzywszy oczy, ujrzała jego twarz tuż przy swojej. W słabym blasku świec znowu trochę przypominał anioła. Joe odepchnęła go delikatnie.

- Najpierw muszę kogoś dobrze poznać - rzekła. Doprawdy, cóż za idiotyczne zdanie! Przecież wpadłaby na pewno w depresję, gdyby przynajmniej nie spróbował. Chyba się jednak zakochała. Jakkolwiek by na to patrzeć.

Zorro legł z powrotem na styropianowym posłaniu.

- Wybacz. Wcale nie chciałem... - wymamrotał.

To było do przewidzenia. Znowu zachował się jak skończony dureń. Widocznie taki już jego los. Powinien się cieszyć, że od razu nie dostał po gębie. Jak mógł

sądzić, że mu się powiedzie? Gdy tak bez okularów wpatrywał się w śpiącą Joe, wydawała mu się księżniczką z bajki. Mogła mieć każdego. Ale on oczywiście, jak zwykle, musiał zalać się w trupa.

Nazajutrz rano Joe spytała:

- Jesteś pewien, że mogę jechać z wami?
- Przecież ci mówiłem.
- Asi się to nie spodoba.
- Asi to jeszcze dziecko. Powinna być z mamusią i ta-tusiem.

W pociągu próbowali się wcisnąć większą grupą do jednego przedziału. Asi od razu przyłgnęła do Zorro. Joe została na korytarzu. Zorro uczeplił się swojej flaszki, która była jeszcze w połowie pełna. Musiał wpierw pociągnąć spory łyk, zanim wstał i rzekł:

- Eee, jak dla mnie to za dużo tu dzieciarni. - Potem skierował się ku drzwiom, gdzie stała Joe. - Tam się nie da wytrzymać. Idę poszukać sobie innego przedziału.

Wyminął ją i ruszył korytarzem. Po kilku krokach zatrzymał się i szarpnął drzwi jednego z przedziałów. Miał oczywiście nadzieję, że Joe pójdzie za nim.

W przedziale siedział samotnie starszy mężczyzna.

- Dobry- rzucił Zorro i rozsiadł się przy drzwiach. Mężczyzna spojrział w jego stronę, lecz prawie natychmiast odwrócił głowę i intensywnie zaczął wpatrywać się w widok za oknem.

Zorro wbił wzrok w drzwi, ale ujrawszy nadchodzącą Joe, przeniósł go gwałtownie na podłogę.

- Przepraszam, wolne? - spytała Joe, wskazując miejsce obok Zorro.

- Wszystkie co do jednego - odrzekł mężczyzna. Zorro pociągnął łyk ze swojej nieodłącznej butelki. Joe usiadła obok niego.

- Nie zaczynasz aby zbyt wcześnie?

- To tylko taka mała rozgrzewka przed zadymą - odparł Zorro. Na jego twarzy malował się wyraz nieporadnego zakłopotania.

Joe poczuła się nagle bardzo zmęczona. Zrzuciła bluzę i wcisnęła między głowę i oparcie. Jej głowa opadła wolno i spoczęła na ramieniu Zorro. Położyła ręce na jego

udach. Oddychała tak, jak oddycha się podczas snu.

Zorro nie śmiał nawet drgnąć. Siedział sztywny jak kołek, ściskając kurczowo butelkę. Nagle drzwi do przedziału odsunęły się z hukiem, stanęła w nich Spasti i zawołała:

- Mam was, pieszczoszki! Nie zamierzaliście chyba sami obalić po cichu tej flaszeczki, co?

Joe wyprostowała się momentalnie, Zorro zaś wstał i wymamrotał tonem usprawiedliwienia:

- No... yyy... bo Joe chciała się tylko trochę zdrzemnąć...

Do Cottbus ściągnęły tłumy. Co najmniej kilka tysięcy ludzi. Punków, anarchistów, zielonych. Było też sporo normalnych. Jednak tłum nie miał dużej swobody ruchu, ponieważ teren obstawiała policja.

Większość pańczurów zebrała się przed domem towarowym. Było jasne, na co się zanoszą.

Zorro skontaktował się z obozem anarchistów. Ale oni najwyraźniej nie mieli żadnego planu. A może, ponieważ był na sporym rauszu, nie traktowali go do końca poważnie.

Asi napiła się z butelki Zorro i zawisła na nim. Joe stała tuż obok. Z trudem zносиła jego zakłopotane uśmiešky.

- Pójdiesz ze mną? - spytała Asi. Zorro milczał. Asi zarzuciła mu ręce na szyję i wspięła się nań, oplatając nogami w pasie. - Zrobiłabym dla ciebie wszystko - wyszeptała.

Zorro cały czas rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku Joe. Nie zastanawiał się jednak zbyt nad sytuacją. Jego odurzonemu alkoholem ego schlebiało, że jest obiektem uwielbienia. Chciał, by Joe wiedziała, że nie jest skazany wyłącznie na nią. Gdy ponownie zerknął w jej stronę, Joe już tam nie było. Gwałtownie wyzwolił się z objęć Asi i brutalnie postawił ją na ziemi.

Grupa anarchistów przypuściła próbny atak na policjantów. W supermarkecie poszły pierwsze szyby. Zorro gorączkowo szukał Joe. Dostrzegł ją po przeciwległej stronie ulicy. Raz za razem kopała wściekle Bogu ducha winny kosz na śmieci.

Obok Zorro wyrosła nagle Spasti. Przez moment oboje obserwowali poczynania Joe.

- Ta twoja laska ma całkiem niezły power - rzekła Spasti z uznaniem.
- Co jej odbiło? - spytał zdumiony Zorro.
- Może to, że Asi łązi po tobie, jak chce. Czemu po prostu nie przytulisz Joe? Coraz więcej ludzi biegło w kierunku supermarketu.

Zorro usiłował przedrzeć się na drugą stronę ulicy. Najpierw szedł szybko, potem zwolnił. Zatrzymał się. Niepewnym krokiem pokonał ostatnie metry dzielące go od Joe. Nie bardzo wiedział, jak się zachować.

Joe spojrzała nań zapłakanymi oczami. Zorro powoli wyciągnął do niej rękę. Joe przybliżyła się nieznacznie i Zorro mógł objąć ją bez przeszkód. Położyła mu głowę na ramieniu. Płakała.

- Ech, Engel - westchnęła. Uwolniła ramiona i objęła go, ściskając z całej siły tak mocno, że przez chwilę wydawało mu się, iż zaraz wpełźnie do jego wnętrza. Stali tak spleceni niemal połowę wieczności. Nieruchomi niczym pomnik. Wokoło zaś szalał totalny chaos.

Anarchiści cały czas atakowali oddziały interwencyjne. Punkci zajęli się plądrowaniem sklepu. Wychodzili obładowani alkoholem i papierosami. Niektórzy wynosili telewizory i radia.

Zorro przestał na moment całować się z Joe i zerknął w stronę kordonu policji. Glin przybywało z każdą sekundą. Prawdopodobnie gotowali się do kontrataku. Nadjeżdżająca armatka wodna umknęła jego uwadze. Wkroczyła do akcji z pełną mocą. Potężny strumień wody zmiatał ludzi niczym papierowe figurki. Wokół fruwały butelki, pudła ze sprzętem elektronicznym i przewracali się ludzie.

Zorro w ostatniej chwili zasłonił sobą Joe. Strumień trafił ich w nogi, podbijając je. Przez chwilę niemal lecieli w powietrzu, by za moment wylądować twardo na chodniku.

- Wszystko w porządku? - spytał Zorro.
- Chyba tak - odparła. - Z wyjątkiem tyłka. A u ciebie?
- Jeszcze nie jestem pewien, chyba coś z kolanem. Ale nic groźnego.

- A głowa?

- Jeszcze na miejscu.

Wkrótce armatka wyczerpała swój zapas wody, lecz gliny uwijały się jak w ukropie. Ludzie zaczęli uciekać z okolic supermarketu, by uniknąć okrążenia.

- Chyba musimy ruszyć nasze potłuczone dupy - powiedział Zorro. Pomógł wstać Joe trzymającej się za tyłek. -Dasz radę? - spytał.

- W końcu to tylko tyłek - odparła.

Zorro, utykając, pociągnął ją w stronę supermarketu.

- Hej, dokąd nas prowadzisz?

- Zawsze w przeciwną stronę niż reszta.

- Jesteś pewien? Bez ciebie już dawno umarłabym ze strachu.

Przez wybite okno wystawowe weszli do środka. Nie było już tam żywego ducha.

- Na pewno wiesz, co robisz? - spytała Joe.

- A co, masz ochotę na masaż policyjną pałą? Już dawno przygotowali kocioł. To jest ich klasyczny manewr. Najgorsze, co można zrobić, to uciekać razem z innymi.

Zorro utykał coraz wyraźniej. Zgiełk zamieszek dobiegał z oddali. W supermarkecie było teraz cicho niczym w kościele. Wtem obok nich rozległ się chrapliwy, donośny śmiech. Przerażona Joe złapała Zorro za ramię. Ten zamachnął się zdrową nogą i ogrodowy krasnal z czujnikiem ruchu poszybował przez pół sklepu. Zdążył jeszcze roześmiać się w locie i wylądował z hukiem w oddalonej części hali.

- Nie znoszę tych urządzeń - rzekł Zorro. Joe zaśmiała się z trudem.

- Z całą pewnością umarłabym ze strachu, gdyby cię tu nie było.

Zorro zaciągnął Joe do tylnej części sklepu. Mieściło się tu stoisko z kawą Tchibo. Zorro wykombinował skądś kilka płacht i rozrzucił je na podłodze.

Rozsiedli się na nich wygodnie.

- A jak wparują tu gliny? - zaniepokoiła się Joe.

- Te głąby nigdy nas tu nie znajdą.

- Jestem kompletnie przemoczona - powiedziała Joe, wyzymając bluzę.

- Rzeczywiście. - Zorro włożył sfatygowane okulary i zaczął rozglądać się wśród

regałów. Upatrzył sobie prawdziwe japońskie kimono i turystyczną suszarkę do włosów.

- Daj mi swoje mokre ciuchy, księżniczko! - zawołał. Joe spojrzała nań zdumiona.

- Księżniczko?

- Oczywiście. Jesteś moją księżniczką. Możesz rozebrać się pod tym - rzekł, podając jej kimono.

- Przecież ty i tak jesteś ślepy jak kret, czy nie?

- Jestem, jestem - przytaknął pośpiesznie.

Joe zarzuciła kimono na ramiona i ściągnęła z siebie mokre rzeczy. Zorro tymczasem zlokalizował gniazdko elektryczne i podłączył suszarkę. Wykręcił bluzę Joe i skierował na nią strumień ciepłego powietrza.

- A ty? - spytała Joe.

- Co?

- Chodź no tu. - Joe skrzyła rogi bluzy Zorro i wycisnęła z nich nieco wody. - Mogę ją zdjąć? - Zorro ukląkł, a Joe ostrożnie ściągnęła zeń bluzę przez zabandażowaną głowę.

Zorro dostrzegł nagie piersi Joe. Z tej odległości widział jeszcze całkiem nieźle.

- Moja ty precudna księżniczko - rzekł Zorro zmienionym głosem.

- Czy aby na pewno jesteś ślepy jak kret, Engel?

- Na sto procent.

Zorro objął Joe jedną ręką. Drugą dłoń położył na jej piersi i pocałował ją. Joe mocno przytrzymała jego nadgarstek.

- Ale na sto procent trzeźwy to nie bardzo?

- Nieprawda. - Nie czuł się już ani trochę pijany. Wprawdzie gdyby w ogóle nic nie pił, zapewne nie odważyłby się teraz na to. Ale pijany na pewno nie był. - Musisz kogoś najpierw dobrze poznać, co?

- Czuję się tak, jakbym znała cię już ze sto lat - odparła. - Ale nie chcę, żebyś był pijany. - Nagle zeszywniała w jego objęciach, ponieważ rozległy się czyjeś głosy i zbliżające się kroki. - Boję się - pisnęła.

- Wszystko pod kontrolą - odpowiedział szeptem. Usłyszeli jakiś głos.
- Co za bydlaki!
- Takich to tylko pod mur i kula w łeb - odezwał się ktoś inny.
- Te twoje mądrości zachowaj lepiej dla siebie - rzekł trzeci głos.

Nagle rozległ się głuchy śmiech krasnala ogrodowego.

- Cholera! - krzyknął któryś i roześmiał się głośno. - Ach, ty parszywy!
- Co jest?
- Mamy rannego!
- Co?
- Ogrodowy krasnal.

Gliniarz był bardzo blisko. Zorro i Joe leżeli plackiem na podłodze. Nagle ktoś w oddali ryknął:

- Grupa do mnie! Zabezpieczyć teren! - Kroki i głosy robiły się coraz cichsze, aż w końcu znów zapanował błogi spokój.

- Oni tu na pewno wrócą - szepnęła Joe.

- Nie sądzę - powiedział Zorro zupełnie normalnym głosem. - Oni teraz pilnują, żeby nikt nam nie przeszkadzał. - I z powrotem zabrał się do suszenia rzeczy Joe.

Potem otulił ją kocem firmowym Tchibo, przyniósł dla siebie drugie kimono, zrzucił mokre łachy i też zaczął je suszyć.

- Teraz z pewnością nie jestem już pijany, księżniczko - rzekł poważnym tonem.
- No, nie wiem - zawahała się.

Zorro zebrał rzeczy i padł na kolana przed Joe. Gdy sięgnęła po ubranie, cofnął ręce.

- Tylko jeśli ja cię ubiorę.
- A rzeczywiście bez okularów jesteś ślepy jak kret?
- No, jestem.

Joe odwróciła się tyłem. Zorro ściągnął z niej kimono. Odwróciła się z powrotem i spojrzała mu w oczy. Gdy wkładał jej koszulkę, roześmiała się nagle.

- Ech, ale z ciebie numer! Ty i ślepy, akurat. Zorro uśmiechnął się.
- No, zwyczajny krótkowidz.

- Zgrywus z ciebie.

Joe pozwoliła włożyć sobie majtki, potem przywarła do niego i zaczęła całować.

- Teraz możesz z powrotem wszystko ze mnie ściągnąć. Jeszcze i tak nie wyszło do końca - szepnęła.

- Kocham cię, księżniczko - wyszeptał Zorro. Joe spytała jeszcze:

- I jesteś już zupełnie trzeźwy? Na sto procent?

Ich rzeczy nie zdążyły jeszcze wyschnąć do końca, lecz Joe czuła się nieziemsko dobrze, mimo iż znów było jej chłodno i cały czas trochę się bała.

- A jeśli właśnie zrobiłeś mi dzidziusia? - zapytała.

- Byłoby super. Po prostu zajebicie. Byłby taki nasz mały książę.

- Engel, wariacie. Powiedz lepiej, jak się stąd wydostaniemy. Prawdę mówiąc, boję się jak cholera.

Zorro znalazł okno wychodzące na niewielki dziedziniec. Oprócz kontenerów na śmieci było tam zupełnie pusto. Wziął sobie z jednej z półek turystyczny telewizor.

- Po co ci to gównno?

- Przecież telewizor będzie nam potrzebny. Jak już dziecko przyjdzie na świat, wieczory będziemy spędzać w domu.

- Wariat do kwadratu.

Zorro wystawił najpierw telewizor, potem podsadził Joe.

- Jeśli masz zamiar paradować z tym po mieście, to pamiętaj, że się nie znamy - powiedziała zdecydowanym tonem.

Zorro spojrzał na nią durnym wzrokiem. Za chwilę telewizor wylądował w kontenerze.

Joe czuła się jak we śnie. Obce ulice, pełno glin, jakiś typ, który ją obejmował. Więc tak to wygląda, gdy się idzie na całość - pomyślała. Nie potrafiła opisać ani nazwać tego, co czuła w żołądku. Właściwie było jej niedobrze. Ale niedobrze ze szczęścia.

- Engel, jest mi z tobą nieziemsko. Zorro przycisnął ją mocniej do siebie.

W pociągu oparła głowę na jego ramieniu i natychmiast zasnęła. Śniły jej się jakieś nedorzeczności. Pływali oboje w morzu i nagle Zorro zaczął się od niej

oddalać. Chciała go zatrzymać, ale odpłynął daleko. Gdy się obudziła, jechali już przez Berlin. Zorro pocałował ją.

Nie poszli na Alex. Zaszyli się w alpejskiej knajpie u Aloisa i rozmawiali bez końca. Joe chciała się wreszcie dowiedzieć, czemu Zorro zwał z domu.

Zorro powtarzał, że to kompletnie beznadziejna historia, w którą i tak nikt nie wierzy. I tak naprawdę nie da się właściwie wytłumaczyć, dlaczego nawiał.

Zamówili enzian. Gospodarz dał im na kredyt, bo wiedział, że Zorro w poniedziałek odbiera zasiłek.

Wreszcie Zorro przełamał się i zaczął opowiadać.

- A więc powiem ci, skoro tak bardzo chcesz wiedzieć. Wszystko przez moją babcię. Mama wiele lat pracowała w sklepie ojca. I to babcia była dla mnie najbliższą osobą. Ech... Mogliśmy rozprawiać bez końca o wszystkim. Ale to naprawdę beznadziejna historia.

- Ta o twojej wyprawie w góry wcale nie była beznadziejna.

- No więc pewnego dnia babcia umarła. Jeszcze wieczorem rozmawialiśmy długo przez telefon, a nazajutrz, gdy wróciłem ze szkoły, oznajmiono mi, że w nocy babcia „zasnęła”. Naprawdę, tak właśnie powiedzieli. Wiedziałem, co mają na myśli, lecz z początku zupełnie to do mnie nie dotarło.

Mama trochę płakała, ale zaraz zaczęła się pocieszać, mówiąc, że babcia miała w sumie szczęśliwe życie i lekką śmierć, a to wielki dar.

Ja zaś wciąż powtarzałem sobie, że to nie może być prawda; z kim będę teraz dyskutował? Nie dopuszczając do siebie myśli, że babci już nie ma, w sumie znosiłem to nad wyraz dobrze. A raz jeszcze usłyszałem, jak mama mówi do ojca: „Nie sądziłam, że on tak rozsądnie do tego podejdzie. Przecież tak był do niej przywiązany”. To naprawdę zupełnie pokręcona historia.

- Wcale nie.

- U nas na wsi, wedle zwyczaju, na pogrzebie trumnę niosą krewni i sąsiedzi. Nie widziałem siebie w tej roli, ale ledwo zacząłem o tym myśleć, ojciec powiedział: „Pomożesz nieść trumnę”. A ja na to: „Tato, nie dam rady”. „A czy ty w ogóle w życiu dasz czemuś radę?”. A mama: „Nawet tej ostatniej przysługi nie chcesz oddać

swojej babci, której tak wiele zawdzięczasz?".

Potem ojciec zaczął narzekać, co to w ogóle ze mnie wyrośnie, skoro przed wszystkim się uchylam. W końcu uległem namowom i zgodziłem się. Ale w tym momencie naprawdę uwierzyłem, że mogę to zrobić i że dam sobie radę. Ech, nie ma co gadać.

- I co było potem?

- Potem był pogrzeb. Podczas nabożeństwa nie potrafiłem się skupić na tym, o czym rozprawiał pastor. Znowu o spełnionym i pracowitym życiu i takich tam. Nie mogłem odwrócić wzroku od trumny, w której leżała moja babcia. Wtedy dotarło do mnie, że ona już jest trupem.

I naturalnie rozplakałem się jak małe dziecko. Potem jeszcze wyobraziłem sobie, jak już niosę z innymi tę trumnę, lecz kołyszymy nią na boki i babcia turla się tam w środku od ściany do ściany. Ech, to żalosna historia!

- Engel, gdy tego słucham, kocham cię coraz bardziej.

- W każdym razie ocknąłem się, dopiero gdy ojciec mnie szturchnął. Pozostali tragarze czekali już na swoich miejscach. I w tym momencie zacząłem biec. Gnałem przed siebie, najpierw na przelaj, przez cały cmentarz, a potem dalej przez pole kukurydzy. W końcu zatrzymałem się i zacząłem ryczeć. Do domu wróciłem późną nocą. W kuchni mama zostawiła dla mnie kolację. Oczywiście rozplakałem się znowu jak idiota. Spakowałem trochę maneli, i tyle mnie widzieli. Najpierw był Hamburg, później Berlin. I to już cała ta pokręcona historia.

Joe pogłaskała go po głowie.

- Może ojciec miał rację? Może rzeczywiście nie jestem nic wart?

- Co ty gadasz? Miałeś poważny powód, aby opuścić swój dom. Ja zviałam, bo miałam kiepski nastrój.

- Myślałem, że kochanek twojej mamy dobierał się do ciebie.

- Tak naprawdę to się do mnie nie dobierał. Tak sobie tylko wyobrażałam. Bo on był tak niemożliwie obleśny. Poza tym nie mogłam znieść myśli, że sypia z mamą.

- To rzeczywiście jakiś wyjątkowo nieciekawych typ.

- Sama nie wiem. W każdym razie czuję do niego wyłącznie odrazę.

Pojechali na działki i rozłożyli się na balkonie domku. Wkrótce zaszło słońce. Drzewa wyglądały jak postrzępione cienie. W oddali widać było okna wieżowców, w których migotały światła telewizorów.

Kos rozpoczął swój koncert. Tego wieczoru występował jednak solo. Zorro przybrał swój najbardziej błogi wyraz twarzy i z łagodnym uśmiechem wpatrywał się w Joe.

- Wiesz, myślę, że powinnaś wrócić do domu - powiedział nagle.

- A to niby dlaczego?

- To znaczy tylko do czasu, gdy zdobędziemy własne mieszkanie. To miejsce lada moment przestanie istnieć. Poza tym musisz chodzić do szkoły.

- No proszę, i kto to mówi?

- Pójdę do zawodówki. Załatwił mi to jeden koleś z wydziału młodzieżowego. A potem prawdopodobnie dostanę też jakieś mieszkanie.

- To cudownie. Będziemy się razem uczyć. A potem zamieszkamy we dwoje.

- We troje.

- Wariat!

- A potem przeprowadzimy się w góry. Joe przysunęła się bliżej.

- A wiesz, z czego się najbardziej cieszę? Z tego, że jesteś teraz zupełnie trzeźwy.

Weszli do środka. Zorro czekał cierpliwie, aż Joe skończy myć zęby. Jak tylko odłożyła szczoteczkę, ściągnął jej bluzkę i zaczął całować piersi.

- Są takie malutkie, prawda? - spytała.

- Są najpiękniejsze, jakie tylko mógłbym sobie wyobrazić. Już nigdy w życiu nie chcę mieć do czynienia z innymi.

- Ilu mówiłeś to przedtem?

- Jesteś pierwsza. Słowo.

- Naprawdę? Cholera! Wierzę ci. Zorro odsunął się od Joe.

- Nie powinnaś jednak wierzyć we wszystko, co mówię. Joe nie słuchała go.

- Przysięgam, że moje piersi należą wyłącznie do ciebie. Na zawsze. Amen. -

Popchnęła go na łóżko i przykryła swoim ciałem. Chciała go pocałować.

Zorro chwycił oburącz jej głowę i popatrzył prosto w oczy.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówię - powtórzył.

Joe odsunęła się od niego.

- O co ci chodzi?

- Okłamałem cię.

- A więc jednak ty i Asi...

- Pudło.

- Co tu jest grane?

- Jak ci powiem, natychmiast ze mną zerwiesz. Zresztą prędzej czy później i tak byś się dowiedziała.

- Masz AIDS?

- I przeleciałbym cię bez gumki? Aż tak nisko mnie oceniasz?

- Powiedz wreszcie, o co chodzi!

- Nienawidzę ćpunów. Typów takich jak Stinki, którzy staczają się na samo dno.

I ciągną za sobą tych, którzy ich kochają.

- Oni są chorzy.

- Ja też jestem chory. -Ty?

- Brałem kiedyś.

- Nie wierzę ci.

- Ale to prawda. A więc to koniec?

Joe poczuła ulgę. Poglądziła go po twarzy.

- Gdy jesteśmy razem, i tak trzymasz się z dala od tego gówna.

- A jesteśmy razem?

- Na zawsze, czyż nie? - Joe ostrożnie ściągnęła mu podkoszulek przez zabandażowaną głowę.

Rankiem Zorro najciszej, jak mógł, wyczołgał się z łóżka. Mimo to Joe obudziła się.

- Co robisz?

- Idę skombinować jakieś śniadanie.

- Chyba to już kiedyś słyszałam.

- Serio? - I już go nie było.

Joe wzięła prysznic. Kąpiąc się, próbowała naśladować śpiew kosa.

Najprawdopodobniej upłyną wieki, zanim Zorro wróci z czymś jadalnym. Nie minęło jednak dziesięć minut, gdy usłyszała szybko zbliżające się kroki. Chwilę później wpatrywała się zdumiona w wielki marcepanowy tort. Wyglądała, jakby ujrzała kosmitę.

- Jakże to, tort na śniadanie? Ukradłeś go czy co?

- Jeden kumpel robi w cukierni. Nieee, żartuję. Ten kretyn z pobliskiej cukierni znowu zostawił otwarte drzwi od furgonetki. Ale taki okaz to mi się trafił pierwszy raz. Nie ma co.

- Nie chcę go, a ty wylądujesz w więzieniu.

- Spoko. Za kradzież żywności dostałbym najwyżej tydzień przymusowych robót.

Odrywali rękami duże kawałki tortu i wchłaniali łapczywie. Wczoraj w ogóle zapomnieli o czymś takim jak jedzenie. Joe chwyciła się od czasu do czasu za brzuch.

- Mam bzika na punkcie marcepanu. Szkoda tylko, że potem czuję się, jakbym zeżarł kilo betonu - powiedział Zorro.

Joe, chcąc nie chcąc, musiała się położyć. Zorro poszedł w jej ślady.

- A więc wracasz do domu - rzekł. - Ale przedtem muszę jeszcze raz pocałować najpiękniejsze cycuszki na świecie.

Godzinę później zbliżali się do stacji metra. Joe musiała się przesiąść na stacji Alexanderplatz. Gdy nadszedł jej pociąg, Zorro objął ją z całej siły i zaczął całować. W ten sposób przepuściła jeszcze dwa następne.

- Tylko nie siedź w domu zbyt długo - przypomniał jej Zorro.

- Bez ciebie i tak nie wytrzymałabym dłużej niż dwie godziny.

- W takim razie czekam za dwie godziny pod fontanną. W tym czasie skoczę po kasę i wstąpię jeszcze do urzędu pogadać z tym gościem, co mi załatwia szkołę.

- Pamiętaj, żeby wstąpić jeszcze do lekarza. Niech ci zmieni ten opatrunek.

Kolejny pocałunek znów przeciągnął się w nieskończoność. Potem Joe wsiadła nareszcie w pociąg zmierzający do stacji Friedrichshain.

Joe wciągnęła powietrze przez nos. Dopiero gdy poczuła charakterystyczny zapach swojej klatki schodowej, dotarło do niej w pełni, że znów jest w domu. Nawet lubiła tę woń, jedyną i niepowtarzalną. Oczywiście każda klatka ma specyficzny zapach, lecz woń tej akurat była wyjątkowa. Pachniało kapuśniakiem, który gotowali pół-Rosjanie mieszkający na dole, i gulaszem oraz smażonym kurczakiem, którego facet z góry przynosił sobie już na śniadanie. Czuć było też środki czyszczące, używane przez pół-Rosjankę do szorowania schodów. Przede wszystkim pachniało jednak gównem. Jakiś czas temu ktoś zrobił kupę na samym dole klatki schodowej. I to nie byle jaką! Nikt nie kwapił się z posprzątaniem. Nawet Rosjanka. Powiedziała, że nikt jej za to nie płaci. I to gówno przeleżało tam około tygodnia. Zjawiała się nawet policja i przywieźli kogoś ze sobą. Ale i oni długo nie wytrzymali. Joe mogła wetknąć sobie do nosa tuzin tamponów, a i tak ledwo powstrzymywała odruch wymiotny za każdym razem, gdy tamtędy przechodziła.

Już ze dwa lata upłynęły od tamtego czasu. Przykry odór gówna ulotnił się już dawno temu. Jednak cały czas tkwił w nosie i nic nie można było na to poradzić. I gdyby się dokładnie przyjrzeć, można było dostrzec na posadzce nieregularny ślad, jaki zostawiła po sobie ta ogromna góra gówna.

Nie było źle znowu znaleźć się w domu. Joe niespiesznie poczłapała po wytartych schodach na drugie piętro.

Właściwie czekało ją teraz sielskie życie. Rano szkoła, potem radosne popołudnia i upojne wieczory z Zorro. I ten dupek Mikę da jej w końcu spokój. Zresztą i tak wkrótce Zorro będzie miał własne mieszkanie.

Joe stanęła pod drzwiami. Zastanawiała się, czy zadzwonić. Otworzyła jednak drzwi własnym kluczem. Zachowywała się normalnie, tak jakby wróciła właśnie od koleżanki.

W mieszkaniu panowała cisza.

- Mamo! - zawołała.

Z sypialni dobiegały dziwne odgłosy. To niemożliwe. Czyżby zaczęli tak wcześnie? Przecież Mikę powinien być w pracy. Joe zapukała do drzwi i natychmiast usłyszała rozzwierający krzyk: „Nie!”. Weszła do środka.

Mama leżała na łóżku i patrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem szaleńca.

- Mamo, co się dzieje? - spytała Joe.

- Coś ty narobiła? - powiedziała tylko. Miała na sobie elastyczne spodnie w kratkę do stretchingu, których Joe tak nie znosiła. Poza tym jeszcze tylko biustonosz. Twarz zasłoniła włosami, tak samo jak kiedyś Joe, gdy chciała się ukryć. Odkąd poznała Mike'a, farbowała włosy na zbyt jasny kolor. Ponownie popatrzyła na Joe obłąkanym wzrokiem i rzekła:

- Mikę odszedł.

- Nie martw się. Na pewno wróci.

- Pokłóciliśmy się. Z twojego powodu.

- Ech, mamo! Nie powiesz mi nawet dzień dobry?

- Dopięłaś swego. - Opadły jej powieki, a z gardła wydobył się chrapliwy jęk.

Joe usiłowała przekonywać matkę, że nic się nie stało, ale ona tylko jęczała. Przy łóżku stała opróżniona do połowy butelka taniego wina. Poza tym puste fiolki i porozrzucane tabletki. Zrobiło jej się słabo. Wykręciła 112. Pomyślała przez chwilę, czy aby nie przesadza, wzywając od razu pogotowie. Wszyscy zdążyli już wrócić z pracy, więc na widowni będzie komplet. Taki wstyd, mama na pewno to odchoruje.

- Tak, z mamą jest kontakt - powiedziała dyżurnemu. - To pewnie nic poważnego - zastrzegła się na wszelki wypadek. Zdecydowali jednak przysłać lekarza z pogotowia.

Przyjechał po godzinie. Mama spała. Lekarz dał jej kilka policzków. Zaczęła znowu krzyczeć, ale uspokoiła się, gdy zobaczyła, z kim ma do czynienia.

Lekarz zmierzył jej ciśnienie. Joe wygrzebała z kosza na śmieci opakowania po pigułkach. Na szczęście mama połknęła tylko valium, tabletki od bólu głowy i wlała w siebie sporo wina.

- Nadużycie alkoholu i leków - podsumował lekarz. - Ale to nic groźnego. - Musiał się jednak upewnić, że cały czas ktoś przy niej będzie na wypadek zaburzeń pracy serca i ponownej próby samobójstwa.

Joe obiecała zastosować się do jego wskazań. Gdy wyszedł, spojrziała po raz pierwszy na zegar. Wybiła druga. Zorro czekał już na nią przy fontannie. Wpatrywał

się w wyjście metra. Kochał ją przecież.

Joe odszukała numer firmy, w której pracowała najlepsza przyjaciółka mamy. „Oczywiście - powiedziała najlepsza przyjaciółka mamy - w każdej chwili, zawsze”. Tylko akurat nie dziś. Umówiła się z ludźmi z firmy na partyjkę kręgli. Zaraz po pracy. Była to jakaś specjalna okazja. Jeszcze nigdy nie była na kręgielni.

- W porządku - rzekła Joe.

Zorro od jakiegoś już czasu wyczekiwał przy fontannie na Alex. Co chwila zerkał w kierunku wyjścia z metra. Włożył nawet okulary, by lepiej widzieć. Za każdym razem, gdy z podziemi wyłaniała się drobna postać z długimi, ciemnymi włosami, jego serce zaczynało bić szybciej w nadziei, że to ona.

Dwadzieścia minut później miał już dość. Kazała mu na siebie czekać. Pewno nie zależało jej na nim. Jasne. Może nawet ją to bawiło. Na pewno ją bawiło. Było jej wszystko jedno, czy przyjdzie o drugiej, czy o czwartej. Gdy się w końcu zjawi, powie tylko: „Ach, to już tak późno? Spotkałam koleżankę i trochę się zagadałyśmy. W ogóle nie patrzyłam na zegarek”. Chyba będzie musiał do tego przywyknąć. Dla kobiet takich jak Joe to zupełnie naturalne zachowanie, i koniec. Z niej rzeczywiście była prawdziwa księżniczka.

Postał jeszcze trochę, a potem przysiadł się do dziadka Addiego.

- A gdzie podziała się ta urocza młoda dama? - spytał stary.

Zorro w kilku słowach opisał sytuację.

- Kokietka. - Dziadek Addi pokiwał głową. - Ale tak to już z nimi jest. Zwłaszcza z tymi, którym natura nie poskąpiła urody ani dumy. Ale nie powinieneś zadręczać się z tego powodu. One po prostu nie chcą dać po sobie poznać, jak bardzo im zależy. Utrzymują cię w ciągłej niepewności, byś później jadł im z ręki, kiedy zechcą.

Zorro nieco uspokoiły jego słowa. Zdjął okulary. Gdyby przyszła w tym momencie, wszystko byłoby okay. Powiedziałyby pewnie: „Wybacz, nie zauważyłam, że jest już tak późno”. On zaś odpowiedziałby: „Ach, rzeczywiście. Ja też dopiero co przyszedłem”.

Maria też miał dziś nie najlepszy dzień. Z tym jego słodkim gimnazjalistą już wszystko skończone. Rodzice chłopaka wrócili do domu wcześniej niż zwykle i

nakryli ich razem. Wybuchła straszna afera. Rodzice tamtego chcą posłać go do psychiatry, wydziedziczyć i w ogóle. Dziś rano Maria spotkał się z nim przed szkołą, lecz usłyszał tylko, że ma się więcej nie pokazywać. Że było miło, ale to już koniec. Teraz musi myśleć o sobie. Jego rodzice są naprawdę wkurzeni, a on nie ma zamiaru ryzykować utraty rodzinnego majątku.

Zorro bardzo przygnębiła ta historia. Maria sądził, że nie warto być z kimś, kto jest wprawdzie słodki, ale nie można na nim polegać.

Asi oczywiście również się pojawiła, nie wiadomo skąd. Zapytała Zorro, gdzie się zawieruszył w Cottbus.

- Zaszyłem się w jakiejś dziurze - odparł.

- A ta twoja laska?

- Przekimała u mnie, bo nie miała się gdzie podziać. Potem powiedziałem jej, żeby lepiej wróciła do domu. No i poszła.

Asi objęła go ramieniem. Przez moment czuł się dobrze. Wyciągnął Django i zanurzył nos w jego białym futerku. Potem posadził go sobie na ramieniu. Asi zaczęła głaskać szczura. Zorro nie przepadał za tym i umieścił swego pupila z powrotem w kieszeni.

- Wciąż mi na tobie zależy - rzekła Asi. - Drugiego takiego nie ma na całym świecie. - Asi pogłaskała go po karku. - Może skoczę po coś do picia?

- Niezły pomysł.

Gdy znikła, Zorro po raz kolejny doszedł do wniosku, że nadmiar myśli wpędza tylko w depresję. Nie potrafił jednak oprzeć się ich natłokowi. Nie mógł uwierzyć, że Joe tak szybko o nim zapomniała. Usłyszała pewnie od matki: „Jak ci nie wstyd zadawać się z takim!”. Mogła również wpaść pod samochód albo natknąć się na tych skinów i siedzieć uwięziona w jakiejś dziurze. Przeróżne domysły kotłowały się w jego głowie. Może dorwali ją naziści i zrobili coś straszego, podczas gdy Asi pieściła go po karku.

Asi wróciła z butelką rumu. Nigdy nie brakowało jej pieniędzy. Dostawała od starych, ile chciała.

Zorro nie życzył sobie mleka do rumu. Bez zbędnych ceregieli wlał w siebie

połowę zawartości flaszki. Język i gardło paliły go żywym ogniem, w żołądku zaś rozgorzało prawdziwe piekło, ale było mu dobrze. Pociągnął jeszcze jeden spory łyk. Przepeliło go rozkoszne uczucie samounicestwienia.

Asi patrzyła nań oczarowana.

- Ale ty masz głowę! Zorro wstał nagle.
- Muszę załatwić coś ważnego. I zaraz jestem z powrotem.

Pamiętał, że Joe mieszka gdzieś we Friedrichshain. Wspomniała również nazwę ulicy i o jakimś cmentarzu niedaleko. Tylko że ta nazwa wyleciała mu z głowy. Zresztą tak jak wszystkie inne ważne informacje.

Zorro wysiadł z metra, nie wiedząc dokładnie, gdzie jest. Od razu zaczął rozpytywać o cmentarz. „Ale który cmentarz?” - pytali ludzie. „Którykolwiek”. „Takiego cmentarza tu nie ma” - odparła jakaś kobieta. Potem jednak wskazała w pewnym kierunku.

Zorro pognął w tamtą stronę. Czuł, jak alkohol uderza mu do głowy. Biegł przed siebie, mijając takie same ulice. Szare, brązowe, czasem żółte. Nie było tu żadnych sklepów, z wyjątkiem wypożyczalni kaset wideo. Na ziemi pełno psich gówien. I łysi, patrzący na niego bezmyślnym wzrokiem. Pewnie jeszcze nigdy w życiu nie widzieli punka. Ani góry, ani prawdziwej krowy.

Zorro w pewnym momencie ruszył prosto w ich stronę i spytał:

- Ej, znacie może Joe?

Spojrzeli na niego, potem po sobie. Na ich twarzach rysował się skrajny debilizm. Mówić zapewne też nie umieli.

- Joe - powtórzył Zorro. - Taka panna z długimi włosami. Właściwie ma na imię Johanna. Na pewno ją znacie. To najładniejsza laska w okolicy.

Łysi gapili się dalej, aż jeden z nich, z racji swej tuszy zapewne przywódca grupy, rzekł:

- Szukasz guza?

- Wyluzuj - powiedział Zorro. Właściwie było mu wszystko jedno, choć nie bardzo by chciał, żeby rzuciło się nań dziesięciu skinów. - To niedobrze, że nie znacie Joe.

- Pytałem, czy szukasz guza - powtórzył grubas.

- Mam dla was wiadomość od Joe.

- Czy wyglądam na debila? - spytał grubas.

- To już twój problem. Ale na waszym miejscu brałbym dupę w troki. Joe kazała wam przekazać, że wkrótce zjawi się tu cała armia pańczurów i zrówna wszystko z ziemią. -Grubas zastygł z rozdziawioną gębą. - Mówię wam, lepiej ruszcie tyłki - powiedział szybko i poszedł dalej.

Naziści są jak psy, którym nie szczędzono kopniaków. Gdy spojrzeć im prosto w oczy, kulą ogon. Albo są tak nawaleni, że nie są w stanie zauważyć, iż patrzy im się prosto w oczy.

Zorro jeszcze godzinę miotał się po ulicach Friedrichs-hain. Najpierw jeden cmentarz, potem drugi. Joe opowiadała mu o swoim spotkaniu ze starszą kobietą. Może znów siedziała na jednej z ławek. Idiotyczny pomysł.

Alkohol zdążył wyparować z żył. Zorro wsiadł do metra i wrócił na Alex. Podszedł do dziadka Addiego.

- Nie było jej?

Stary tylko pokręcił głową.

- Tak to już z nimi jest. Zawróciła ci w głowie, nie ma co.

- Ona? Nic podobnego - odparł Zorro i poszedł do Asi. - Masz tam jeszcze coś?

Dziewczyna uśmiechnęła się i podała mu butelkę.

- Załatwiłeś wszystko?

- Taa, musiałem spotkać się z kumplem - odparł i przechylił flaszkę. Asi zmieszała rum z mlekiem truskawkowym. Opróżnił kubek jednym haustem. Asi natychmiast napełniła naczynie.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko - westchnęła.

- Poszłabyś nawet na ulicę?

- Gdybyś zechciał.

Zorro po raz pierwszy przytulił ją. Asi usiadła mu na kolanach. Zjawiła się Spasti.

- Obiecał już, że zabierze cię w podróż poślubną w góry?

- Zazdrościsz? - rzuciła Asi.

- Niece, spoko. Jeśli nie dowie się o tym sąd dla nieletnich. Zjawili się również Stinki i Miicke. Chłopak był jak

zwykle do maksimum naćpany. Od każdego próbował wyciągać pieniądze.

- Żadnej kasy dla ćpuna! - warknął Zorro. - Zaprowadź go na dworzec, tam jego miejsce. A sama możesz od razu ustawić się na pigalaku - zwrócił się do Miicke.

- Jesteś podły i brutalny - rzuciła Miicke. - Spójrz lepiej na siebie.

Zorro znów był pijany. Nie opierał się, gdy Asi zaczęła go całować.

Joe zerknęła co chwila na stojący przy łóżku budzik. Był to stary model - wielki, czerwony, z dwiema błyszczącymi kopułkami dzwonka na górze. Mamę niełatwo było obudzić. Tykał głośno, a co minuta wskazówka posuwała się z równie donośnym odgłosem. Oddech mamy był niemal tak równomierny jak tykanie budzika. Była szósta wieczorem. Wciąż spała.

Spoglądając raz po raz na zegar, Joe snuła przypuszczenia, co też dzieje się teraz z Zorro. Wyobrażała sobie wtuloną weń Asi. Albo że rozlega się dzwonek do drzwi, i to on. Przecież podała mu nazwę ulicy, ale pewnie i tak jej w ogóle nie słuchał.

Czasami mówiła całkiem głośno: „Mamo!”, lecz ona w odpowiedzi mamrotała coś przez krótką chwilę i spała dalej. Joe potrzebowała najwyżej pół godziny, by dostać się na Alex. Mamie na pewno nic się nie stanie. Joe nastawiła budzik na wpół do siódmej. Sama podskoczyła, gdy zadzwonił. Mama otworzyła oczy.

- Co się stało? - spytała.

Joe zrelacjonowała jej wszystko spokojnym głosem. Jak zdenerwowała się z powodu Mike'a, jak dostała zastrzyk i że teraz już wszystko w porządku.

Mama chwyciła ją za rękę. Była spokojna. Powiedziała, że jest jej bardzo przykro, że straciła nad sobą kontrolę.

Potem Joe oznajmiła:

- Mamo, zakochałam się.

- To nic, to minie - odparła mama. Prawdopodobnie nie wiedziała, co mówi. Poza tym również nieuważnie słuchała.

- Mamo, posłuchaj - kontynuowała Joe - chciałabym wyjść na pół godziny. To jest piekielnie ważne. Bo naprawdę się zakochałam.

Mama uniosła się do pozycji siedzącej. Na jej twarzy znów rysował się obłęd. Z gardła wydobywały się nieartykułowane dźwięki.

- Znowu chcesz mnie opuścić? Nie możesz tego zrobić! - Zanosła się płaczem. -
Idźże więc! - wrzasnęła.

Joe chwyciła ją za rękę.

- Zostanę, mamusiu. To piekielnie ważne, ale zostanę z tobą.

Mniej więcej po półgodzinie mama się uspokoiła. Wciąż pytała, czy na pewno Joe nie zostawi jej samej. Joe zaparzyła herbatę. Spróbowała spokojnie z nią porozmawiać.

- On nie był ciebie wart, mamó - mówiła.

- Może masz rację.

- Naprawdę powinnaś nauczyć się spać sama. Dopóki naprawdę się nie zakochasz. W tym właściwym.

- Dam sobie radę bez niczyjej pomocy.

- Obiecuj mi więc, że go wywalisz, gdy znów tu przy-lezie.

- Postąpił ze mną podle i nie chcę go więcej widzieć -oświadczyła mama. - A co to za chłopiec, z którym się umówiłaś? - zainteresowała się nagle.

- Nie do opisanía. Niesłychanie słodki.

- To z jego powodu uciekłaś? To było dość samolubne z twojej strony.

- Dobrze wiesz, że to przez Mike'a. I przez waszą znowę przeciwko własnej córce.

- Co za brednie! W każdym razie wygląda na to, że bardziej zależy ci na spotkaniu z tym chłopcem niż na własnej matce.

- Nie potrafię ci tego teraz wytłumaczyć.

- Chodzi jeszcze do szkoły?

- Właśnie szuka odpowiedniej i niebawem będzie miał własne mieszkanie. Mogę teraz na krótko wyjść, mamó?

- Obiecałaś nie zostawiać mnie samej. Proszę, śpij dziś ze mną. Rano na pewno będę mogła zostać sama.

Było już i tak po jedenastej. Joe nie wiedziałyby, gdzie go szukać o tej porze.

Wyjaśni mu wszystko rano. On weźmie ją w ramiona i będą się całować bez końca.

- Chodźmy stąd - powiedziała Asi do Zorro. Wnerwiały ją kretyńskie uwagi na ich temat. Włożyła mu do ust kolejną pigułkę.

Zorro potrzebował znieczulenia. Byle nie myśleć o Joe. Czuł się zerem, chciał, by uwielbiała go jakaś smarkula. Zorro bezskutecznie usiłował przerwać połączenia pomiędzy komórkami mózgowymi.

- Te pigułki są gównem! - rzekł ze złością.

- Chcę robić to, co ty - powiedziała Asi.

Zorro spytał ją, ile ma przy sobie pieniędzy. Pojechali do Kottbusser Tor. Zorro znał tam kilka osób.

- Przyrządę nam najprzedniejszy koktajl.

Niedługo potem usadowił się w jakimś kącie i wstrzyknął sobie narkotyk. Nie uświadamiał sobie, co robi. Na sekundę odzyskał jasność myślenia, gdy Asi poprosiła go, by również jej zrobił zastrzyk.

- Zostaw to gówno. Trzymaj się od tego z daleka! -warknął.

Asi spytała, gdzie teraz nocuje. Odparł, że nie ma nic na stałe. Pomyślał nagle, że Joe czeka może na niego w domku na działkach. Ale wszystko już mu zubożyło. Joe przestała go obchodzić. Wszystko było gównem! Szuwaks był boski. W stosunku do Asi nie miał zastrzeżeń, całowała go i wielbiła.

Asi poprosiła, by wstał. Gdy to zrobił, podciągnęła pulower i pokazała mu nagie piersi.

- Popatrz, już nie jestem małą dziewczynką.

- Nie mam okularów.

Potem udali się na przystanek i wsiedli w autobus. Weszli do jakiegoś domu. Asi poprosiła, by zachowywał się cicho. Mimo że jej matka i tak nie miałyby nic przeciwko temu.

Gdy znaleźli się w pokoju, oczom Zorro ukazało się całe mnóstwo pokemonów. Na łóżku, na regale. Wszędzie pokemony. Zresztą co go to mogło obchodzić.

Zorro położył się na łóżku, skąd Asi zmiotła uprzednio pokemony. Było mu wszystko jedno. To, że Asi położyła się na nim i zaczęła całować - również.

W każdym razie nic wyjątkowego się nie stało. Nie poszło mu ani dobrze, ani źle w tym stanie. Narkotyki powoduje brak jakichkolwiek uczuć. Gdy jest się zerem, taki stan jest zaspokojeniem wszelkich pragnień.

- Było ci dobrze? - spytała Asi szeptem.

- Bardzo dobrze.

- To był mój pierwszy raz. Taki prawdziwy.

- Co ty?

- Naprawdę. Zrobiłam to dla ciebie, żeby ci udowodnić, iż nie jestem już dzieckiem. - Nagle Asi włożyła mu na palec obrączkę. Srebrną, z drobnymi, ostrymi kolcami. - Jeśli chcesz, możesz mi podarować taką samą.

- Ale to nie znaczy, że się zaręczamy? - spytał Zorro.

- Przecież sam powiedziałeś, że było ci dobrze.

- Bo i było.

Początkowo Joe nie mogła zasnąć, mama bowiem mocno trzymała ją za rękę. Poza tym nie przestawała myśleć o Zorro. Wiedziała, że na nią czeka. Pewnie się wściekł. Może z tej wściekłości zaszył się na działkach z jakąś inną. Bo nie traktował ich znajomości poważnie. Była dla niego jedynie odmianą. Przecież wszystkie na niego leciały. Pewnie i tak co tydzień ma inną. Dziewczynom na Alex to nie przeszkadzało, a miłość uważają za coś staromodnego.

Joe płonęła z zazdrości. Z każdą chwilą była coraz bardziej przekonana, że ktoś taki jak Engel nie potrafi dochować wierności. Męczyły ją te dywagacje. Oczyma wyobraźni widziała, jak ukochany czeka na nią bez końca, wpatrując się w tłum wylewający się nieprzerwanym potokiem z tunelu stacji metra. Na nosie sterczą mu połamane okulary. Rozpoznają dopiero wtedy, gdy stanie tuż przed nim. I spojrzy na nią z tym najśłodszy, nieco zagubionym uśmiechem na twarzy. Weźmie ją w ramiona. Wtedy ona wszystko mu opowie, a on przytuli ją najmocniej, jak potrafi.

Joe obudziła się. Poczula, że mama nie trzyma już jej dłoni. Na środku sypialni stał Mikę. Mama uniosła się na łokciach. Mikę zaczął bełkotać coś w stylu:

- Wybacz mi, wszystko będzie jak dawniej. Joe nie wiedziała, czy śni.

- Mamo, każ mu odejść. Obiecałaś przecież. On jest pijany.

Lecz mama wyciągnęła ku niemu ręce. Mikę objął ją i osunęli się razem na łóżko.

- Proszę, nie rób tego więcej. Proszę - szlochała mama. Joe uciekła do swojego pokoju. Była w takim szoku, że minęło kilka chwil, zanim się rozplakała. Pragnęła natychmiast znaleźć się w objęciach Zorro.

Kiedy Zorro się ocknął, było już widno. Pragnął opuścić ten dziecięcy pokój. Zewsząd szczerzyły się do niego pokemony. Asi spała. Jej oddech przesycala woń alkoholu. Zorro nie chciał na nią patrzeć. Nie wiedział, czy się z nią w końcu przespał. Czuł się totalnie naćpany. Nie wierzył, że w tym stanie byłby do czegokolwiek zdolny.

Powróciła myśl o Joe. Uważał się za kompletne zero. Znów wciągnął w siebie to gówno. I obudził się w dzieciennym pokoju. Pokemony miały niezły ubaw.

Wstał i ubrał się pospiesznie. Nogi miał jak z waty. Cały drżał. Nie mógł znaleźć cholernych drzwi na zewnątrz.

Potem nagle znalazł się w ogrodzie. Starzy Asi musieli mieć forsy jak lodu. Oboje pracowali w show-biznesie. Pozwalali córce robić to, na co tylko miała ochotę. Nawet iść do łóżka z jakimś włóczęgą.

Zorro pragnął znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Ruszył przed siebie. Kolana uginały się pod nim. Widział samego siebie człapiącego ulicą chwiejnym krokiem ćpuna. Wydawało mu się, że wszyscy gapią się na niego i już po samym chodzie rozpoznają narkomana. Zauważył, że ma na palcu obrączkę od Asi. Ściągnął ją i schował do kieszeni.

Nie wiedział, gdzie jest. Minęły co najmniej dwie godziny, zanim runął na łóżko w domku na działkach. Nie chciał się już nigdy więcej obudzić.

Joe odczekała, aż Mikę wyjdzie do pracy. Zastanawiała się, czy jechać na działki. A jeśli go tam nie będzie? Albo zastanie go w domku z jakąś inną? Co myślał, gdy nie przyszła o umówionej godzinie? Co by ona pomyślała, gdyby to on się nie zjawił? Pewnie, że to skończony dupek. Mama chciała z nią porozmawiać. Joe nie miała na to najmniejszej ochoty. Dlaczego nie poszła do szkoły? Od kiedy w ogóle matkę interesowało, co ona robi? Nie, wcale nie zachowywała się arogancko. Trudno

powiedzieć, czy wróci na wieczór do domu.

- Wracaj szybko do zdrowia, mamó.

Joe trzasnęła drzwiami. Pojechała prosto na Alex. Tak jakby była jakakolwiek szansa, że Engel siedzi na brzegu fontanny i wciąż na nią czeka. Przed południem przemieszczały się tam tylko tłumy turystów. Joe poszła do domu towarowego „Kaufhof.

Tak długo chodziła po korytarzach sklepu, aż zainteresował się nią jeden z ochroniarzy i nie odstępował od tej chwili na krok. Nie był zbyt inteligentny. Gdy Joe odwracała się w jego stronę, każdorazowo zachowywał się tak, jakby właśnie coś kupował. Joe miała niezły ubaw, gdy tak przemierzał za nią sklep wzdłuż i wszerz. Cały czas wyobrażała sobie, jak opowiada o tym Zorro i jak on się śmieje. Była teraz pewna, że Zorro zgniótlby ją w ramionach, gdyby nagle się przed nim pojawiła.

Gdy opuściła „Kaufhof, pod fontanną zebrało się już kilka osób. Jednak Zorro nie było wśród nich. Joe, siląc się na swobodę, podeszła do nich. Ledwo ją dostrzegli. Przykucnęła na krawędzi fontanny. W końcu spytała:

- Nie widzieliście może Zorro?

Tamci spojrzeli na nią z rozbawieniem. Joe próbowała uśmiechnąć się swobodnie.

Dziewczyna, na którą wołali Micky, rzekła:

- O niczym nie wiesz?

Joe przeraziła się, że to coś z Zorro.

- Stinki nie żyje.

Joe poczuła najpierw ulgę, że to nie Engel. Musiała chwilę pomyśleć, zanim skojarzyła, o kogo chodzi. Stinki to ten koleś, który był na permanentnym haju.

- Niemożliwe - rzekła.

Ktoś podsunął jej poranną gazetę. Był tam nieduży artykuł zatytułowany: „Tragiczna śmierć narkomana". Znalaziono go na szynach kolejowych. Tekst kończył się zdaniem: „Wiele wskazuje na to, że sprawcami mogli być faszyci".

Joe nie wiedziała, co powiedzieć. Tamci milczeli. Po chwili spytała ponownie:

- Czy Zorro był tu wczoraj?

- Wygląda na to, że czekał na ciebie - odparła Micky. Joe nie chciała tam zostać. I tak jej nie akceptują - pomyślała. Nie odczuwała smutku z powodu tego chłopaka. W końcu prawie go nie знаła. Cały czas myślała o mamie i o tej najgorszej z nocy. I o Zorro. Jak wszystko mu opowie. I jak ją potem przytuli. Nie chciała, by ktoś z tamtych ich widział. Oni i tak pochłonięci byli śmiercią Stinkiego.

Powiedziała im, że to straszne, co stało się ze Stinkim. I że jeszcze tu wróci. I żeby przekazali Zorro, jeśli się pojawi. Za chwilę już jej tam nie było.

Zeszła na peron metra. To jedyna droga, jaką mógł tu przybyć. Usiadła na ławce, niedaleko wyjścia. Zrywała się na równe nogi za każdym razem, gdy przyjeżdżał pociąg. Między przyjazdami biegała na górę i sprawdzała, czy nie ma go przy fontannie.

Dostrzegła go natychmiast, jak tylko pociąg wjechał na stację. Wysiadł i ruszył do wyjścia. Nieco pochylony, stawiał długie kroki, kołysząc ramionami w ich rytm. Joe kochała w nim wszystko. Wpatrywał się w chodnik przed sobą. Nawet nie odwrócił głowy, gdy potrącił go ktoś biegnący do pociągu.

Joe stanęła mu na drodze z rozłożonymi ramionami, w przeciwnym razie zapewne by ją minął. Dobrze było znów go dotknąć. Zorro utkwiał w niej wzrok i tylko patrzył. Wpatrywał się bez końca.

- Engel, to przecież ja! - zawołała w końcu.
- Gdzie byłeś? - spytał. - Gdzie byłeś? - Raz po raz powtarzał to zdanie.
- Rany! Teraz jestem tutaj. Tutaj!
- Gdzie byłeś, do ciężkiej cholery?!
- Pocałuj mnie, najdroższy.
- Fajnie, że cię tu przypadkowo spotkałem. Zajebicie.
- To żaden przypadek, idioto. - Głos jej się załamał. Tak było zawsze, zanim się rozplakała.
- Gdzie byłeś?
- W domu.
- Aha, w domu. Zajebicie.
- Proszę, przytul mnie.

- Olałaś mnie. Po prostu mnie olałaś.

- Posłuchaj, Engel, muszę ci o czymś opowiedzieć. -Z trudem powstrzymywała płacz.

- Może najpierw ja ci o czymś opowiem. Pół Berlina zlałem, szukając cię. Myślałem, że może dorwali cię łysi. A ty sobie tak po prostu siedziałaś w domu.

- Zaraz wszystko ci wyjaśnię. Moja matka...

- Moja matka, moja matka. Pewnie powiedziała: „Daj sobie spokój z tym śmierdzielem”.

- Jej kochanek...

- A co mnie obchodzi jakiś zasrany kochanek twojej starej? Byłem zdruzgotany. Rozumiesz? A ty sobie tak po prostu olałaś.

- Engel, co się dzieje? - Po policzkach Joe spływały łzy. - Przytul mnie, proszę, proszę, proszę. - Opadła na ławkę. Zorro znów wbił w nią tępy wzrok.

- Co się dzieje? Walnąłem sobie działkę. Przez ciebie. Joe nie rozumiała już nic. Jego słowa przestały do niej

docierać. Myślała, że zwariuje, jeśli zaraz jej nie przytuli i nie opowie mu o wszystkim, co przeżyła, o mamie, o Mike[^]. I o tym, że już nigdy nie wróci do domu. Nagle ogarnęła ją wściekłość.

- Możesz mnie przez chwilę posłuchać?! - wrzasnęła. Kilka osób obejrzało się na nich z głupawym uśmiechem. Zorro wyjął z kieszeni nóż. Usiadł na przeciwległym końcu ławki.

- Ech, chciałem ze sobą skończyć - westchnął.

- Ach tak, chciałeś ze sobą skończyć. Bo ja nie mogłam przyjść. Świetnie. Rany, ja tej nocy umierałam tysiąc razy! Czy teraz możesz mnie przez chwilę wysłuchać?

- Nic cię nie obchodzi, że przez ciebie omal ze sobą nie skończyłem. Olałaś mnie. - Przyłożył ostrze noża do tętnicy.

- Zostaw to! - Joe wyrwała mu nóż. Może teraz ją przytuli. Albo przynajmniej w końcu wysłucha. Odsunęła się od niego jeszcze kawałek. - Wróciłam wczoraj do domu i...

- Taa? Zrobię to, jak Boga kocham, zabiję się. Mówię poważnie.

Joe zerwała się z ławki i rzuciła mu pod nogi nóż.

- Więc na co jeszcze czekasz, kretynie?

Pobiegła schodami na górę. Nie wiedziała, dokąd. Miotła się po całym Alex, nie oddalając się jednak od fontanny. Miała nadzieję, że za nią pobiegnie. Tak się jednak nie stało.

Zatrzymała się w końcu przed witryną sklepu jubilerskiego. Spojrzała do gabloty, w której wyłożono chyba ze sto złotych łańcuszków. Kto kupi taką ilość złota - zastanowiła się zupełnie poważnie. W głowie miała kompletną pustkę i nie zdawała sobie sprawy z absurdalności tej refleksji. Dostrzegła swoje odbicie w jednym z luster na wystawie. Zakryła twarz włosami, potem odgarnęła je do tyłu. Podeszła bliżej. Zwilżyła śliną jednorazową chusteczkę i otarła z twarzy lepkie łzy.

Zatrzymała się w końcu przed witryną sklepu jubilerskiego. Spojrzała do gabloty, w której wyłożono chyba ze sto złotych łańcuszków. Kto kupi taką ilość złota - zastanowiła się zupełnie poważnie. W głowie miała kompletną pustkę i nie zdawała sobie sprawy z absurdalności tej refleksji. Dostrzegła swoje odbicie w jednym z luster na wystawie. Zakryła twarz włosami, potem odgarnęła je do tyłu. Podeszła bliżej. Zwilżyła śliną jednorazową chusteczkę i otarła z twarzy lepkie łzy.

Usiadła na schodach przed pralnią „Top Clean”. Obserwowała grupkę deskorołkowców, którzy upodobali sobie to miejsce. Czasem zerkała w stronę fontanny. Wśród jeżdżących był również chłopak, który podrywał ją pierwszego dnia na Alex. Zachowywał się, jakby jej nie znał, lecz co i raz podskakiwał na swej desce jak opętany. Po każdym tricku zerkał ukradkiem w jej stronę.

Co się właściwie stało? To wszystko było tak nierealne. A może jednak? Przecież właściwie nie miała wątpliwości, że Engel ją kocha. Więc czemu to wszystko? Przez mamę. Przez tę obleśną gębę Mike'a. Musiała komuś o tym wszystkim opowiedzieć, by nie zwariować. Ale nie mogła zwierzyć się temu, który ją kochał i którego ona kochała. Bo każdy dba tylko o siebie. I tak naprawdę każdy jest sam, a miłość to tylko urojenie.

Sen się skończył. On i tak jej teraz nienawidził. Bo chyba nie ma nic gorszego jak usłyszeć od kogoś to, co on usłyszał od niej. A ona wcale nie miała tego na myśli. Nie

chciała, by z sobą skończył. Ale gdy człowieka ogarnia wściekłość, po prostu nie można nad sobą zapanować. W końcu nie zdarzyło jej się to po raz pierwszy. Na to nie ma rady.

Właściwie nie była tak naprawdę załamana. Zawsze mogła jeszcze nacisnąć klawisz escape. Zorro zniknął z ekranu. Odłożyła go na bok. Wrzuciła do teczki z napisem: NIEZAŁATWIONĘ. Gapiała się na deskorolkowców. Pomyślała, że to w sumie beznadziejne zajęcie - tak podskakiwać na jakiejś desce, bez sensu. Koleś, który na nią ciągle zerkał, zaczął ją wkurzać. Wciąż próbował przeróżne tricki na schodach, tuż obok miejsca, gdzie siedziała. W pewnej chwili deska mu odskoczyła i omal nie trafiła Joe w głowę.

Stanął przed nią i powiedział:

- Wybacz. Zapatrzyłem się na ciebie. - Potem dodał: -Nie spotkaliśmy się już wcześniej?

- Możliwe - odparła Joe.

- Myślałem, że siedzisz u punków.

- Siedzę tutaj.

- No tak. A co tu robisz?

- Przecież widzisz.

Chłopak milczał chwilę. Potem powiedział, że wybiera się właśnie wrzucić coś na ząb i jeżeli Joe miałyby ochotę, chętnie zaprosi ją do jakiegoś „Burger Kinga” albo gdzie indziej.

Właściwie Joe nic jeszcze nie jadła. Ale na myśl o tłustym hamburgerze zrobiło jej się niedobrze. Miała raczej ochotę na coś słodkiego. Jak zawsze, gdy przeżywała silny stres.

- Kawalek tortu marcepanowego nie byłby zły - rzekła bez namysłu. Dopiero potem uświadomiła sobie, że w ogóle nie ma ochoty zadawać się z tym typem.

- Dobra - odparł.

Przez całą drogę trzymała się pół metra za nim, nie miała bowiem najmniejszej ochoty na rozmowę. Poszli do „Kaffeehaus am Alex”, miejsca, gdzie pedały wsuwały bitą śmietaną i delectowały się owocową sałatką. Albańczycy, Kurdowie i jeszcze

jacyś inni, wbici w czarne garnitury, z gładko zaczesanymi włosami, rozprawiali przez srebrne telefony komórkowe. I patrzyli przy tym pożądlivym wzrokiem na Joe.

Ciastka były tu zabójczo drogie. Gdy jej towarzysz zamówił tort marcepanowy, Joe nie wytrzymała. Na monitorze ponownie pojawił się Zorro. A ona ponownie wcisnęła klawisz escape.

Chłopak miał na imię Alex. Zażartował oczywiście, że nazwa Alexanderplatz powstała na jego cześć. Mógł sobie tego oszczędzić. Ale nie dało się zaprzeczyć - wyglądał całkiem nieźle. Był wysoki. Na głowie nosił niebieską chustkę. Miał kilka piegów i śliczne dołeczki. Jego deskorolkowe ciuchy pochodziły z najnowszego żurnala mody. Dziewczyny z jej klasy przekręciłyby się z zazdrości, że podrywa ją taki typ. Na dobrą sprawę powinna się cieszyć.

Zanim dostali swoje torty, Alex gadał jak najęty. Opowiadał, że planuje zostać zawodowym skateboarderem, nie znosi szkoły, słucha punk-rocka - rzadziej hip-hopu, jego starzy chcą, by przejął po nich firmę, ale i tak wolność jest dla niego najważniejsza, bla, bla, bla...

Raz tylko zapytał ją, czym się zajmuje. Całe szczęście, że raz.

- Życiem na wolności - odparła. W sumie się zgadzało. Alex wyznał, iż zazdrości jej, bo potrafi przestawać z punkami, nie stając się jedną z nich. On też miał z nimi kontakt. Znał Spasti ze szkoły. Zresztą gdy na horyzoncie pojawiają się łysi, to skejci i pańczury stają w jednym szeregu.

W sumie nie zachowywał się jak ostatni dupek. Był może nieco dziecinny i rozpieszczony. Z tych, co to uczą się chodzić w śpioszkach z żurnala. Oczywiście spytał w końcu, czy Joe nie poszłaby z nim wieczorem do kina albo zjeść coś konkretnego i pogadać. Wprawdzie miał jutro klasówkę z matmy, ale huk z tym.

Joe odparła, że ma już inne plany, ale może kiedy indziej.

Zorro długo siedział na peronowej ławce. Podniósł z ziemi nóż. Powoli docierało do niego, jak żalodne odstawił przedstawienie. Ale z jakiej racji ta mała pojawiła się nagle na peronie, ot tak, na pełnym luzie? Jakby nic się nie stało. „Pocałuj mnie, najdroższy". Doprawdy. I ciągle tylko gadała o swojej matce i jej kochanku. Nie obchodziło jej, co się z nim działo.

Zamurowało go, gdy ją ujrzał. Może rzeczywiście na niego czekała. Ta myśl nie błysnęła mu jednak w głowie. Nieee, on z góry uznał to za czysty zbieg okoliczności, że się na nią natknął. A tu ona, jak gdyby nigdy nic, mówi, żeby dał jej buzi.

Tak, bardziej nie dałoby się tego spieprzyć. Najgorsze jednak, że w takiej chwili naprawdę był zdolny się zabić. Joe miała w sumie rację - powinien był to zrobić. A nie histeryzować jak jakaś ciota. Ech, naprawdę totalnie mu odwaliło, gdy ujrzał ją nagle przed sobą.

Zorro wsiadł w pociąg i pojechał na działki. Właściwie co miał jej powiedzieć? Że się naćpał? Że on i Asi... Zresztą i tak byłoby już po wszystkim. Naturalnie skłamałby. W ten czy inny sposób odstawiłby ten swój żaloszny spektakl.

Choć wcale nie pieprzył się z Asi. Był przecież ledwo przytomny. Co ona mogła wiedzieć o prawdziwym pieprzeniu? Ale to już i tak bez znaczenia. W każdym razie o Joe mógł sobie tylko pomarzyć. Nieprędko o niej zapomni. Dziewczyny takiej jak ona nie można ot tak wymazać z pamięci. Naprawdę wartościowe laski wyłącznie wpędzają w depresję.

W domku na działkach Zorro wypalił chyba ze sto skrętów - prezent od Asi. Zużył wszystko co do joty. Zanim odpadł na dobre, zauważył, że tli się jego łóżko. Niewiele brakowało, a spłonąłby wraz z całą chatą. Wielkie rzeczy! Tylko szkoda Django.

Minęła noc i pół dnia, zanim się obudził. Miał koszmarne sny. Ostatni był najgorszy. Była tam Joe -jak ją Pan Bóg stworzył. Olśniewająco piękna. W jakimś parku. „Hej, Engel” - kwiliła, unosząc się nad łąkami. Zaczynało się jak najgorszy kicz. Zorro pobiegł w jej stronę. Gdy był tuż-tuż, uskoczyła w bok, a on runął na pysk. „Przytul mnie” -szemrała. Zaczęła miętosić swe nieziemskie piersi. Zorro pognął do niej z szeroko rozwartymi ramionami. W ostatniej chwili zanurkowała pod jednym z nich, śmiejąc się głośno. Jej śmiech był słodki i przyjazny. „Pocałuj mnie” -szumiała. Język zwisał mu aż do szyi. Przypominał odrąbany cielęcy łeb. Nie mógł wciągnąć tego cholernego języka z powrotem do gardła. Głos Joe zmienił się. „Rznij mnie, dalej, rznij mnie” - domagała się, odsłaniając wszystko. Kolana uginały się pod nim. Czuł, że nogi ma jak z waty. Nie mógł zrobić kroku. To przez ten towar, to przez

ten parszywy towar - pomyślał. „Więc zerznij się sam!” - krzyknęła Joe. Tańczyła w jakimś pałacu, ogromne drzwi zamykały się za nią. Zorro siedział na brzegu fontanny, podobnej do tej na Alex. Lokaj przyniósł mu marcepanowy tort i postawił na kamieniu. Zorro odrywał ogromne kawały i pakował łapczywie do ust. Asi usiadła mu na kolanach. Powiedziała, że robi to nieprawdopodobnie dobrze i że doszła już trzy razy. Zorro wchłonął tort do ostatniego okruszka. Marcepan zakleił mu gardło niczym patex. Próbował wołać Joe, ale nie był w stanie wydobyć głosu. Tort rozdymał jego żołądek do rozmiarów jednoto-nowego balonu. W pewnym momencie stracił równowagę i wleciał do fontanny. Wszyscy zaśmiewali się do rozpuku. Wtedy się obudził. Czuł się parszywie.

Późnym popołudniem pojechał na Alex. Miał nadzieję, że Joe tam będzie, choć jednocześnie bał się z nią spotkać. O Asi zdążył już zapomnieć. Potrafił bardzo szybko zagłuszać w pamięci przykre wspomnienia. W każdym razie na pewien czas. Dopóki znów się nie zjawiały.

Przy fontannie spotkał Asi.

- Gdzie byłeś?

- Tam, gdzie powinienem być.

- Wczoraj czekałam na ciebie godzinami.

- Nikt cię o to nie prosił.

- To ma być żart? Ulżyłeś sobie i do widzenia?

- Przecież mówiłem ci już. To, że u ciebie przekima-łem, nie znaczy, że jesteśmy parą albo czymś takim.

- Ale sam powiedziałaś, że było ci dobrze. - Asi skuliła się i skryła twarz w dłoniach.

Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Nie bzykałem się z tobą, jeśli o to ci chodzi.

- Więc kto to był, Święty Mikołaj?

- Dziewczyno, przecież byłem nawalony jak stodoła. Spójrz na to obiektywnie.

Jesteś jeszcze dzieckiem. Jak zaczniesz teraz łązić i rozpowiadać wszystkim naokoło, że cię przeleciałem, to nie ręcę za skutki.

Asi patrzyła na niego zapłakanymi oczami. Gdy się odwrócił, skoczyła mu na plecy.

- Jesteś największą i najpodlejszą świnią na świecie. Ale jeszcze popamiętasz - syknęła i chwyciła zębami za jego lewe ucho. Potem puściła go, wypluła mały kawałeczek ucha i pobiegła przed siebie.

Tym, którzy widzieli zajście, nie było do śmiechu. Ale każdy miał na jego temat coś do powiedzenia. „Nieokrzesane córki Mike'a Tysona są wszędzie”. I temu podobne.

Zorro był w szoku. Lecz rzekł tylko:

- Jezu, tej małej kompletnie odbiło. Popatrzcie tylko. -Przyłożył dłoń do ucha. Rana krwawiła obficie. Wyczuł palcami rozcięcie nad płatkami ucha. O mało nie zemdlął.

Spasti zaprowadziła go do apteki i opatrzyła ranę. Zorro miał już wszystkiego dość. A zwłaszcza kobiet. Ostatkiem sił powlókł się do metra. Chciał wrócić na działki. Nienawidził ludzi, którzy wracali z pracy do domu. Byli niczym ożywione zwłoki. Wpatrzeni przed siebie. Martwi.

Ucho piekło niemiłosiernie. Może rzeczywiście był ostatnią świnią. Nienawidził tej małej wiedźmy. To przecież ona wciągnęła go w to całe gówno. A w końcu do dziecięcego łóżka. A on, zamiast walczyć, pozwolił na to wszystko. Był skończonym frajerem.

W domku nie było ani alkoholu, ani nikotyny. Zorro pomyślał z początku, że nie wytrzyma bez żadnych używek. Potem wdrapał się na balkon. Kos rozpoczął wieczorny koncert.

- Ech, Engel, ty palancie - mówił do siebie. - Jeszcze przyjdzie twój czas. W końcu jesteś twardzielem czy nie? -Oparł nogi o poręcz werandy i wsłuchiwał się w ptasi śpiew. Próbował nie myśleć. Obserwował tylko zapadający zmrok. Przypomniawsobnie wieczór, gdy siedzieli tu we dwoje. Doszedł do wniosku, że melodia kosa to całkiem niezła używka.

Któregoś dnia Joe zatelefonowała do starszej pani, którą spotkała tamtego dnia na cmentarzu. Kobieta była nad wyraz sympatyczna. Z miejsca zaproponowała Joe, by

ją niezwłocznie odwiedziła.

Rozmowa trwała chwilę, lecz Joe zdążyła jej już co nieco opowiedzieć. O ucieczce z domu, o tym, że się zakochała, ale z tym już skończone.

Kobieta nazywała się Schmidt. Zadzwoiła do mamy Joe i nabujała, że jej wnuczka i Joe bardzo się przyjaźnią i nie będzie to żaden kłopot, jeśli spędzi u nich kilka dni.

Joe z przyjemnością wyobrażała sobie, jak przykra dla mamy musiała być ta rozmowa.

Duży pokój w mieszkaniu pani Schmidt był obstawiony masą różnego rodzaju pamiątek. Przyciągały wzrok śmieszne drewniane figurki i dziwne kolczaste rośliny. Wszędzie wisiały lub stały oprawione fotografie. Niektóre pożółkły już ze starości. Na ogół przedstawiały tego samego mężczyznę - zapewne jej męża. Pozował na plaży albo obok przedpotopowego samochodu. Wiele było także kolorowych fotografii dzieci - zupełnie małych i trochę większych, na przykład znad morza lub przy choince. Wisiała tam również oprawiona karta dań. Obok niej zaś - pomarszczony bukłak.

Starsza pani, widząc, jakie wrażenie wywarła na Joe jej kolekcja, opatrywała wybrane zdjęcia krótkimi komentarzami. To z podróży poślubnej, to jej najmłodsza wnuczka, bukłak przywiozła ze swojej pierwszej podróży do Hiszpanii.

Joe pomyślała, że cała przeszłość tej kobiety zawarta jest w tym pokoju pod postacią sterty drobiazgów. Że też całe życie tak łatwo zmieściło się w niedużym pokoju!

- Postanowiłaś więc żyć po swojemu? - podsumowała pani Schmidt.

- Na to wygląda - odparła Joe.

- Rozkoszuj się tym. Młodym dziś nie jest łatwo. Osiemnastolatki muszą się troszczyć o wysokość emerytury, którą będą dostawać po sześćdziesiątce. Ja w wieku osiemnastu lat zachowywałam się, jakby przyszłość nie istniała.

Pani Schmidt naprawdę była w porządku. Zapewne umiała również czytać w myślach.

- Nie chcę dożyć trzydziestu lat - powiedziała Joe.

- Doskonale cię rozumiem - rzekła kobieta. - Przekonasz się jednak, że z czasem zaczniesz raczej odwlekać to, co nieuniknione, niż przyspieszać. Najpierw o dziesięć lat, potem znowu o dziesięć, i tak dalej.

Joe mieszkała u pani Schmidt przez kilka dni. Zabawne, że ze starszymi ludźmi można było zrozumieć się czasem o wiele lepiej niż z tymi pokręconymi czterdziestolatkami. Tak jak na przykład Zorro ze swoją babcią.

Każdego ranka wychodziła do szkoły. Na prośbę pani Schmidt telefonowała codziennie do mamy. Wciąż myślała o Engelu.

Raz, niby przypadkiem, wpadła na Alex. Nie spotkała Zorro. Nie pytała o niego. Ludzie pod fontanną byli dla niej mili. Pytali, co słysząc, i w ogóle. Nazajutrz wszyscy wybierali się na pogrzeb Stinkiego. Joe zapewniła, że również się pojawi.

Jednak to nie z powodu Stinkiego pojechała następnego dnia do miejskiego krematorium. Przecież właściwie go nie знаła. Wciąż myślała o Engelu. Choć nie sądziła, żeby się pojawił. Miał wszak koszmarnie wspomnienia z pogrzebu.

Krematorium mieściło się w ponurym kopulastym budynku z kominem, z którego ulatniał się już dym. Wnętrze przypominało szkolną salę gimnastyczną w czasie akademii. Las niechlujnie poustawianych krzeseł. Pod sufitem ciągnęły się rzędy jarzeniówek, będących głównym źródłem światła, ponieważ sala nie miała okien. Z przodu stała trumna. Tak po prostu. Opierały się o nią dwa wieńce. Jeden od znajomych. Dużo zieleni, mało kwiatów. Na czarnej szarfie napis: „Do zobaczenia, Przyjacielu”. Drugi wieniec był nieco efektowniej szy. Na szarfie złotymi literami napisano: „Będziemy tęsknić. Rodzice”.

Joe pomyślała, że za nic nie chciałaby znaleźć się po śmierci w takim bezdusznym miejscu, za pomocą złotych liter utwierdzana w przekonaniu, że ktoś za nią tęskni.

Engela oczywiście nie było na sali. W pierwszym rzędzie zasiadali członkowie rodziny i różni krewni. Wszyscy ubrani na czarno. Z tyłu ludzie z Alexanderplatz. Oddzielał ich rząd pustych szarych krzeseł z porysowanymi oparciami. Czasem któryś z krewnych odwracał się do tyłu i zerkał krótko na tych z Alex. Wyglądał wtedy, jakby myślał: „Co ja tu robię?”.

Z głośników snuła się smętna melodia. Tę ckliwą pieśń wybrali z pewnością rodzice chłopaka. Może myśleli, że pasuje do ich syna.

Z bocznych drzwi wyszedł jegomość w czarnym garniturze. Zbliżył się do rodziny zmarłego. Miał szarżółtą cerę, przypominającą zepsuty ser, i sparciałe szarżółte włosy. Jego garnitur musiała z pewnością pokrywać ogromna ilość łupieżu, lecz z dalszej odległości było to niewidoczne.

Urzędnik chwycił dłoń matki zmarłego i popatrzył jej głęboko w oczy. Człowiek siłą rzeczy wyobrażał sobie, jak wilgotna musiała być ta dłoń. Typ podchodził do każdego z krewnych. Wreszcie znalazł się na mównicy.

- Drodzy rodzice - zaczął - drodzy pograżeni w żalu zebrani! Któż potrafi zmierzyć, jak głęboki jest wasz ból! -Miał przy tym minę, jakby bolały go wszystkie zęby. -Dlaczego? - zadajemy sobie pytanie. Dlaczego?! - zawołał, unosząc ręce. Matka Stinkiego zaczęła głośno szlochać. Mówca odczekał cierpliwie, pozwalając jej wypłakać się w ciszy. Wtem zaskrzypiały drzwi wejściowe i zaraz zamknęły się z hukiem. Wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. Joe też. To był Zorro. Uczynił kilka kroków głównym przejściem, wpatrzony w trumnę. Człowiek przy mównicy uczynił nerwowy gest, nakazując mu, by usiadł. Ten jednak nie ruszył się z miejsca.

Po kilku próbach mówca w końcu dał za wygraną i kontynuował:

- Był taki młody! Ledwie zaczął życie. Miał jeszcze tyle przed sobą.

Zorro patrzył na niego obłąkanym wzrokiem.

- Ale was -jegomość zwrócił się do rodziców chłopaka, posyłając im spojrzenie pełne wyrazu - was, drodzy pograżeni w rozpacz najbliżsi, będą pocieszać wspomnienia. Oczami duszy ujrzycie waszego Kaia-Uwe, który jako mały brzdąc radośnie swawolił po ogrodzie dziadków.

Uczynił kolejną pauzę, by co wrażliwsi mogli się wypłakać. I nawijał dalej:

- Naturalnie, w jego małej głowie rodziły się różne pomysły. Czasem był dla was niełatwy, drodzy pograżeni w smutku rodzice. Lecz wasza bezgraniczna miłość do syna...

- Człowieku, przestań głądzić, bo rzygać się chce! -ryknął Zorro. Pobiegnął do

małych drzwi, otworzył je i zatrzasnął za sobą.

Na sali zapadła głucha cisza. Gość na mównicy przeczesał nerwowo włosy, wzniecając zapewne istną łupieżową zamieć. Joe, potykając się o stopy siedzących w ławce, pobiegła do drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Zorro.

Pomieszczenie, w którym się znalazła, tonęło w mroku. Jedyne światło biło od spodu. Odnalazła schody prowadzące na dół. Światło pochodziło z rozpalonych pieców. Prześwitywało przez liczne szpary.

Zorro stał na schodach i płakał. Blask płomieni padał na zalaną łzami twarz.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał zaskoczony. Joe podeszła do niego blisko i pocałowała.

- Jesteś cały słony.

- Ryczę tylko, gdy jestem wściekły - powiedział i objął ją mocno. Było właśnie tak, jak to sobie wielokrotnie wyobrażała.

- Engel, wariacie. Ty mówisz wprost, że gównem jest gównem. Kocham cię.

- Gdzie się podziewałaś cały ten czas, księżniczko?

- Nie pozwól mi odejść. Już nigdy więcej.

- Jestem ostatnim idiotą.

- Wcale nie. Jesteś za to mądrałą, który wie wszystko, tylko nie to, że go kocham.

- Gdy człowiek jest tak zakochany, po prostu mu odbija.

- To się już więcej nie powtórzy. Teraz lepiej cię rozumiem. Czuję, jakbyśmy się znali od zawsze. Jesteś najszlachetniejszym wariatem na świecie.

- Nieprawda. Nie ma we mnie nic szlachetnego.

- Ależ jest. Mówisz, co myślisz, i robisz, co chcesz. Resztę olewasz. Głupio się zachowałam wtedy w metrze.

- Czulem się wtedy jak świniopas na królewskim dworze.

- Jesteś raczej moim nadwornym błaznem, z którym miałam burzliwy romans. I poświęciłam za to moje królestwo.

Zorro pociągnął Joe kilka stopni w dół. Jego dłonie zaczęły wędrować gorączkowo po całym jej ciele.

- Muszę się z tobą kochać - powiedział.

Joe nie opierała się. Gdy otworzyła na chwilę oczy, płomień w piecu pojaśniał. Przed nimi rozciągała się piwnica z urnami, prochami i zwęglonymi kośćmi.

- Chodźmy stąd - szepnęła.

Najpierw coś skrzypnęło i zazgrzytało. Nad ich głowami rozwarła się klapa. Z otworu w suficie powoli opuszczała się platforma, na której stała trumna. Pod nią odsunęła się druga klapa, odsłaniając rozżarzone wnętrze wielkiego pieca. Chwilę później platforma z trumną znikła tam, pochłonięta przez płomienie.

Zorro trzymał Joe mocno.

- Rany, to zbyt przygnębiające - rzekł. - Bywaj, stary.

- Cholera! - ryknęła Joe.

- To był mój kumpel. A teraz została z niego garstka popiołu. Oto co to gówno robi z człowieka. - Zorro znów objął Joe żelaznym uściskiem. - Chciałbym, byśmy już zawsze byli razem.

- Chodźmy stąd. Tęsknię do słońca.

Znaleźli drzwi prowadzące na tyły krematorium. Stało tam mnóstwo pojemników na popiół. Na jednej hałdzie rosły kwiatki.

- Wiesz, co jest celem życia? - spytał Zorro.

- Musisz zaczynać pytaniem z „Milionerów”?

- Finałowa przejażdżka śmieciarką na wysypisko.

- Przestań! Chciałabym cię jeszcze o coś zapytać. Chyba o pieprzeniu nie myślisz, wyłącznie stojąc na jakiejś tam górze, co?

- Jak to?

- Czy nie o tym właśnie myślałeś, gdy obok twój kumpel wjeżdżał do dziury?

- O co ci chodzi?

- Nie miałeś ochoty na szybki numerek? Tam na schodach, obok pieca.

- A co w tym złego?

- Nic. To perwersyjne. I słodziutkie.

- Stinki miałby niezły ubaw. Jego pochłaniają płomienie, a my się obok pieprzymy. Uwielbiał takie klimaty, póki jeszcze nie rozjechał sobie mózgu.

- Ech, Engel. Wiesz, o zmroku zawsze przypominasz mi anioła. Naprawdę.
- Chodźmy do mojej kanciapy.
- Pod warunkiem, że zasuniesz zasłony i będziesz wyglądać anielsko.

Pojechali na działki. Przez wiele godzin nie wychodzili z łóżka. W pewnym momencie Joe spytała:

- Odprowadzisz mnie?
- Jak to, chcesz już iść? - przestraszył się Zorro.
- Nie powinnam zaniedbywać szkoły, pamiętasz? Ty zapisujesz się na praktyki.

Zamieszkamy razem i zrobimy sobie dzidziusia.

- Naprawdę wciąż tego chcesz? - Zorro znów położył się na Joe i pocałował ją.
- Wrócę tu po szkole.
- Poszukam sobie czegoś w twojej okolicy. Potem odprowadzę cię do szkoły. A

później cię odbiorę.

- Engel, wariacie.
- Nie chcę, byś była daleko. A może zamieszkasz tutaj?
- A gdzie będę odrabiała lekcje? Poza tym sam powiedziałeś, że powinnam

wrócić do domu i chodzić do szkoły. Uważałam, że to do dupy. A jednocześnie bardzo rozsądne.

- Ale teraz już nie chcę być rozsądny.
- Wygląda na to, że nie masz wyboru. Bo, widzisz, mnie już zupełnie odbiło z miłości. W każdej chwili mogę wejść na wieżę telewizyjną i skoczyć - przekonana, że umiem latać - jeśli mnie nie powstrzymasz.

Zorro przytulił ją mocno.

- Już zawsze będę przy tobie.

Jakiś czas potem przemierzali Friedrichshain. Zorro zabrał ze sobą śpiwór, książkę, kilka świec i klatkę Django. Wyjaśnił, że to na wypadek, gdyby udało mu się znaleźć w okolicy jakieś miejsce do spania. Mijali szare kamienice z rozpadającymi się balkonikami, na które nikt już nie wchodził. Ponurych murów nie zdobiły nawet graffiti. Oprócz psich gówien - na ziemi walało się pełno puszek po piwie. Tylko zaparkowane na ulicy samochody były czyste.

Dotarli na miejsce. Okolica była nawet dość urozmaicona - w pobliżu był sklep monopolowy z lotto, kwiaciarnia „U Gaby”, siłownia „Freddy”.

Wszyscy oglądali się za Zorro. Z kwiaciarni wyskoczył mały pies i zaczął na niego wściekle ujadać.

- Nawet psy są tutaj wredne - powiedział Zorro.

- Mówiłam ci, że to gówniana dzielnica. I te staruchy, które tylko sterczą w oknach całymi godzinami i czyhają -a nuż coś się wydarzy. A tu nic. Nawet zwykłej kradzieży albo gwałtu.

- Dobrze, skończ już to biadolenie. Idziesz teraz do mamy, a jutro raniutko grzecznie do szkoły. - Chwycił głowę Joe i przycisnął usta do jej warg. Przyłgął do niej całym ciałem. Pocałunek niemal pozbawił Joe tchu.

- Kocham cię, moja ty seksmaszyno.

Przyglądała im się stojąca nieopodal starsza kobieta. Jej ponura twarz wyrażała dezaprobatę. Zorro uśmiechnął się do niej szeroko.

- Babcia, zamiast podglądać, lepiej sama byś spróbowała. To naprawdę wspaniałe uczucie.

- Smarkacze! - rzuciła kobieta.

- No co? Nareszcie coś się dzieje na tej ulicy. Przystanęło jeszcze kilka osób. Zorro przybrał najsympatyczniejszy wyraz twarzy, na jaki tylko go było stać.

- No, ludziska, na co się gapicie? Sami powinniście czasem pociupciać. Cały dzień ciupciania dobrze by wam zrobił. To najlepsze na depresję. Serio.

Joe było trochę niezręcznie.

- Przestań - powiedziała. - Przecież oni mnie wszyscy znają.

- Za moich czasów takie rzeczy były nie do pomyślenia - odezwał się ponury mężczyzna.

- Co to się dzisiaj wyprawia! - zawtórowała mu jakaś kobieta.

Ludzie poszli dalej.

- Wariat! - roześmiała się Joe. - Nie będę się już mogła tu więcej pokazać.

Zawsze musisz mówić, co myślimy?

- Mogę się odzwyczaić, jeśli chcesz.

- Ależ nie chcę. - Joe wskazała na kamienicę, pozbawioną już balkonów. - Tu mieszkam.

- Nie zaprosisz mnie?

- Daj spokój. Ten fagas przecież ocipieje, jak cię zobaczy.

- Chętnie bym mu sklepał maskę.

- Doprawdy, bądź rozsądny.

- Które jest twoje okno?

- Tamto, na pierwszym piętrze. Dobra, muszę lecieć. To do dupy, ale cóż. Do jutra, Engel.

Patrzył, jak się oddala.

- Zaczekaj! - zawołał. - Nie pożegnałaś się z Django.

Joe roześmiała się. Zorro wyjął Django z kieszeni i podał jej. Joe pocałowała go. Zorro również nastawił policzek.

- A ja?

- Dzisiaj dość już dostałeś.

Oddała mu Django i pobiegła do domu.

Zorro poszedł na cmentarz. Usiadł na ławce. Na tej samej, na której siedziała Joe, zanim się wkrótce poznali. Kartkował swoją ulubioną książkę Buszujący w zbożu. Historia rozgrywała się w czasach, gdy nie pojawiły się jeszcze narkotyki. Była za to whisky. Główny bohater nazywał się Holden. Wywalili go ze szkoły i z obawy przed ojcem tułał się po Nowym Jorku. Chłopak był bez zastrzeżeń. Uważał, że świat to jedno wielkie bagno. Nie brakowało mu jednak temperamentu i nigdy nie uskarżał się na swój los.

Zorro szukał fragmentu, przy którym omal się nie rozplakał, gdy jako piętnastolatek czytał tę książkę po raz pierwszy. W tej scenie Holden odwiedza potajemnie swoją małą siostrzyczkę. Mówi jej, że szkoła i w ogóle cały świat jest gównem. A wtedy ona pyta, czy w ogóle coś ma dla niego wartość. Miał wyliczyć po kolei to, co naprawdę lubi. Holdenowi sprawiło to wielki kłopot, nic bowiem nie przychodziło mu do głowy. Ta mała zabiła bratu niezłego ćwieka.

Zorro sam często zadawał sobie to pytanie. Od niedawna znał już odpowiedź. I właśnie dlatego czytał ten fragment po raz kolejny. Czuł się dumny. Ten Holden musiał być naprawdę bardzo nieszczęśliwy, nie kochając nikogo. Może oprócz swojej siostrzyczki.

Potem długo łąził po cmentarzu. Pochowani tu ludzie z pewnością nie należeli do biednych. Przy budowie nagrobków nie szczędzono kolorowego marmuru. Pod kolumnami z czerwonego i czarnego kamienia klęczał Rzymianin z utraconym nosem. Albo kobieta anioł, której piersi odsłaniała odchylona koszula. Nie mogła nic na to poradzić, ponieważ odpadły jej ręce.

Zorro jeszcze nigdy nie spacerował po cmentarzu. Czuł przed tym lęk. Ale Joe powiedziała, że to jest bardzo ładny cmentarz. Nie myliła się. Zorro śmiał się w duchu z marmurowych miniświątyń i tych kilku spróchniałych kostek w środku. I z tych kamiennych niewiast ze świętym wyrazem twarzy, które i tak wiedziały, że każdy gapi się na ich nagie piersi. Już lepiej jak Stinki udać się w ostatnią podróż prosto w ognistą czeluść.

W jednym miejscu ciągnął się rząd białych kamieni. Wryto w nich wyłącznie imiona. Paul-Felix, Susanne--Katharina. I wiek. Powyżej na każdym z nich wryto misia. Zorro zauważył dwa rodzaje misiów: ubrane w spodenki albo bez spodenek.

Ciekawe, jak reagowali rodzice tych dzieci, kiedy kamieniarz pytał: „Czy miś ma być w spodenkach, czy bez?” I dlaczego właśnie misie? Co dzieci, które nie dożyły nawet swoich pierwszych urodzin, miały wspólnego z jakimiś misiami? Smoczek można by jeszcze zrozumieć. I czemu tak wiele z nich miało podwójne imiona? Na to ostatnie pytanie Zorro potrafił sobie odpowiedzieć: odeszły, zanim rodzice zdecydowali się, które wybrać.

Kiedy Zorro był w dobrym nastroju, potrafił godzinami dumać nad takimi kwestiami. Pod warunkiem, że nie dotyczyły go bezpośrednio.

Będąc w dołku, pomyślałby bez wątpienia, że od dawna sam powinien leżeć pod białym kamieniem. Tutaj w sumie dało się wytrzymać. Chociaż ten Holden z powieści pewnie zupełnie by się tu załamał. Bo to musi być coś strasznego -samotnie, nie kochając nikogo, szukać dla siebie miejsca na cmentarzu.

Zapadał zmrok. Przy jednej z alejek pracował jeszcze jakiś grabarz.

- Dzień dobry! - zawołał Zorro, zbliżywszy się. Tamten tak się przestraszył, że aż wypuścił łopatę z rąk. Wpatrywał się w Zorro jak w upiora, który wypełził właśnie z grobu. Zorro znalazł w końcu świetne miejsce na nocleg. Grobowiec rodzinny rodu von Potthas był wyjątkowo ohydny, za to do spania nadawał się idealnie. Marmurowa podłoga lśniła czystością. Pomiedzy kolumnami prześwitywał zza drzew księżyc. Zorro położył się na śpiworze. Wyjął Django z klatki.

- Rozchmurz się - rzekł, patrząc mu w oczy. - Nie zapomniałem o tobie. Nie jesteś chyba zazdrosny? Myślisz, że ona naprawdę mnie kocha? W końcu mogłaby mieć każdego. Ale kocha właśnie mnie, a ja ją. Ech, stary, to rzeczywiście cudowne uczucie. Nie smuć się. Dla ciebie też kogoś znajdziemy. Słowo.

Spomiedzy kolumien wychynęła nagle jakaś głowa.

- Co to ma znaczyć? - spytał grabarz niepewnym głosem.

- Dobry wieczór. Nie poznaje mnie pan? - odparł Zorro.

- Do kogo pan tam gada?

- To poufna rozmowa.

- To zabronione. Nie czytał pan, że po zachodzie słońca cmentarz jest zamknięty?

- To pan nie wie, kto tu jest pochowany?

- Niee, czemu?

- Niech pan przeczyta, wyryte jest nad wejściem.

- Mianowicie?

- Mój pradziadek, mój dziadek i mój tato.

- Mimo to musi pan opuścić cmentarz.

- Człowieku, pod tymi kamieniami spoczywa mój ojciec. Mój słynny ojciec. Po jego śmierci zupełnie się stoczyłem.

- Nie wątpię. Mimo to nalegam.

- Muszę rozmówić się ze staruszką. Rozumie pan? Sam na sam.

- Długo to potrwa?

- Całą noc.

- Ależ to pod każdym względem niedopuszczalne.
- Potrzebuję jego rady.
- To wbrew przepisom.
- Człowieku, pragnę być taki jak mój ojciec - Zorro udawał rosnące wzburzenie -

zanim znów kogoś ukatrupię. - W jego głosie pojawiła się nuta szaleństwa.

Grabarz zrezygnował z dalszych prób. Zorro usłyszał jeszcze oddalający się głos:

- Tylko niech pan załatwi to jak najszybciej. Nocą przebywanie na terenie cmentarza jest zabronione.

Zorro nie zamierzał zastosować się do jego próśb. Patrzył spokojnie na jaśniejący za drzewami księżyc.

Obudził go śpiew ptaków. Było jeszcze wcześnie. Między kolumnami siedziały gołębie i przyglądały mu się. Zaczekał do wpół do ósmej. Zebrał kilka kamyków i ruszył ku wyjściu.

Stanął przed domem Joe i cisnął kamykiem w jej okno. Po chwili za szybą ukazała się roześmiana twarz. Joe uchyliła nieco okno i szeptała coś przez szparę, wymachując przy tym rękoma. Pięć minut później wybiegła z klatki. Upuściła po drodze torbę i rzuciła się Zorro na szyję.

- Jakie masz plany?
- Odprowadzę cię do szkoły. Tak jak obiecałem.
- Ech, Engel, wariacie. Jak ty to robisz?

Wtuliła się weń ponownie. Czuli, że zaraz się rozplacze.

- Jak było, księżniczko? - spytał Zorro.
- Beznadziejnie... „Zaczynaliśmy się już o ciebie martwić”. I te wszystkie

brednie. Ale jakoś poszło.

- A ten koleś gapił się na ciebie?
- Przecież tak naprawdę się do mnie nie dobierał.
- Niechby tylko spróbował, to zabiję.
- Nie będziesz musiał. Odkąd mam ciebie, przestałam się nim przejmować.
- Człowiek potrzebuje czegoś, co naprawdę lubi.

- Serio? Co ty powiesz? Strasznie się stęskniłam.
- Byłam całkiem niedaleko.
- Taak?
- Na cmentarzu. Już nigdy nie chcę się zbyt od ciebie oddalać.
- Engel, wariacie. Jesteś zabójczo słodki.

Zorro podniósł jej torbę i zarzucił na ramię. Ruszyli do szkoły. Nagle Joe przystanęła.

- Wiesz co? Ogołę sobie głowę, aż dotąd. - Wskazała punkt kilka centymetrów nad uchem. - A włosy ufarbuję na niebiesko. Albo na zielono. W każdym razie nie na czerwono jak Asi.

- Skąd nagle taki pomysł?
- Bo nie obchodzi mnie, co na to powie mama albo jej gach.
- E tam.
- Co znaczy: „E tam“?
- Znaczą, że nie zrobisz tego.
- Niby czemu?
- Bo masz piękne włosy.
- Ale u was nikt nie ma takiej mieszczkańskiej fryzury. Nigdy mnie takiej nie

zaakceptują.

- Daj spokój. Nie jesteś taka jak wszyscy. - Zorro pogładził ją po włosach. - Nie chcę, byś je obcinała. Niech urosną ci do samego tyłka.

- Myślałam, że ci się to spodoba.
- Uwielbiam cię taką, jaka jesteś.
- To już tu.
- Przyjdę po ciebie.

Na lekcji fizyki Joe usiłowała go narysować. Nie brakowało jej talentu, teraz jednak za nic nie mogła poradzić sobie z twarzą Zorro. Wyrosły mu za to skrzydła. Postanowiła zdobyć jego zdjęcie.

Gdy po sześciu lekcjach wyszła ze szkoły, Engel już na nią czekał.

- Wpadamy na Alex? - spytała.

- Darujmy sobie. Pokażę ci mój marmurowy pałac. Joe chciała przedtem wpaść do domu, zjeść grzecznie obiad. Tak dla świętego spokoju. Zorro nie oponował. Umówili się na cmentarzu.

Na obiad było ulubione danie Joe - kaczką po chińsku. Mama była całkiem miła i o nic się nie czepiała. Joe zastanawiała się, co jej tak naprawdę jest, lecz nie znajdowała odpowiedzi. Cóż, skoro mama potrzebowała tego koleśka ze strachu przed samotnością - jej strata. Wszystko było o wiele prostsze, odkąd ona i Zorro należeli do siebie.

Po obiedzie poszła na cmentarz. Po drodze wciąż przyspieszała kroku. Już z daleka usłyszała jego gwizdanie. Gdy przybyła na miejsce, Zorro kąpał się w płytkiej betonowej studni. Był zupełnie nagi i polewał się z zielonej konewki. Tuż za nim stał kamienny posąg ukrzyżowanego Chrystusa, z poobtlukiwaną głową opadającą na ramię. Gołębie odchody na Jego twarzy przypominały łzy.

Ech, Engel. Właśnie dlatego straciła dla niego głowę - że zdolny był do takich rzeczy.

Nagle zza rogu wyłoniła się jakaś starsza kobieta. Zorro szybko przepasał się ręcznikiem. Rozpostarł ramiona na boki i zwiesił głowę.

Kobieta, przechodząc, podniosła wzrok. Ujrawszy podwójną sylwetkę Chrystusa, zawróciła w miejscu i pospiesznie się oddaliła.

Joe uklękła przed Zorro i wyciągnęła ku niemu ręce złożone w modlitewnym geście. Zorro odrzucił ręcznik.

- Na pewno cię to rajcuje, że modłę się przed twym nagim ciałem?
- Uważam, że to właściwe zachowanie.

Potem zaprowadził ją do marmurowej miniświątyni. Weszli do środka i wcisnęli się do śpiwora.

- A jak ktoś nas tu nakryje?
- Niech sobie nakryje.

Gołębie obserwowały ich pomiędzy kolumnami. Jakiś czas później Zorro spytał:

- Słuchaj, wiesz, co wtedy czuję - to znaczy, gdy się kochamy?
- Powiedz.

- To jest jak lądowanie na Księżycu.
- To znaczy?
- To jest, jakby świat był wolny od nazistów.
- Mógłbyś wymyślić coś bardziej romantycznego.
- To jak zwycięstwo St. Pauli nad Bayernem, sześć do jednego.
- Wariat.
- Dzieje się wtedy ze mną coś niezwykłego. To naprawdę jak lądowanie na

Księżycu. Pomyśl, ile ludzi się w tej chwili bzyka. Milion? Pewnie więcej. Na świecie jest pięć miliardów ludzi.

- Aż tyle?

- Jasne. Gdyby z tych pięciu miliardów bzykał się tylko co tysięczny, to ile by to było razem?

- Nie wiem.

- Też nie potrafię tak szybko połapać się w tych zerach. W każdym razie jesteśmy jedni z milionów bzykających się właśnie na świecie. I jest nam niewyobrażalnie. Wprost kosmicznie.

- Na Księżycu lądują już dość często. Ale i tak jesteś słodki.

- Wiem. Mam pomysł. -Jaki?

- Odwiedzimy moich rodziców.

- Coś ty? Kiedy?

- Możemy jutro. Jest sobota. Zostało mi jeszcze trochę z zasiłku, na bilety wystarczy.

- Mówisz poważnie?

- Nie mam zamiaru ukrywać cię, tak jak ty mnie.

- Kochaś mojej matki nie jest kimś, kogo warto poznać.

- Chyba masz rację. Chcę staruszkom pokazać, że odnalazłem w życiu szczęście. Oni dawno zapomnieli, co to jest.

Następnego ranka, już o szóstej, Joe usłyszała stukanie kamyków o szybę. Wciąż odczuwała mrowienie w żołądku, jak tylko zaczynała myśleć o Zorro. Oznajmiła, że wyjeżdża na weekend z przyjacielem. Mama powiedziała jej tylko, by się, na miłość

boską, zabezpieczyła. Mike'owi powie, że pojechała do koleżanki.

Joe i Zorro dotarli metrem do stacji Zoo. Dalej InterCity do Ludwigslust. Joe większość podróży spała z głową na kolanach Zorro, który w końcu sam zapadł w sen.

W Ludwigslust zamierzali przesiąść się w kolejkę do Dómitz, dowiedzieli się jednak, że pół roku temu zlikwidowano to połączenie.

- Wszystko schodzi na psy - skomentował Zorro. Pojechali autobusem. W środku siedziało tylko kilka osób.

- Ta okolica dogorywa - rzekł Zorro. Mijali lasy, polne drogi i niekończące się łąki, na których pasły się krowy.

Joe trochę się denerwowała. Dotąd nie widziała naraz tylu krów i takich bezkresnych łąk. Brak ludzi również był dla niej czymś osobliwym. Wydawało się, że są nieskończenie daleko od Berlina. Nie potrafiła wyobrazić sobie rodziców Engela. Wiedziała tylko, że jego ojciec miał jakąś firmę, w branży chłodniczej czy jakoś tak, i że Engel miał się tego wyuczyć. Nie zagrzezał jednak miejsca w szkole.

- Czy firma twojego ojca jest duża? - spytała.

- Raczej średnia.

- Mógłbyś ją więc przejąć. Czemu właściwie wyleciałeś ze szkoły?

- Już jako punk odbywałem w tej klatce praktyki. Szef wprawdzie powiedział, że u niego każdy może sobie wyglądać, jak chce, dopóki robota będzie, jak trzeba. Ale pewnego dnia podszedł do mnie i powiedział: „Wiesz co? Wyglądasz jak kakadu”. Wtedy jeszcze miałem na głowie irokeza. Koledzy podchwycili to określenie i potem słyszałem już tylko: „kakadu, zrób to, kakadu, zrób tamto”. Spawanie, sprzątanie, spawanie, sprzątanie. No i pewnego razu jeden z nich, taki z mordą jak stary cap, mówi do mnie: „Te, kakadu, twój łeb nadawałby się świetnie na szczotkę do zamiatania”. Ja mu na to, żeby się odwalił. A on: „Za Adolfa z takich jak ty robili mydło”. Przywaliłem mu, aż poleciał na stertę blachy. Huknęło, jakby nadchodził koniec świata. Potem przez pewien czas trzymałem rękę pod zimną wodą. To wszystko.

- Przecież miałeś prawo to zrobić.

- Jasne, że miałem. Prawo można obronić tylko pięścią.
- Ale daleko się w ten sposób nie zajdzie.
- Prędzej zdechnę, niż dam się zgnoić.

Dómitz wyglądało niczym po dzumie. Szare domy. Okna sklepów wyklejone pożółkłymi gazetami. I koślawy napis: DO WYNAJĘCIA. Na ulicach ani żywej duszy.

- Po zmroku nazistowskie szczury wyłażą ze swoich nor - oznajmił Zorro. - To była ostatnia enerdowska dziura przed granicą. Dalej płynie Łaba. Tam zaczynały się zachodnie Niemcy.

- Po drugiej stronie lepiej?
- Niewiele.

Ulicą szła młoda otyła kobieta. Zorro zamierzał ją spytać, jak można dostać się do Dannenberg. Ledwo jednak otworzył usta, kobieta odwróciła się i uciekła. Nie wyglądała na zdolną poruszać się z taką szybkością.

- Los ich tutaj nie oszczędzał - rzekł smutno. - Mam pomysł. Weźmiemy taksówkę.

- Stać nas?
- Spoko. Będzie klawo, jak podjadę pod dom taryfą.
- Jak chcesz.

Pojechali taksówką na drugą stronę Łaby. Rzeka przesuwała gładką taflę wody, mącąc ją pod przęsłami mostu. Nieco dalej przy brzegu stała przycumowana barka.

- Być kapitanem takiej barki to by było coś - powiedział Zorro zamyślony. - Zero stresów. Wiecznie w drodze. Z dala od tego całego gówna. Dookoła woda, więc żaden debil nie mógłby uczynić nic złego.

- Wolałabym pojechać z tobą w góry.

Potem jechali jeszcze chwilę przez las i już byli w Dan-nenberg. Zorro wskazał kierowcy drogę do Develang. Była to dzielnica domów letniskowych. Stały blisko siebie, jeden podobny do drugiego. Żółtawe albo różowawe. Z płaskim lub szpiczastym dachem. Mimo to niemal jednakowe. Przydomowe ogródki także niczym się między sobą nie różniły. Niemal we wszystkich krzątały się energicznie

mamusi. Podlewały liczące najwyżej kilka metrów kwadratowych trawniki, ścinały trawę do wysokości półtora centymetra. Grabiły przekwitłe kwiaty i liście.

To miejsce przerażało Joe. Nie potrafiłaby jednak powiedzieć, dlaczego. Komuś z Friedrichshain mogło się wydawać, że jest w innym kraju, na jakimś biegunie południowym.

Kobiety uwijające się w ogródkach prostowały się, ujrawszy przejeżdżającą taksówkę. Niektóre wychodziły nawet na ulicę. Być może rozpoznały Zorro po włosach. Taksówka zatrzymała się przed jasnożółtym domem, który był nieco większy od pozostałych. W ogródku przed domem pracował automatyczny zraszacz trawy. Kobieta pracująca w ogrodzie podreptała natychmiast na ulicę.

- Ty? Taksówką? - odezwała się do wysiadającego Zorro.
- Nie udało mi się znaleźć dorożki - odparł. - Witaj, mammo.
- Ty i te twoje żarty. Nie sądziłam, że przyjedziecie tak wcześnie.

Zorro zapłacił za kurs. Mama zerkała na Joe ukradkiem. Dziewczyna wysiadła z taksówki. Nie była pewna, czy powinna podać mamie rękę.

- Jestem Joe.
- Joe? - zdziwiła się mama.
- Joe. Po prostu Joe - wtrącił się Zorro.
- Ale to chyba nie jest pani prawdziwe imię - rzekła mama. - Joe to przecież męskie imię.

- Mammo, proszę cię.
- Dobrze, już dobrze. Chodźcie do środka. Chodźcie, chodźcie śmiało. - Mama powtarzała jak nakręcona pozytywka. Wprowadziła ich do domu.

Na końcu korytarza stał wysoki mężczyzna. Miał na sobie białą koszulę zapiętą pod szyję, bez krawata.

- Cóż to za osobliwa para! - odezwał się na ich widok.
- Dzień dobry, tato - przywitał się Zorro. Mama powtarzała w kółko:
- Chodźcie. Chodźcie do pokoju.

Zorro podszedł do ojca. Ten klepnął go w ramię.

- Widzę, że wciąż nie przywiązujesz wagi do swojego wyglądu - rzekł.

Zorro wciągnął powietrze do nosa.

- A w domu wciąż śmierdzi tak samo.

- Nikt cię tu nie zatrzymuje - powiedział ojciec. Mama zachowywała się coraz bardziej nerwowo.

- Ależ, tatusiu. Chodźmy do salonu. No, jak tam, synu? Dobrze ci się powodzi?

- Nie narzekam.

Joe wciąż stała w progu. Czuła się zupełnie zbędna.

- Powinieneś odwiedzać nas częściej. Czym się w ogóle zajmujesz? Nigdy nic nie mówisz.

- Pracuję - odparł Zorro.

Zanosi się na niezłą szopkę - pomyślała Joe. Do czego była ona tam potrzebna?

Przeszli do dużego pokoju. Joe poczłapała za nimi. Stała w drzwiach.

- Wejdz, nie krępuj się - zachęciła mama.

Zorro wreszcie wyjąkał:

- Ach, prawda... Tato, to jest Joe. - Czasem zachowywał się jak ostatni osioł.

- Aha - powiedział ojciec. Zmierzył ją wzrokiem i podszedł z wyciągniętą dłonią.

- Miło mi. Pani towarzyszy mojemu synowi, że tak powiem.

- No, no. A więc przyjechaliście taksówką. W waszym wieku nawet o tym nie marzyłam - przyznała się mama.

- Człowiek niczego sobie nie odmawia - rzekł Zorro.

- Czym więc się zajmujesz? - spytał ojciec.

- Pracuję dla telewizji.

- Dla telewizji? - zdziwiła się mama.

- Tak. Piszę różne skecze, wymyślam gagi i takie tam.

- Ty piszesz? - nie mogła uwierzyć mama. - Zawsze dużo czytałeś.

- A jakiego rodzaju skecze? - dopytywał się ojciec.

- Na przykład dla Haralda Schmidta. Mama otworzyła usta ze zdumienia.

- Dla niego? Niemożliwe!

- Spoko. Kiedy sypie jakiś dowcip, myślicie, że właśnie wpadł mu do głowy?

Nie, większość ich wymyślają specjalnie zatrudnieni ludzie.

- Za nim akurat nie przepadamy - oznajmiła mama.
- W każdym razie właśnie ludzie tacy jak ja wymyślają dla niego teksty.
- On jest strasznie arogancki.
- Przecież do naszego syna bardzo to pasuje - wtrącił ojciec.
- Właśnie - zgodził się Zorro.
- I da się z tego wyżyć?
- Na taryfę wystarczy.

Zorro wspominał, że ma zamiar zgrywać przed rodzicami wielkiego burżuaja, ale to, co on wygadywał, to już była lekka przesada. Joe dyskretnie przestępowała z nogi na nogę. W końcu matka poprosiła ją, by usiadła.

Zorro zatopił się w skórzanym fotelu.

- Widzę, że całkiem nieźle wam się powodzi. Wszystko nowe w tej starej budzie.
- Nie mogliśmy już patrzeć na stare meble. Były jakieś takie pretensjonalne i ponure.

- To mama nie mogła na nie patrzeć. Naczytała się „Schöner Wohnen” i takie są tego efekty - przerwał jej ojciec.

- No wiesz? Ty też byłeś za. Teraz jest o wiele jaśniej i bardziej elegancko. Po skandynawsku.

- Taka IKEA dla bogatych - rzucił Zorro.

Joe rozejrzała się po pokoju. Białe krzesła stały w równiu-teńkich odstępach wokół stołu z surowego drewna. Dokładnie na środku stołu postawiono wazon z białymi różami.

- Przedtem było tu znacznie przytulniej. Mama najchętniej wyrzuciłaby nawet piękny dywan perski - ironizował ojciec.

Joe spojrzała na rzeczony dywan. Frędzle ułożono w jednakowych odstępach.

- Ile ja się musiałam naprosić, żeby ojciec zgodził się wywalić ten swój stary, poprzcierany fotel.

Joe pomyślała, że pokój wygląda jak wystawa w salonie meblowym. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś tutaj mieszka.

- A jak ty się urządziłeś? - spytała mama.

- Prowizorycznie.
- Skrzynki po pomarańczach - rzucił ojciec.
- Zabiorę go teraz na chwilę - oznajmiła matka i zwróciła się do Zorro: - Chodź

no szybko ze mną. Muszę ci coś pokazać.

Oboje wyszli z pokoju. Ojciec zerknął kilka razy na Joe, potem znów utkwiał wzrok w sufit. Siedział wyprostowany jak świeca na samym skraju fotela. Joe usadowiła się głębiej w fotelu i założyła nogę na nogę. Spojrzała na duże okno, przez które nie było jednak nic widać, na parapecie bowiem rosła prawdziwa puszcza z roślin doniczkowych. Strasznie chciało jej się palić, nie śmiała jednak tego zrobić. Zresztą nigdzie nie zauważyła popielniczki. Nie patrzyła w kierunku ojca, wyczuła jednak na sobie jego wzrok.

- A pani czym się zajmuje? - spytał nagle.
- Uczę się.
- No tak. Czy wolno wiedzieć, ile pani ma lat?
- Szesnaście - skłamała. - Prawie siedemnaście.
- Wypada jeszcze zwracać się do pani na ty?
- Tak, oczywiście.

- Dobrze, że masz już szesnaście lat, bo chyba zamierzacie tu przenocować. To znaczy, rozumiesz, nie chcemy ryzykować konfliktu z prawem. Stręczycielstwo nieletnich. Na pewno rozumiesz.

- Nie - odparła Joe. Powoli rosła w niej złość. Do pokoju wrócił Zorro. Joe wstała z miejsca.

- Pokażesz mi ogród?

Zorro otworzył drzwi na taras. Gdy wyszli na zewnątrz, Joe szepnęła mu na ucho:

- Chodźmy gdzieś. Chcę zapalić.

Potem musieli napić się jeszcze kawy i zjeść kawałek ciasta. Następnie Zorro oznajmił, że zamierza oprowadzić Joe po okolicy.

W przydomowych ogródkach nie było już kobiet. Teraz wszystkie popijały kawę i zajadały się ciasteczkami. Przeszli obok salonu samochodowego. Wypolerowane gabloty ciągnęły się bez końca.

- Co sądzisz o moich starych? - spytał Zorro.

- Jeszcze zupełnie ich nie znam. Twoja mama jest chyba miła, prawda?

- Jeśli nie jest akurat zdenerwowana. Przemierzali ulicę, na której stały stuletnie domy. Można by sądzić, że zza rogu wynurzy się Andi Borg i zaprezentuje paradę szlagierów muzyki ludowej. Lecz słysząc było tylko muzykę techno, dochodzącą z jednego z okien. Joe nie czuła się tu najlepiej. Zaczynała już tęsknić za Friedrichshain. Z przeciwka szła jakaś dziewczyna. Gdy ujrzała Zorro, przeszła na drugą stronę ulicy. Ten patrzył na wystawę sklepu z garnkami.

- Znasz ją? - spytała Joe.

- Trochę.

- Trochę? To czemu cię unika?

- A, dawne dzieje.

- Opowiedz mi o tym.

- To było wieki temu.

- Chcę wiedzieć.

- Zdradziłem ją kiedyś. Raz.

- Co to znaczy?

- Po prostu kiedyś z nią chodziłem, no i przespałem się z inną laską.

- Często ci się to zdarza?

- Nieee, to było dawno temu. Tamta laska sama tego chciała. Wierz mi, panienki nie latały za mną stadami. Ta smarkata naprawdę się napraszała.

- A ty oczywiście nie potrafiłeś jej odmówić.

- Przecież to teraz nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie.

- To znaczy tylko tyle, że jak po raz pierwszy dotykasz kobiecych piersi, wtedy sprawdzasz się jako mężczyzna.

- A jak w ogóle dobierasz się do cycków?

- Po prostu podnoszę bluzkę. - Zorro próbował zachować opanowany wyraz twarzy, lecz pod ciężarem wzroku Joe stawał się coraz bardziej zmieszany. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Joe odepchnęła go.

- Rzucisz mnie, gdy cię zdradzę? - zapytał. - Czy gdy ktoś po prostu powie, że cię zdradziłem?

Joe patrzyła na niego dobrą chwilę.

- Już więcej nikogo nie zdradzisz, Engel, wariacie. Już ja się o to postaram. -
Zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go i powiedziała:

- A teraz możesz podnieść mi bluzkę.

Był już wczesny wieczór, gdy wrócili do Develang. Teraz po ogródkach krzatali się tatusiowie, przygotowując grilla.

Ojciec Zorro oglądał mecz. Zorro przysiadł się do niego.

- HSV jest dziś bez szans - stwierdził ojciec.

- Może byśmy tak oblali powrót marnotrawnego syna?

- Czemu nie?

Ojciec podszedł do sosnowego regału z książkami, którego częścią był barek, i wyciągnął stamtąd butelkę koniaku. Napełnił dwie szklanki od whisky. Mama obwieściła, że idzie przygotować kolację.

- Może się na coś przydam? - spytała uprzejmie Joe. Mama odparła, że to bardzo miło z jej strony, i obie weszły do kuchni.

- A więc chodzisz jeszcze do szkoły - rzekła mama, krojąc sałatkę. - A kim chciałabyś zostać?

Joe namyślała się chwilę.

- Weterynarzem.

- To nie takie proste w dzisiejszych czasach - zauważyła mama.

- Właśnie, chodzi o to, żeby być w zawodzie najlepszym i mieć osiągnięcia. W przeciwnym razie można do końca życia stemplować w rzeźni ubite świniaki.

Mama nie dostrzegła ironii w głosie Joe. Pokiwała ze zrozumieniem głową i rzuciła na patelnię kilka kawałków słoniny. Joe stała w kącie. Nie miała nic do roboty, mogła tylko dać się zagadać kobiecie.

Mama opowiadała, jak grzecznym i ślicznym dzieckiem był Zorro. I jak bardzo był do niej przywiązany.

- Mamusiu to, mamusiu tamto. Ale potem nagle się zmienił. Pewnie wpadł w złe

towarzystwo. Nic dziwnego -miasto przeznaczyło znaczną liczbę mieszkań do użytku azylantom, Rosjanom, kobietom z gromadą dzieci. I to w takiej przyzwoitej dzielnicy.

- Myślę, że jest całkiem w porządku - oświadczyła Joe.

- Na pewno ma dobre serce. Chodź, on już to widział. -Mama poprowadziła Joe do pokoju. Na ścianie wisiał plakat klubu HSV, obok - stary Frank Zappa na sedesie, na łóżku pościel w barwach klubowych HSV, na poduszce zaś sfatygowany pluszowy miś. - Wszykowałam wszystko dokładnie tak, jak było, gdy tu mieszkał.

- Też mam takiego misia.

- Spał z nim jeszcze w wieku piętnastu lat.

- Fajnie.

- Wcześniej bawił się też lalkami. Ale zawsze się wścieka, jak o tym opowiadam.

Joe wyobraziła sobie Zorro bawiącego się lalkami. Kochała go również za to.

W kuchni mama dalej rozwodziła się, jakim to Zorro był kochanym dzieckiem.

Dopóki nie zaczął palić haszyszu. Joe zastanawiała się, czy wszyscy rodzice wiedzą tak mało na temat swoich dzieci. Czy w ogóle chcą coś wiedzieć, czy uważają, że dzieci mają się jedynie naginać do ich woli i wyobrażeń jak lalki. Główka tu, główka tam. Ramionka do góry i w dół. Ale potem główka się blokuje, a rączki nie dają się już bardziej wyciągnąć i łamią się. Wtedy lalka jest bardzo, bardzo niegrzeczna. Należy ją ukarać. A później można sobie tylko powspominać, jakie to było kiedyś grzeczne dziecko.

Salatka była gotowa. Pieczeń skwierczała w piekarniku. Joe wróciła z mamą do dużego pokoju. Zorro opierał nogi na stoliku. Obok jego butów Django gryzł orzeszki ziemne. Ojciec rozpiął najwyższy guzik koszuli. Obaj dzierżyli w dłoniach puszki piwa. Butelka koniaku była opróżniona do połowy.

Mama stanęła w drzwiach.

- Hola, hola, to nie Ameryka.

- Dajże chłopcom spokój. - Głos ojca był już nieco powolny.

Matka Zorro spostrzegła nagle Django.

- Dobry Boże! - jęknęła. W telewizji trwał mecz.

- Musisz mieć porządną pracę, chłopcze, jeśli zechcesz kiedyś założyć własną rodzinę - powiedział ojciec.

- Jasna sprawa - odparł Zorro. - To nie podlega dyskusji. - Po tonie jego głosu Joe zorientowała się natychmiast, że był nieźle wcięty.

- W tej chwili zabierz to bydlę ze stołu! To odrażające! Nogi też - oburzyła się matka.

- Aby zdobyć dobrą pracę, trzeba najpierw dobrze wyglądać. Nie na darmo mówią: jak cię widzą, tak cię piszą - prawił ojciec. - Gdy przyjmuję kogoś do pracy, najpierw patrzę na jego buty. Buty mówią o człowieku więcej niż wszystko inne. Choć Harald Schmidt zapewne nie zwraca na to uwagi.

- Owszem. Najmniejszej. Matka Zorro była bliska hysterii.

- Jeżeli zaraz nie zabierzesz stąd tej bestii... - Zakryła twarz dłońmi. - To obrzydliwe!

- Ależ, mamo, nawet tata zd^eł się już przyzwycząić. Dla mnie to zwierzę jest jak dziecko - odparł Zorro.

Joe wsadziła Django do klatki.

- Czy teraz lepiej? - spytał Zorro.

- To takie niehigieniczne. One przenoszą różne choroby - biadolila matka.

- Owszem, dzumę. Ale o niej nie słyszano już od kilkuset lat.

- Wszystko jest możliwe. Że też ty na to wszystko pozwalasz - zwróciła się do ojca.

- Kiedyś sama puszczałaś temu chłopcu wszystko płazem. A gdy mnie zdarzyło się raz okazać wspaniałomyślność, ty od razu zrobiłaś aferę. A wtedy nie brakowało sytuacji, w których należałoby okazać nieco stanowczości. Próbuję zrozumieć tego chłopca. Zanim przyszedł, odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

- Przecież wiesz, że niczym nie brzydzę się bardziej niż szczurami, węzami i pajakami.

- A wiesz, czemu kobiety tak się boją szczurów, węży i pajaków? - spytał Zorro. - Nie? Bo od razu wyobrażają sobie, że takie bydlę wlezie im pod spódnice. Gdzieś o tym czytałem.

- No, ładne rzeczy - oburzyła się mama. Joe zachichotała mimowolnie.
- Chłopak rzeczywiście się naczytał. - Ojciec Zorro pokiwał głową z uznaniem.
- Dobrze chociaż, żeście się w końcu dogadali. - Matka wzięła do ręki butelkę

koniaku. - Już tyle wychlaliście? I to w takim tempie? Chcesz zrobić z niego alkoholika?

- Nie mieszaj się lepiej w męskie sprawy. Prawda, synu?
- Trzeba ci wiedzieć, że ostatnimi czasy ojciec nie stroni od alkoholu - oznajmiła

matka.

- Lepiej, byś usiadła i wypła za nasze spotkanie - rzekł Zorro. - Joe też się napije.

Matka wyciągnęła rękę, w której trzymała kieliszek.

- A niech tam, nalej. Dla towarzystwa. - Wzięła głęboki łyk. - Ty też? - zwróciła się do Joe.

Dziewczyna pokręciła głową. Usiadła obok Zorro.

- Może byś tak przyhamował? - odezwała się cicho.
- Ech, księżniczko! - Zorro objął ją i pocałował w czoło.
- Księżniczko? - spytał ojciec. - A gdzie jest książę?
- Siedzi tutaj. - Joe wskazała na Zorro.

- Musisz go chyba długo całować, zanim czar pryśnie. - Ojca tak rozbawił własny żart, że aż się zakrztusił ze śmiechu.

- Jesteś po prostu niemożliwy - skomentowała matka. - Co ten alkohol robi z człowiekiem!

Joe spostrzegła, że mama daje jej jakieś znaki. Za chwilę ponownie znalazły się w kuchni.

- Na pewno tobie czasem też jest ciężko z naszym Zorro. Jak długo się znacie?
- Od dwóch tygodni.
- Przygotować ci posłanie w pokoju gościnnym? Dziewczyna poczuła się

niezręcznie. Prawie się zgodziła. Ale właściwie dlaczego?

- Nie ma potrzeby - odparła. - Ciekawa jestem, jak się śpi w pościeli HSV.

Matka spojrzała na nią poirytowana.

- A więc to tak się sprawy mają? Oby tylko ojciec nie urządził scen! Bo, wiesz, my znaleźliśmy się ponad rok, zanim cokolwiek... Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Ale miałam przyjaciółkę w twoim wieku. Jak mi opowiedziała o swojej pierwszej przygodzie, byłam w szoku. - Zaśmiała się speszona. Łyk koniaku wywołał u niej istny słowotok. -Uważam jednak, że potrzeba pewnej dojrzałości i odpowiedzialności. U obojga. Później człowiek się cieszy, że potrafił się powstrzymać. Aż uzyska stuprocentową pewność, że jego partner jest właściwą osobą.

- A czy pani mąż był tym właściwym?

- Wierz mi, nigdy nie miałam co do tego nawet cienia wątpliwości. Cały czas jest prawie tak dobrze jak pierwszego dnia.

- Ja też się tak czuję, więc nie muszę się już powstrzymywać.

- Ależ, dziewczyno! W wieku szesnastu lat, po dwóch tygodniach znajomości? To za mało, żeby wydać jakikolwiek sąd. Domyślam się, że nasz Zorro był twoim pierwszym.

- Ależ skąd! - Bingo! Joe udało się przerwać potok słów. Pomagała osłupiałej mamie nakrywać do stołu. Gdy szła przez korytarz, Zorro stanął nagle przed nią.

- Mogę cię pocałować?

- Później. I nie pij już więcej, Engel.

- Na trzeźwo nie zniósłbym staruszka. Ani on mnie. A tak - jest całkiem przyjemnie.

Mama wyszła z kuchni.

- O czym tak sobie gruchacie?

- O problemach alkoholowych w naszej rodzinie.

- To wcale nie jest śmieszne. Czy nasz syn na co dzień dużo pije?

- Nie wiem. Znam go od niedawna - odparła Joe.

- Ale chyba wystarczająco długo, by... no, wiecie?

- Masz na myśli pieprzenie? - spytał Zorro.

- Musisz być od razu ordynarny? To pewnie wpływ tych Rusków. Nie widzę w tym nic zabawnego. Zbyt beztrosko podchodzicie sobie do życia. A w ogóle, to

gdyby Joe była moją córką, miałabym jeszcze kilka innych rzeczy do powiedzenia.

- Mamo, daj już spokój - powiedział Zorro. - Umieram z głodu.

Joe pomyślała, że ze swoją mamą radzi sobie właściwie całkiem nieźle. Zasedli do stołu. Matka Zorro kroїła pieczeń. Ojciec otworzył butelkę czerwonego wina i napełnił kieliszki.

- Zdrowie młodych - rzekł. Był już nieźle wstawiony. Wciąż zerkał na Joe.

Matka Zorro jednym haustem wychyliła swój kieliszek.

Ojciec zaczął machinalnie otwierać drugą butelkę. Matka zakryła dłonią swój kieliszek.

- Mam już chyba nieźle w czubie! - Zachichotała. - Mogłybyście, dzieci, odwiedzać nas częściej.

Ojcu raz po raz wypadwał papieros. Z trudem powstrzymywał opadanie powiek. Zorro stuknął widelcem w kieliszek. Wstał z miejsca, podpierając się na krześle.

- Chciałbym ogłosić nasze zaręczyny z najśliczniejszą, najmądrzejszą i najlepszą kobietą na świecie - z moją Joe. Jeśli ona się zgodzi, oczywiście. Joe, czy zgadzasz się zostać moją żoną? Odpowiedz mi zaraz głośnym: Tak!

Joe spojrzała na niego zaskoczona.

- Engel, jesteś kompletnie pijany - szepnęła.

- No więc jak, wyjdiesz za mnie?

- To nie jest dobry moment. Porozmawiamy o tym rano. Jesteś pijany.

- Ale nie tak pijany, by nie wiedzieć, że cię kocham.

- Na pewno, Engel. Jesteś słodki.

Mama śmiała się jak naćpana. Ojciec otworzył ponownie oczy.

- Nasz syn zawsze był specjalistą od niespodzianek. Zorro wziął Joe w ramiona, omal razem nie upadli.

Poczuła się głupio, lecz w gruncie rzeczy była całkiem szczęśliwa. Szkoda tylko, że Engel tak się upił. Wyprowadziła go do ogrodu.

- Księżniczko, odpowiedz. A może już nie chcesz ze mną mieszkać?

- Oczywiście, że chcę. Ale pragnę również, byś miał jasność umysłu, gdy o tym rozmawiamy.

- Ale takiej jasności jak w tej chwili nigdy jeszcze nie miałem. Na trzeźwo nie odważyłbym się z tym wyjeżdżać. Bałbym się, że odmówisz.

- Ale to nie są prawdziwe zaręczyny. Do tego potrzebny jest na przykład pierścionek. Jak będziesz chciał mi się naprawdę oświadczyć, powinieneś się o jakiś postarać.

Zorro spojrzał na nią zakłopotany.

- Poczekaj chwilę. - Chwiejnym krokiem poszedł do swojego pokoju. Joe za nim. Sięgnął głęboko do plecaka. Następnie ujął dłoń Joe i wsunął jej na palec obrączkę, którą dostał od Asi.

- Doprawdy! - zachwyciła się Joe.

- A więc jesteśmy zaręczeni?

- A gdzie twoja obrączka?

- Zdobędę. Na razie nie starczyło mi pieniędzy, ale będę miał taką samą.

Joe pocałowała go w czoło.

- Nie zmienia to jednak faktu, że jesteś kompletnie pijany.

Mama cały czas śmiała się jak na haju.

- Ech, dzieci, dzieci. Muszę w takim razie sprawdzić, czy nie ma w piwnicy jakiegoś szampana.

Ojciec podjął kolejną próbę zapalenia papierosa.

Przy najbliższej okazji Joe ulotniła się. Wtuliła się w pościel klubową HSV. Miała już dosyć wrażeń jak na jeden dzień. Nie chciała jednak o tym rozmyślać. Czemu Zorro wyskoczył akurat przy swoich rodzicach z tymi zaręczynami? Inaczej wyobrażała sobie oświadczyzny. Ale i tak był słodki. Nawet pomimo pijaństwa.

Zorro niebawem wturlał się do pokoju.

- A, tu jesteś. Powiedz no: chcesz ze mną spać? - Całował jej oczy.

- Kiedy na mnie chuchasz, to jak pasywne picie.

- Jestem zupełnie trzeźwy, księżniczko. Chcę cię teraz.

- Powiedz najpierw, co to za kibic St. Pauli, który śpi w pościeli HSV?

- To zbyt skomplikowane, bym ci teraz wytłumaczył.

- Ale ja chcę wiedzieć, mój ty wariacie.

- No dobrze. Gdy miałem pięć lat, wujek zabrał mnie raz na stadion piłkarski. Od tej pory jestem kibicem HSV.

- A więc żaden z ciebie fan St. Pauli?

- Przeciwnie. Wszyscy porządni ludzie kibicują St. Pauli.

- Zaraz, zaraz. Jedno z nas chyba bredzi. No więc jesteś fanem HSV czy nie jesteś?

- Nie mogę teraz tego wytłumaczyć. HSV to faszystowska drużyna. Kibicują jej sami łysi. Punki z kolei dopingują drużynę St. Pauli. Ale to jest tak, że gdy ktoś ci wmówi jako dziecku, iż HSV jest w porządku, to automatycznie stajesz się jej fanem. To jak choroba dziedziczna. Ale dość już tej gadaniny. Chodź.

- A jak HSV gra przeciwko St. Pauli?

- Daj spokój. W życiu nie poszedłbym na taki mecz.

- Czemu?

- Rany, bo siedziałbym w sektorze St. Pauli, a w głębi serca kibicowałbym HSV.

- To rzeczywiście niezła schiza.

- Wszystko jedno. - Zorro rzucił się na Joe. Odwróciła głowę i zeszywniała.

- No, co jest, księżniczko?

- Jesteś pijany. To jest.

- Daj spokój.

- Poza tym twój ojciec podsłuchuje za drzwiami.

- Bzdura!

- Nie potrafię tak przy twoich rodzicach. Poza tym twój ojciec powiedział, że się naraża. Bo jestem niepełnoletnia.

- On pieprzył jakieś głupoty. Czasami jesteś zabawna. Przecież się dziś zaręczyliśmy.

- Jesteś tak nawalony, że jutro i tak nie będziesz nic pamiętał.

- Do dupy, że to powiedziałaś. - Zorro odwrócił się na drugi bok. Kilka sekund później już chrapał.

Następnego dnia w pociągu Zorro nie był w najlepszej formie. Poczł się nieco lepiej, gdy Joe zapytała:

- A więc naprawdę jestełmy zaręczeni? - I posłała mu człły ułmiech. Potem zadała mu to pytanie jeszcze ze sto razy.

- Juź bardziej zaręczeni być nie możemy - odparł w końcu. Jakił czas póżniej rzekł: - Tylko ta obrączka. Może jeszcze uda mi się ją zamienić. W sumie nie nadaje się na pierścioneł zaręczeniowy.

- Mnie się bardzo podoba.

- Pewnie trudno będzie zdobyć taką samą.

- Przecież obiecał.

- Wiem. Ale będę ją musiał tak czy siak jeszcze raz zabrać.

- Razem coś ci wybierzemy.

- Ale to niedobrze, jak jedno ma obrączkę, a drugie nie.

- Wizyty w domu chyba ci nie służą.

Zorro dał za wygraną. Musiał porozmawiać z Asi. Spokojnie i rzeczowo. Powie jej, że jest mu bardzo przykro i że bardzo ją lubi. I że to było miłe, ale ona jest po prostu za młoda.

Wiedział, że tak łatwo mu nie pójdzie. Cholera! Próbował zapomnieć o wszystkim i poukładać myłli od nowa. Ale niektóre z nich nie dawały się tak łatwo usunąć i wciąż wyskakiwały na powierzchnię. Niczym cuchnące zwłoki w jakimł horrorze, które morderca topi w mętnej wodzie, lecz te ciągle wypływają na wierzch. Z otwartymi szeroko oczami i cerą białą jak łciana.

Joe wyczuła, że coś jest nie tak. Takim dziwnym wzrokiem patrzył przed siebie.

- Ciągle się dąszasz z powodu wczorajszej nocy? - spytała.

- Nie, to wszystko przeze mnie. Kobieta jest jak skrzypce. Trzeba tylko umieć na nich grać.

- A to co znowu za brednie?

- To filozofia. Przeczytałem gdzieł.

- Chyba w „Bravo”. „A mężczyzna jest jak flet, w który trzeba tylko odpowiednio dmuchnąć”, tak?

- To akurat żadna filozofia. To fakt.

- Kto by pomyślał! Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Jak koleś obmacuje pannę i wydaje mu się, że zna odpowiedni chwyt. A potem opowiada jej, jaki to z niego gość, gdzie to on nie spędzał urlopu i jaką niesamowitą ma brykę.

- To już lepsze niż w ogóle nie mieć nic do powiedzenia, tak jak ja.

- Ach, przestań! Twoje opowieści są fantastyczne. Zorro zamknął oczy i po chwili zasnął. Nawiedzały go same koszmary. Śnił o ojcu, Asi, meczu HSV przeciwko St. Pauli. Obrazy zmieniały się w jego głowie coraz szybciej, niczym w teledysku Madonny.

Gdy się ocknął, byli już w Spandau. Joe spała. Za oknem przesuwały się ogromne hale supermarketów i nowo pobudowane osiedla. Krajobraz coraz bardziej przypominał Berlin.

Joe obudziła się. Pocałowała go.

- Jedziemy do ciebie?

- Jasne. - Odetchnął z ulgą. Obawiał się, że Joe będzie chciała jechać na Alex.

Wysiedli na stacji Zoo. Ruszyli schodami w dół. Zorro oczywiście nie zauważył Asi, która stała na schodach i naciągała przechodniów na drobne. Dostrzegł ją dopiero, gdy zagroziła im drogę. Wyglądała na totalnie wykończoną. Patrzyła na Joe, która, rzuciwszy nieco wyniośle: „Cześć”, zamierzała ją wyminąć.

Ona jednak ponownie zagroziła im drogę.

- Możemy porozmawiać? - zwróciła się do Joe. Zorro odszedł kilkanaście metrów. Czuł się koszmarne.

Wyjął Django i przytulił go do twarzy.

- Wiesz, co mi kiedyś powiedział jeden kumpel? Jak poczujesz się samotny, to spraw sobie szczura. Ech, Django, on miał chyba rację. - Włożył okulary.

Dziewczyny rozmawiały nieopodal. Wyglądały na całkiem spokojne. Być może Asi chciała sobie na niego tylko ponarzekać. Pewnie ta historia w jej pokoju także dla niej była czymś przykrym.

Zorro musiał skrócić sobie papierosa. Włożył Django z powrotem do kieszeni bluzy. Nie chciał mieć ich ciągle przed oczami. Tytoń wysypywał się z bibułki. Ręce

trzęsły mu się jak liście topoli. Kłania się Muhammad Ali. I kto tu jest nienormalny?

Z dziewczynami zaczynało dziać się coś niedobrego. Asi złapała Joe za rękę. Joe krzyknęła coś. Asi ściągnęła jej z palca obrączkę i cisnęła o ziemię. Joe przydeptała ją butem. Asi kopnęła obrączkę. Obie spojrzały na Zorro i wolnym krokiem ruszyły w jego stronę. Widział wszystko jak w zwolnionym tempie - zaciekłe twarze były niemal nieruchome. Wydawało się, że unoszą się nad ziemią.

Zorro stał jak wryty, z opuszczonymi rękami. Asi była przy nim pierwsza. Kopnęła go, aż zgiął się wpół. Joe walnęła go pięścią w twarz. Nawet nie próbował się zasłaniać. Bez słowa protestu. Zewsząd gapili się lumpy, ćpuny i dworcowi policjanci. Wszyscy zrywali boki ze śmiechu.

W pewnej chwili Zorro zawołał:

- Zabijecie Django!

Natychmiast przestały. Chwilę wpatrywały się w niego - stał bez ruchu, jak wbetonowany. Widział rozmytą twarz Joe. Nieskończenie zawiedziona twarz z poruszającymi się ustami, jakby chciały powiedzieć: „Zorro, ty podły łajdaku”. Zorro stał tam jeszcze jakiś czas, gdy ucichły już ostatnie śmiechy i komentarze. Nic do niego nie docierało. Kompletnie się w sobie zasklepił. Ciągle miał przed oczami zawiedziona twarz Joe.

Ociężałym krokiem ruszył do wyjścia. Wszyscy zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło - ćpuny, alfonsy, dealerzy, pijaki, psy.

Zorro powłókł się przed siebie. Kopnął po drodze w jakiś samochód. Wyjął Django z kieszeni i wtulił weń twarz. W końcu zaczął płakać.

Django nie przeżył ataku. Wyglądał żałośnie z futrem mokrym od łez Zorro, wygiętym grzbietem i martwym spojrzeniem.

Zorro uniósł pokrywę studzienki ściekowej. Jeszcze raz pocałował Django i wpuścił go do otworu kanalizacyjnego.

- Do zobaczenia, stary.

Począł ulicą przed siebie. Przystanął przed witryną tureckiego sklepu. Za oknem stała lalka ubrana w suknię ślubną i gapiała się nań idiotycznie. Zaczął z wściekłością kopać w szybę. Ustąpiła za trzecim razem. Ogromne szklane płyty z

hukiem rozpryskiwały się na chodniku. Zorro rozbijał nogą ocalałe fragmenty. Potem potoczył się dalej. Głębokiej rany na nodze nawet nie zauważył.

Chcąc znów przejść na drugą stronę ulicy, zderzył się z przejeżdżającym rowerzystą. Ten upadł.

- Człowieku, pijany jesteś?! - krzyczał tamten, zanim się jeszcze podniósł.

Zorro zaczął kopać jego rower. Rowerzysta podniósł się natychmiast i ruszył na niego. Chłopak uderzył błyskawicznie i tamten znowu leżał na ziemi. Zorro kopnął go.

Potem jeszcze raz. Powłókł się dalej. Jakaś kobieta zaczęła gonić go z krzykiem. Zorro przystanął. Począł, aż się zbliżyła, i dał jej z łokcia w twarz.

Wokół coraz więcej migających na niebiesko świateł. Coraz więcej policjantów wysiadało z samochodów. Popędził w dół ulicy i wspiął się na nasyp kolejowy. Stał przed torem. Nadjeżdżał pociąg. Wpatrywał się w rosnącą szybko lokomotywę. Poczł czyjs żelazny uścisk na szyi. Ledwo mógł oddychać. Czyjeś kolano na krzyżu. Czyjs but pod kolanem. Jeszcze stał. Potem upadł wolno jak ścięte drzewo. Bronił się wściekle. Kopał, uderzał, gryzł. Przygnietli go do ziemi. Leżeli na nim, trzech, czterech, na nogach, na głowie. Ktoś wykręcił mu ręce do tyłu. Nadgarstki paliły z bólu. Biały kitel. Strzykawka. Zamazana twarz Joe. Koniec.

Joe nie wiedziała, jak dotarła na Alex i po co w ogóle tam poszła. Ujrzała czerwoną czuprynę Spasti. Podeszła do niej.

- Macie jakiś alkohol?

- Ej, a co jest z tobą? - spytała Spasti.

- A co ma być? Po prostu mam ochotę się napić. -W jej głosie słyhać było obojętność i zmęczenie. Chwyła butelkę rumu, która stała na brzegu fontanny. Alkohol świdrował milionami igieł jej język i przelyk.

- Aleś ty narwana - zdziwiła się Spasti. - Może lepiej przyrządę ci łagodniejszy koktajl.

Joe chwyciła się za gardło. Inni zaczęli się śmiać.

- Coś nie tak z Zorro? - spytała Spasti.

- A co mnie obchodzi ten dupek!

- Ostatnio był jakiś inny.

- Czy dziś jest ostatnio?

- Powinam od razu ci o tym powiedzieć. Z Zorro możesz się nieźle zabawić. W porządku. Ale wybij sobie z głowy coś poważniejszego.

- On rżnie wszystko, co mu się nawinie. Od dwunastu lat do siedemdziesięciu - rzekła Kiiken.

- Mam to gdzieś. On już i tak gówno mnie obchodzi -skwitowała Joe i wypiła do końca koktajl truskawkowy.

- Masz dziś czas? - spytała Spasti.

- Każdą ilość.

- To może skoczmy na imprezę do skejtów. Ten blondyn, Alex, którego poznałaś, specjalnie zapytał, czy cię przyprowadzę.

- Brzmi nieźle.

- Myślałam tylko, że jesteś wciąż zabukowana u Zorro.

- To źle myślałaś.

- Na tych skejtowych imprezach bywa czasem całkiem ostro.

- Świetnie.

- A co? Pieprzą się jakoś inaczej? - spytała Kiiken.

- Sama sprawdź - odparła Spasti.

- Prędzej zrobiłabym to kijem od miotły, niż dala się obmacywać jakiemuś pajacowi w za szerokich spodniach.

- Rasistka - rzekła Spasti.

Joe załatwiła od kogoś skręta. Palila od niechcienia, tak jakby to był zwykły papieros, dopóki nie odebrała go jej Spasti.

- Nie przejmuj się. - Z trudem postawiła Joe na nogi i zaciągnęła do tramwaju.

- Mocna kawa dobrze nam robi - powtarzała Spasti kilka razy. Joe zasłoniła twarz włosami. Przez całą drogę nie odezwała się słowem.

Drzwi otworzył sam Alex. Był wyraźnie poruszony przybyciem Joe.

- Naprawdę cieszę się, że wpadłaś - rzekł po chwili. Impreza trwała już jakiś

czas. Wszyscy byli kompletnie nawaleni. Leżeli w obszernym salonie, w którym stało kilka luksusowych mebli, robionych pewnie na zamówienie. Niektórzy tylko się całowali. Inni wyglądali, jakby właśnie skończyli albo przesadzili z ćpaniem.

Joe oparła się plecami o ścianę i osunęła na podłogę. Zerknęła przez zasłonę włosów, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Nie mogła stwierdzić, czy przed nią leżało dwoje, czy czworo półnagich ciał.

Atmosfera w pokoju niemal nasycona była kokainą -na szklanym stoliku było jej pełno. Alex skinął na Joe, by podeszła do stolika. Ale dziewczyna nie reagowała. Spasti poszła po coś do picia. Za chwilę wróciła z butelką drogiej whisky. Rozciągnęła się na podłodze obok Joe. Pociągnęła spory łyk i podała butelkę Joe.

Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Czerwone wino rozlało się malowniczą delta po podłodze i wsiąkało w dywan. Alex, potykając się, przeszedł przez pokój i zaczął pospiesznie zwijać mokry dywan, wrzeszczał przy tym piskliwie:

- Przestańcie świrować! Uważajcie bardziej! Nie mam zamiaru przez was obrywać.

Alex pochylił się nad szklanym blatem. Z dużym wysiłkiem udało mu się wciągnąć coś do nosa. Nie podnosząc się z kolan, zbliżył się do Spasti i Joe. Ujrawszy butelkę whisky, oburzył się.

- Skąd ją wytrzasnęłaś? Ech, cała flaszka chevas. Starzy mnie zabijają. - Chciał odebrać Spasti butelkę, lecz ta trzymała ją mocno.

- Muszę się wysikać - powiedziała Joe. Musiała powtórzyć, ponieważ trudno ją było zrozumieć. - Człowieku, muszę się wysikać. Gdzie tu jest kibiel? - Alex wskazał jej drzwi. Joe obróciła się. Wstała, cały czas opierając się obiema rękami o ścianę. Otworzyła drzwi łazienki. Jakaś para bżykała się w wannie. Dziewczyna piszcziała. Chłopak spojrzał na Joe.

- Drzwi! - ryknął.

Joe zachwiała się w tył.

- Muszę się odlać - oznajmiła, wchodząc do łazienki. Mocno trzymała się parapetu.

- Nie zwracaj na nią uwagi - rzekł chłopak.

Joe usiadła na sedesie. Tamci robili dalej swoje. Piana i woda przelewały się przez krawędzie wanny. Dziewczyna znów zaczęła piszczeć. Joe czuła się skrajnie wyczerpana.

Gdy wróciła do salonu, do Spasti przystawiał się jakiś koleś. Spasti pociągała co i raz z butelki. Alex pochylał się nad szklanym stolikiem. Joe zsunęła się po ścianie z powrotem do Spasti.

- Witajcie na orgietce u Aleksa - wymamrotał zamroczony koleś. -Ja jestem Tom. Ten sam, który czekał tylko na was. - I położył tłuste łapy na udach Spasti.

Alex znów przypelzł na czworakach. Usadowił się obok Joe.

- Wspaniale, że przyszłaś. -Joe cały czas zakrywała twarz włosami. Alex odgarnął je na bok, lecz Joe potrząsnęła głową.

Tom ciągle próbował pocałować Spasti. Najpierw nie reagowała. Odwróciła tylko głowę w bok i uniosła butelkę do ust.

- Mam dla was pytanie konkursowe. Co jest lepsze: uprawiać miłość czy się pieprzyć?

- Pieprzyć się - odparła Joe natychmiast.

- Też tak sędzę - oświadczyła Spasti.

- Wygrałaś! - ryknął koleś do Spasti. - Wiesz, co jest nagrodą?

- Nie mam pojęcia.

- Najlepsza część pana Toma.

Alex delikatnie dotykał Joe. Gładził jej ramiona, Joe skrzyżowała ręce na piersiach. Poczowała nagle jego język wpychający się pomiędzy jej wargi. Nie stawiała oporu. Opanowała ją całkowita obojętność.

Tom trzymał rękę między nogami Spasti.

- No chodź, bo zaraz eksploduję - sapał.

- Nie spodziewaj się, że ci w tym pomogę - opierała się Spasti.

Zaczai majstrować przy jej rozporku. Nagle podkurczyła nogi i wyprostowała je gwałtownie, odrzucając faceta w tył. Butelka przewróciła się. Whisky wsiąkała w dywan.

- Kurde, ale wy robicie syf - mruknął Alex. Spasti odeszła w inny koniec pokoju.

Alex wciąż usiłował pocałować Joe. Próbował dobrać się do jej biustu, lecz ona zasłaniała się, trzymając na piersiach skrzyżowane ręce.

Podczołgał się do nich Tom. Z początku Joe nie zauważyła, że dotyka ją dwóch facetów.

- Spadaj! - syknął Alex.
- A to niby czemu? - zdziwił się Tom.
- Bo ja tak mówię.
- No co ty? Widać, że ma na to ochotę.
- Nie ma. - Alex zabrał rękę Toma z uda Joe.

- Ona chce to robić z dwoma. Wszystkie kobiety chcą to robić z dwoma - bełkotał Tom. Próbował wcisnąć dłoń pod zaciśnięte ramiona Joe. Alex odepchnął go. Tom przewrócił się, uderzając głową w ścianę.

Alex wstał gwałtownie i podniósł Joe. Wisiała w jego rękach, machając nogami w powietrzu. Bez oporu dała się przenieść przez całe mieszkanie. Rzucić na łóżko. Ściągnąć bluzkę i spodnie. Wciąż z całej siły przyciskała skrzyżowane ręce do piersi.

Tom też tam był. Alex próbował wejść w nią jak dziki. Ten drugi koleś też nie siedział beczynnie.

Gdy odzyskała przytomność, stała na ulicy. Było ciemno. Trzymał ją Alex. Podjechała taksówka. Alex zaczął coś do niej nawijać.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Moi rodzice, wiesz, wracają z samego rana, rozumiesz? A w mieszkaniu jak po huraganie. - Wcisnął jej do ręki banknot. - Strasznie mi przykro. W każdym razie uważam, że jesteś naprawdę w porządku.

Zabawne. Dopiero teraz zwymiotowała. Prosto na jego buty. Otworzyła drzwi taksówki i opadła na tylną kanapę.

- Jak mi zarzygasz tapicerkę, to cię ten kurs będzie bardzo drogo kosztował - ostrzegł taksówkarz.

- Już się wyrzygałam - powiedziała Joe.
- Słucham. Dokąd jedziemy?
- Nie wiem.
- A dokąd w Nie wiem?

- Niech pan po prostu ruszy przed siebie.
- Nie ma mowy. A więc dokąd?
- Do domu.
- A gdzie jest to Do domu? Joe milczała.
- Najlepiej będzie, jak szybciotko wysiądziesz. Ale przedtem pięć marek za

wezwanie.

- Do Zoo.
- Aha. Tylko nie zarzygaj tapicerki, bo koszty będą zbyt wysokie.

Na dworcu Joe podeszła do jednego kolesia, który się tam kręcił, i spytała, czy nie widział może Asi. Tamten trząśł się cały z zimna, mimo że opatulił się szczelnie śpiworem.

- Asi? - upewnił się. - Ta popieprzona? Zabrali ją. Sprawdź w psychiatryku. Masz może jakieś drobne? Skombinuję nam coś.

Gdy Zorro odzyskał przytomność, poczuł najpierw, że jest przywiązany do łóżka. Wrzasnął. Próbował z całej siły zerwać krępujące go więzy. Potem ponownie wrzasnął. Leżał w białym pokoju. W oknach tkwiły kraty.

Wyczerpany, opadł na poduszkę. Pragnął spać dalej. To na pewno był sen. Za chwilę obudzi się obok Joe w swojej chatce na działkach. A ona pośle mu ten swój uśmiech.

Kiedy ponownie się ocknął, stały w drzwiach jego celi. Śmiały się i zachowywały hałaśliwie. Pokazywały go sobie palcami. Znał niektóre z tych ćpunek.

- Co się dzieje?! Gdzie ja jestem?! - krzyknął.
- W psychiatryku - zaśpiewała jedna z dziewcząt. Zor-ro rozpoznał głos Asi.

Czuł ogromne zmęczenie. Zasnął ponownie. Gdy się obudził, w pokoju przebywała już tylko Asi. Chichotała obłąkańczo. Zorro znów szarpnął, próbując zerwać więzy. Rzemienie raniły mu skórę.

Asi usiadła na jego łóżku. Zaczęła całować pętające go rzemienie.

- Kurczę, ale heca! - Chichotała głośno. - Ciebie też złapali z powodu chorej głowy. Super! - Odrzuciła koldrę. Zorro miał na sobie tylko białą koszulę szpitalną,

pozbawioną tylnej części. Asi podciągnęła ją wysoko. Chichotała bez końca.

- Zostaw - powiedział Zorro spokojnie. Ponownie próbował wyswobodzić się z więzów. - Zostaw! - krzyknął w końcu.

Asi zaczęła potrząsać jego fiutem.

- Niegrzeczny chłopiec. Zły. Bardzo zły. - Nie przestawała chichotać.

Zorro zamknął oczy. Ten koszmar już znał. Wtem otworzyły się drzwi i do sali wkroczyły trzy postacie w białych kitlach.

- Wygląda na to, że groźba samobójstwa została zażegnana - rzekła jedna z nich. Potem zwróciła się do Asi: -Lepiej jednak będzie, jak sami zajmiemy się terapią. Kathrin, bądź tak dobra i odprowadź Asi. - Asystentka wyprowadziła Asi z sali.

Zorro próbował się podnieść.

- To tylko sen, prawda? - spytał niepewnie.

- Tak - odparł biały kitel. - Ale cholernie zły.

Joe nie otwierała szarych kopert, które przychodziły każdego dnia. Pokażna kupka nieprzeczytanych listów spoczywała na dnie starej skrzyni na zabawki.

Tamtego poranka Joe jakoś dotarła do domu. Bo i tak nic nie miało znaczenia. W domu było spokojnie - ani mama, ani Mikę do niczego się nie przyczepiali. Joe po przyjściu ze szkoły zaszywała się w swoim pokoju, a opuszczała go dopiero następnego ranka.

Mama trochę się o nią martwiła. Zwłaszcza że nie mogła nic z córki wyciągnąć. Mikę był zdania, że Joe poszła w końcu po rozum do głowy. Mama stawiała raczej na kłopoty sercowe.

- To jest jak świnka u dzieci, która mija - mówiła do córki. - Następnym razem będzie to tylko w połowie tak bolesne.

Czasem Joe wyjmowała wszystkie listy, pisane tymi dużymi, koślawymi, ledwie czytelnymi literami. Na każdym widniał adres nadawcy - szpital psychiatryczny Bonhoeffer. Ciekawe, co mu się mogło stać. Pewnie zgubiła go niewyparzona gęba. Może miał pecha i natknął się na jakąś pięść albo na kogoś z nożem. Ale źle z nim nie było, mógł wszak pisać listy.

Potem jednak rozerwała jedną z kopert. Przeczytała tylko jedno zdanie: „Co mam robić przez ten czas, jaki pozostał do mojego pogrzebu, gdy ciebie przy mnie nie będzie?”. I to wystarczyło... Zapomniała, jakim skończonym draniem był ten facet. Zakotłowało jej się w głowie. Co ona będzie robić bez tego łotra do czasu swego pogrzebu? Siedzieć na tyłku. Dłubać w nosie. Obstawi cały pokój idiotycznymi pamiątkami wydarzeń, które nie miały miejsca. A po śmierci cały ten kram zgnije razem z tobą.

I tak nie byłaby już zdolna pokochać nikogo innego. Kiedyś był jeszcze dobry Bóg. Mogłaś Jemu ofiarować swoją miłość i iść do klasztoru.

Trzy dni później Joe przeczytała ciurkiem wszystkie listy. Płakała potem kilka godzin. Była na siebie zła, że znowu dała mu się omamić. Odpisała jednym zdaniem: „Tylko dlaczego z ciebie taki dupek?”. W jego następnym liście również było tylko jedno zdanie: „Czemu taka istota jak ty stąpa po ziemi?”.

Musiała się z nim zobaczyć. Choćby ten jeden, ostatni raz. Napisał, że wychodzi za dwa dni. Będzie czekał na Alex.

Tego dnia Joe zaraz po szkole pojechała na Alex. Nie wiedziała, czy chce go spotkać. Raczej nie. Ale musiała go jeszcze raz zobaczyć.

Obeszła plac w koło, i nic. Poszła do „Burger Kinga”. Kupiła dużą colę i usiadła przy oknie. Popijała wolno, by móc siedzieć tam jak najdłużej. s

Przyszedł. Zauważyła go, jak tylko wynurzył się z podziemi. Długie kroki. Opuszczone ręce. Tułów pochylony do przodu. Przypominał nieco tragarza. Na nosie miał nowe okulary. Zatrzymał się i rozejrzał. Nie podszedł do fontanny. Ruszył w kierunku domu towarowego. Przed wejściem rozejrzał się ponownie. Zniknął w środku. Po kilku minutach pojawił się znowu.

Joe zostawiła colę i wyszła. Jak najszybciej. Byle dalej od tego miejsca. Byle dalej od niego. Obejrzała się, czy jej nie dostrzegł. Być może szedł za nią. Engel zniknął.

Zatrzymała się pod wieżą zegarową. Toczyła wewnętrzny spór: wsiąść w metro i odjechać czy wrócić na plac? Zawróciła. Dlaczego? Dlatego. Zaczęła biec. Tak jakby się spieszyła. Rozglądała się skrycie. Przy fontannie go nie było. Ani przed

„Kaufhof”.

Mijając „Burger Kinga”, zerknęła do środka. Siedział na jej miejscu, gdzie stała jej cola. Gapił się przez okno. Z początku jej nie dostrzegł. Joe mimowolnie stanęła jak wryta. Zauważył ją. Wtedy odwróciła się i zaczęła uciekać. Nie oglądała się. Czekwała, aż usłyszy jego głos. Czekwała na jego dłoń na ramieniu.

- Księżniczko, zaczekaj. Proszę. Zwolniła.
- Dlaczego?
- Muszę z tobą porozmawiać.
- Nie mamy o czym rozmawiać.
- Django chciałby się z tobą przywitać.
- Aha. - Joe zatrzymała się. Zorro trzymał szczura w dłoniach.
- Django, przywitaj się. - Posadził go na jej ramieniu. Joe chwyciła szczura.

Spojrzała na niego.

- Ech, Django. Nic na to nie poradzisz, że ten typ jest największym dupkiem na świecie. - Przyjrzała mu się dokładnie. - A skąd mu się wzięła ta jasna plama?

- Postarzał się.
- Co ty powiesz? - Oddała mu zwierzę. - I na razie.
- Wiem, że jestem dupkiem. Proszę, księżniczko.
- Znów masz przy sobie obrączkę?
- Ech! To było głupie. Byłem zalany. Odstawiłem całkiem żalosne

przedstawienie.

- Odstawiłeś całkiem sporo całkiem żalonych przedstawień. Najważniejsze, że masz swoją muzę.

- To nie tak. Ty się nie zjawiałaś, a ja chciałem się zabić. To nie ma z Asi nic wspólnego.

- Oprócz tego, że zamiast się zabić przeleciałeś ją.
- Naprawdę to nie było tak, jak myślisz.
- Dlaczego miałabym uwierzyć choćby w jedno twoje słowo?

- Nie musisz. Chcę ci po prostu pokazać, jak bardzo cię kocham. Wiesz, trzeba się ciężko napracować, by przeżyć. Bez ciebie nie chce mi się nawet kiwnąć palcem.

Najpierw rozplakał się Zorro. Potem Joe.

- Daj mi Django - powiedziała. Długo przyglądała się zwierzęciu. - To nie jest Django.

- Nie okłamałbym cię już nigdy w życiu. Nie chciałem po prostu, byś wiedziała. To jest Django junior.

Joe po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, to nie jest prawda. Co to wszystko ma, do cholery, znaczyć? Dlaczego nie oszukasz mnie, że ze starym Django wszystko w porządku? - Rozplakała się. Zorro pogłaskał ją po głowie. Potem bardzo ostrożnie objął. Odepchnęła go.

- Muszę już iść.

- Zostań, proszę.

- Może wpadnę tu jutro.

Joe wróciła do domu. Wmawiała sobie, że nie wie, co ma robić. Ale tak naprawdę wiedziała bardzo dobrze, że jutro po południu pójdzie na Alex. Czowała się źle. Poddała się już rano. Poddała się już dawno temu.

Domek na działkach jeszcze stał. Wieczorem Żono rozsiadł się na balkonie i zatopił w rozmyślaniach. Gdyby umiał się modlić, spędziłby na klęczkach całą noc. Prosiłby Boga, by nazajutrz zjawiała się na placu. Zorro westchnął. Uświadomił sobie, że oddycha, że jeszcze żyje. W szpitalu nie miał tej pewności. Nawet nie zauważył, że nadeszła jesień. Kosy już odleciały. Na drzewach dojrzewały jabłka. Ochłodziło się. Pomyślał, że mimo wszystko warto żyć. Był przecież twardzielem.

Joe przysła na plac. Usiedli na ławce przy wieży telewizyjnej. Joe trzęsła się z zimna. Zorro tulił ją mocno. Opowiedział, co stało się z nim tamtego wieczoru. W każdym razie to, co sam zapamiętał.

Joe wierzchem dłoni otarła łzy.

- Czemu to wszystko jest takie skomplikowane? - spytała. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Wymiotowała. O mało nie zemdliała.

- Księżniczko, co z tobą? Jesteś chora? - Zorro zrobił się jeszcze bledszy niż ona.

- To nic. Ostatnio mi się zdarza.

- Musisz iść do lekarza.

Obok nich wsiadał właśnie do samochodu jakiś mężczyzna. Zorro podbiegł do niego.

- Przepraszam pana. To nagły wypadek. Moja narzeczona musi natychmiast znaleźć się w szpitalu. - Nie czekał na odpowiedź, tylko otworzył tylne drzwi auta, wpakował Joe i siebie do środka. Uszczypnęła go, lecz nie powiedziała nic.

- Ale jak to... to znaczy... może lepiej zadzwonić po karetkę? - jąkał się właściciel auta.

- Proszę się pospieszyć - rzucił Zorro.

- No więc dokąd? Do Charite?

Gdy wysiedli przed szpitalem, Joe powiedziała:

- Wariat. Po prostu wariat. Ale nie myślisz chyba, że pójde do szpitala tylko dlatego, że wymiotowałam.

- Owszem, tak właśnie myślę. - Chwycił ją mocno za ramię i zaprowadził na ostry dyżur.

Pielęgniarka odprowadziła Joe za rozsuwane szklane drzwi.

- Pan będzie musiał zaczekać tutaj - zwróciła się do Zorro.

Chłopak nerwowo przemierzał korytarz tam i z powrotem. Czas dłużył mu się nieznośnie. Naraz szklane drzwi rozsunęły się. Kilka osób w białych kitlach pospiesznie pchało łóżko na kółkach. Zorro pognał za nimi, lecz na łóżku leżał starszy człowiek, wyglądał, jakby jedną nogą był już w grobie.

Czoło Zorro zrosił pot. Zapalił papierosa.

Nagle podszedł do niego jakiś lekarz. Spojrzał na niego wymownie.

- Ładne rzeczy - powiedział.

- Wszystko gra? - Zorro nie domyślił się, o co mu chodzi.

- Co pan wyprawia?

- Czekam na moją narzeczoną.

- Być może. Proszę jednak natychmiast zgasić papierosa.

- Nie widzę tu nigdzie zakazu.

- Niech pan stąd natychmiast wyjdzie.

- Ani myślę. - Zorro strzepnął popiół na kaloryfer.
- Powinien pan już iść.
- Człowieku, nie denerwuj mnie. Już i tak jestem wystarczająco zestresowany.

Biały kitel dał za wygraną i odszedł. Minęła wieczność, zanim szklane drzwi rozsunęły się po raz kolejny i ukazała się w nich Joe. Zorro podbiegł do niej.

- Powiedz, że to nic poważnego.
- Sama nie wiem.
- Jak to?
- Chciałabym na chwilę zostać sama.
- A więc to coś poważnego?
- Niezupełnie. -Joe ruszyła do wyjścia. Zorro chciał ją objąć, lecz odsunęła się.
- Co się dzieje? Powiedz wreszcie! - nalegał głosem podminowanym.
- Zostaw mnie na parę minut w spokoju. - Wyszli ze szpitala. Joe poszła w stronę

Sprewy. - Chyba muszę się napić.

- Oczywiście. Zaraz pójdziemy do jakiejś knajpy.
- Nieee, daj spokój.
- Chcesz zapalić? - Zorro sięgnął do kieszeni.

Joe łapczywie wyciągnęła papierosa. Zapaliła i zaciągnęła się mocno. Potem rzuciła go na chodnik i przydeptała.

- Chyba rzeczywiście coś z tobą nie tak.

- Jakoś mi nie smakuje. - Stanęli nad brzegiem rzeki. Mijał ich statek wycieczkowy z przeszklonym dachem. Z głośników dochodził głos przewodnika, informujący, że ta ogromna budowla na lewym brzegu Sprewy to szpital Charite.

- Jestem w ciąży - oznajmiła w końcu Joe.

- Trzymajcie mnie! - Zorro uśmiechnął się od ucha do ucha. Podniósł Joe i zakręcił nią w koło. - Będziemy mieli syna! - zawołał.

- Puść mnie, proszę. - Joe odeszła dwa kroki. Zapatrzyła się w wodę. - Nie jestem pewna, czy to twoje dziecko.

Zorro zdębiał. Opuścił ręce luźno. Czuł się, jakby w głowie eksplodował mu fajerwerk...

- Jestem pewien, że to moje dziecko. Na sto procent. Czuję to tu, w środku. -

Uderzył się w pierś.

- Policzyłam z tą lekarką bardzo dokładnie.

- No i?

- W tym czasie zawsze używaliśmy prezerwatywy. Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

- Raz zdarzyło mu się wysunąć. Nic ci nie mówiłem.

- Jest jeszcze coś...

Zorro położył jej palec na ustach.

- Nie chcę o tym wiedzieć. To wszystko moja wina. W każdym razie to nasze dziecko. Nasz syn. Ja jestem jego tatusiem.

- Engel - jak miło, że znów go tak nazwała - zastanawiam się, czy nie usunąć.

- Nie wolno ci tego zrobić.

- Mamy jeszcze tyle czasu. Poza tym chciałabym mieć pewność, że to ty jesteś ojcem.

- Ależ jestem jego ojcem. Bez względu na wszystko.

- Powinna skończyć szkołę. Kto się nim zajmie?

- Tatuś.

- To przecież kosztuje masę pieniędzy.

- Tatuś załatwi kasę.

- Engel, wariacie. - Joe pocałowała go. - Daj mi kilka dni.

- Ale obiecaj, że nie usuniesz. Przecież to morderstwo.

Pojechali na działki. Joe opatulila się śpiworem. Siedli na balkonie.

- Jeśli urodzę, nie ma mowy, żebym została w domu. Nie zniosę uwag tego kretyna. A mama nie przestania suszyć mi głowy, że zmarnowałam sobie życie i tak dalej.

- Zgłosisz się do opieki społecznej. Dadzą ci mieszkanie. Znam jedną dziewczynę, która tak zrobiła. Tylko musisz iść do katolickiej. Pobiadolisz trochę, że masz trudną sytuację rodzinną i chcesz usunąć. Bo ojczym cię molestuje i nie masz gdzie mieszkać.

- Myślisz, że ten numer przejdzie?

- Jasne. Zaraz zamieszkas w luksusowym apartamencie. I dadzą ci tyle kasy, ile będziesz chciała. - Zorro położył dłoń na jej nagim brzuchu. - O! Coś poczułem.

Naprawdę.

- Engel, wariacie.

Joe nie pisnęła w domu ani słowa. Zaraz na drugi dzień udała się do katolickiej poradni macierzyńskiej. Wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak powiedział Zorro. W każdym razie kobieta w szarym habicie była bardzo wzruszona, że Joe chce utrzymać ciążę. Mimo że dziewczyna nie była katoliczką. Kobieta poruszyła się jeszcze bardziej, gdy Joe powiedziała:

- Mój narzeczony uważa, że aborcja to morderstwo.

- Ma pani ogromne szczęście. Nie wszyscy młodzi ojcowie są tak odpowiedzialni.

- Być może to nie on jest ojcem - wyrwało jej się. Niepotrzebnie. Kobieta w szarym habicie wyglądała na rozczarowaną. Mimo to zatelefonowała do urzędu opieki nad nieletnimi. Właśnie zwolniło się jedno miejsce w Domu Samotnej Matki. Joe mogła wprowadzić się tam od zaraz.

Pojechała na Alex. Zbliżając się do fontanny, rozglądała się uważnie, czy nie ma w pobliżu Asi. Nagle ktoś zakrył jej oczy.

- Engel, wariacie.

- Jak poszło? - spytał Zorro.

- Jak po maśle. Prawdopodobnie dostaniemy mieszkanie.

- Dla nas trojga?

- Pewnie.

Zorro podniósł ją wysoko. Poszli pod fontannę. Trzymali się za ręce, jak Jaś i Małgosia. Spasti była bardzo zaskoczona ich widokiem.

- No, no. Coś podobnego!

- Coś taka zdziwiona? - spytała Joe.

- Wy znowu razem? - Spasti uśmiechnęła się.

- Nie pamiętam, byśmy się rozchodzili.

- Krążyły takie słuchy.

Pojawił się też Maria i kilkoro innych. Otoczyli ich kołem.

- Gdzie was wcięło? - spytał Maria.

- Byliśmy w podróży poślubnej - odparł Zorro. Następnie wyciągnął z kieszeni butelkę rumu. - A dziś urządzamy imprezę.

- Czyżby zaręczyny? - spytała Spasti.

- Ma się rozumieć.

Zjawił się również dziadek Addi. Wyglądał coraz starzej. Uścisnął obojgu ręce.

- "Życzę wam szczęścia i błogosławieństwa oraz zdrowego potomstwa. Choć mam nadzieję, że bocian jeszcze nie wyruszył.

Zorro uśmiechnął się z nieskrywaną dumą. Joe kopnęła go mocno w kostkę.

Uśmiech zniknął.

- Żadnego seksu przed nocą poślubną. Tak jak Britney Spears - powiedziała Joe.

Wzniesli toast za pannę młodą. Najgłośniej skandowała Spasti. Szturchnęła Joe porozumiewawczo w zebro. Joe poczuła się głupio. Automatycznie zakryła twarz włosami. Pewnie musiała być czerwona jak zachodzące słońce.

Dziadek Addi powiedział, że musi usiąść. Ugięły się pod nim nogi. Zorro przytrzymał go za ramię, a Joe podparła z drugiej strony. Posadzili go na brzegu fontanny. Starzec zrobił gest, by usiedli obok niego. Wyglądał bardzo staro.

- Będzie z was szczęśliwa para. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale nie dajcie się. Mam nadzieję, że odnajdziecie swoje miejsce w tym zwyrodniałym społeczeństwie. Ono jest tak zwyrodniałe, że zgubi samo siebie.

- Masz na myśli bombę atomową? - spytała Joe.

- Poradzą sobie bez niej. Bóg szmal i bogini zysk - oni się tym zajmą.

Doprowadzą do tego, że w Niemczech przestaną się rodzić dzieci. Co to za naród, który nie dba o swoje dzieci? Bo mamona to jedyny ideał. Za sto lat nie będzie już narodu niemieckiego.

- Nie ma czego żałować - rzekł Zorro. - Są gorsze rzeczy. Na przykład wojna. A do tego czasu rozpętają jeszcze pewnie niejedną.

- Nie daj się nigdy zaciągnąć do wojska, Zorro. Bycie żołnierzem to nic tylko

ciągle oczekiwanie na wojnę -powiedział dziadek Addi.

- Najpierw musieliby odstrzelić mi łeb.

- Kaza ci tylko czołgać się w błocie, byś czuł się tam jak w domu.

- Żaden kulas mnie do tego nie zmusi. Kiedyś byłem krótko harcerzem. I był u nas wtedy taki jeden kacyk. Potrafił tylko rozkazywać. Potem mu dokopałem za wszystkie czasy.

- Czemu ty od razu musisz wyskakiwać z pięściami? -skarciła go Joe. - Uważam, że to beznadziejne.

- Jeżeli jeszcze można się bronić, to czemu tego nie robić? - rozważał dziadek Addi. - Ale jak na górze zdecydują, że będzie wojna, to będzie.

- A wszyscy idioci ich posłuchają.

- Żadne zwierzę nie zabija innego osobnika swojego gatunku - stwierdził dziadek Addi.

- A jednak. Małpy - powiedziała Joe. - Szympanom się to zdarza. Czasem przeradza się to w prawdziwą wojnę między stadami. W telewizji widziałam o tym film. Zabijają nawet dzieci.

- Są však najbardziej podobne do ludzi - zauważył dziadek Addi.

- Ale nie mają przynajmniej bomby atomowej - wtrącił Zorro. - Jak spadnie, to będziemy jak myszy w mikrofalówce.

- A co się dzieje z myszami w mikrofalówce? - spytała Joe.

- Mówili o tym kiedyś w radio. Brr, ohyda.

- A w takim Izraelu to normalnie strzelają do dzieci. Niemal każdego dnia. Bo te urządzają zadymy. Oblęd.

- I nikt nie protestuje. Jak mu kaza strzelać do dzieci, to on strzela. Rozkaz rzecz święta - powiedział dziadek Addi.

- Ale co można z tym zrobić? - zastanowiła się Joe.

- Obawiam się, że nic. Jedyne wyjście to po prostu usunąć tych, którzy wydają takie rozkazy.

- Nie wiedziałem, że z dziadka taki anarchista.

- Nie macie pojęcia o wielu rzeczach. - Starzec mówił coraz słabszym głosem.

Był bardzo blady. Nagle osunął się na bok.

- Ej, dziadku! - zawołał Zorro. - Nie wygłupiaj się. Joe podbiegła do policjantów, którzy patrolowali okolicę. Powiedziała, by niezwłocznie wezwali pogotowie.

- Woda czy drągi? - spytał gliniarz.

- Wylejcie mu najpierw kubek wody na łeb - odezwał się drugi.

Joe wściekła się.

- Gdyby wam rozkazać, strzelalibyście nawet do dzieci! - krzyknęła. Jeden z policjantów próbował ją złapać, ale była szybsza. Rzuciła się do ucieczki. Tamci ruszyli za nią.

Zorro, widząc, co się dzieje, wystrzelił jak z procy prosto na mundurowych. Z całym impetem staranował jednego z nich. Tamten wywinął w powietrzu efektowne salto i poturlał się po chodniku, niczym środkowy napastnik, sfaulowany na polu karnym.

- Uciekaj! - krzyknął Zorro i pognął zakosami przez plac, ściągając na siebie pościg. Nie stawiał dużego oporu, gdy nakładali mu kajdanki.

Joe była z niego dumna. Kochała go niesamowicie. Uratował ją, odciągając uwagę tych bydlaków. Zupełnie jak ci klowni na rodeo, którzy nadstawiają karku za jakiegoś lichego torreadora. Martwiła się o niego. Wiedziała, że zawsze walczy do upadłego. Nie było to zbyt mądre, bo tamci i tak dysponowali większą siłą.

Joe wyczekiwała jakiś czas pod wieżą telewizyjną, potem pojechała do Charite. Bo tam najpewniej odwieziono dziadka Addiego. Musiała się nieźle napytać i naprosić, zanim pozwolono jej do niego zajrzeć. Nie знаła nawet jego imienia. Po ciężkich zmaganiach dowiedziała się w końcu, że dziadek Addi naprawdę nazywa się Adolf Hinnack Lemke.

Ucieszył się bardzo, gdy ją zobaczył. Jeszcze nigdy nie widziała go uśmiechniętego. Wyglądał jednak jak żywy trup. Przypominał jakiegoś upiora. Cały drżał.

- Czym sobie zasłużyłem na twoje odwiedziny? - spytał słabym głosem.

- Ależ, dziadku, to przecież oczywiste - odparła. Spytała, czy ma kogoś zawiadomić. Rodzinę, a może krewnych.

Starzec tylko pokręcił słabo głową.

- Ucieszyłbym się jednak, gdyby ktoś wpadł któregoś dnia i przyniósł coś do picia.

- Niebawem dziadek wyzdrowieje, a wtedy napijemy się wszyscy razem.

Dziadek Addi nachylił nieznacznie głowę w jej stronę.

- Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę, moje dziecko, gdybyś zajrzała do mojego mieszkania. W kieszeni marynarki jest klucz. Nakarm mojego ptaka. Może jutro. Ziarno stoi obok klatki. I zmień mu wodę. Możesz go na chwilę wypuścić.

Niech sobie polata.

- Oczywiście.

Podyktował jej adres. Zapewniła, że może na niej polegać.

Dopiero gdy opuściła szpital i odetchnęła zanieczyszczonym berlińskim powietrzem, uzmysłowiła sobie, że dziadek Addi leżał w jednoosobowym pokoju na samym końcu korytarza. Być może to był pokój do umierania? Zupełnie na samym końcu korytarza.

Wieczorem mama zawołała ją do telefonu.

- To on. Niestety.

Joe zabrała aparat do przedpokoju. Kabel uniemożliwiał jednak zamknięcie drzwi od salonu. Tyle razy błagała mamę, by kupiła telefon bezprzewodowy.

Właśnie go wypuścili. Miał jednak sprawę o pobicie i stawianie oporu władzy. To go trochę podłamało, a Joe nie mogła dodać mu otuchy czułym słowem, bo ta świnią w dużym pokoju celowo ściszyła telewizor, by podsłuchiwać rozmowę. Na pewno przygnębiło go to jeszcze bardziej. Umówili się, że nazajutrz odwiedzą papugę dziadka Addiego. Ale przedtem Joe uda się do urzędu opieki nad nieletnimi.

Tej nocy kiepsko spała. Obudziła się wcześniej rano. Myślała oczywiście o dziecku, które było teraz tak malutkie jak ziarenko ryżu albo grochu. Co ją czeka, gdy zdecyduje się urodzić? Czy pewnego dnia powie mu: „Poświęciłam dla ciebie całą swoją młodość”? Właściwie niewiele miała z tej młodości. Pewnie jeszcze mniej niż mama. Prócz kilku pięknych dni spędzonych z Engelem. A jeśli Engel któregoś dnia zechce się jednak przekonać, czy na pewno jest ojcem? Albo gdy dziecko zapyta

kiedyś, w jakich okolicznościach zostało poczęte? Co mu wtedy odpowie, że nie pamięta? A w głowie będzie kołatać się ta jedna myśl: to była najgorsza noc w jej życiu.

Tak naprawdę ani przez chwilę nie wątpiła, że urodzi to dziecko. Tego dnia nie poszła do szkoły. Była zbyt zmęczona, poza tym na jedenastą umówiła się w urzędzie.

Kobieta siedząca za biurkiem wyglądała dość nietypowo jak na urzędnika. Miała na sobie szerokie spodnie i srebrno haftowany sweterek. Na blacie biurka stała oprawiona fotografia, na której siedziała po turecku i uśmiechała się tajemniczo; tuż za nią widać było jakąś grubą i wyjątkowo brzydką Hinduskę.

Teraz kobieta zza biurka uśmiechała się tak samo jak na zdjęciu. Mówiła w bardzo specyficzny sposób - monotonnym głosem wypowiadała zdania niemal całkowicie pozbawione intonacji, przez co sprawiała wrażenie znudzonej. Poza tym cały czas zachowywała się tak, jakby chciała dać Joe do zrozumienia, że są na świecie o wiele ważniejsze rzeczy niż jej problemy. Na przykład zagadnienie, czy w następnym wcieleniu będzie ślimakiem, czy może słonicą.

Najpierw wypytywała Joe o różne sprawy. Potem spytała:

- Masz już jakieś wyobrażenia co do swojej przyszłości?

- No, mniej więcej - odparła Joe.

- A nieco konkretniej?

- Wkrótce wychodzę za mąż.

- No tak. To jest twój tak zwany narzeczony, który jednakowoż niekoniecznie musi być ojcem twojego dziecka. Niejaki Zorro.

- Zgadza się.

- Wiesz co nieco o jego przeszłości?

- Chyba tak.

- Więc nie zdradzę żadnej tajemnicy, informując cię, że ten chłopak ma za sobą dość bujną przeszłość narkotykową. Dziewczyno, zastanów się dobrze.

- Ale on już nie bierze. W każdym razie nic twardego.

- A te wyroki za pobicie?

- Nic o tym nie wiem.

- W takim razie nie wolno mi rozmawiać z tobą na ten temat. Mogę tylko powtórzyć to, co już raz powiedziałam: zastanów się dobrze, byś później nie żałowała.

Jak ona to powiedziała! Ohyda! Tym znudzonym tonem i z tym uśmiechem. Jakby była jakąś wyrocznią.

- To moja sprawa - powiedziała Joe.

- Nie do końca. Bo, widzisz, nie masz jeszcze szesnastu lat. To oznacza, że jeśli urodzisz to dziecko, mamy prawo przejąć nad nim opiekę. Nad tobą również, jeśli tak postanowi twoja matka.

- Co takiego?! Nie możecie tego zrobić.

- A jednak. Ale nie musisz się niczego obawiać. Na pewno znajdziemy razem najlepsze rozwiązanie tej sprawy. Jest właśnie jedno mieszkanie. W sam raz dla ciebie.

- Naprawdę?

- Tak. W Domu Samotnej Matki.

- Wszystko jedno, gdzie.

- Jednakże ten twój narzeczoną nie ułatwia nam zadania. Może powinnaś przestać się z nim widywać. Przynajmniej przez pewien czas.

- A więc urząd dla nieletnich decyduje również, kogo mam kochać?

- Ależ oczywiście, że nie. W programie obowiązują jednak pewne reguły. Musi być na przykład jasne, kto ma dostęp do mieszkania. Nocowanie osób postronnych jest zasadniczo wykluczone.

- A wolno się tam brandzlować?

- Bezcelnością nic u mnie nie wskórasz. Powinnaś już sama na to wpaść.

Zastanów się więc, czy chcesz wychowywać to dziecko. W przypadku pozytywnej decyzji znajdziemy jakieś wyjście.

- Już się zdecydowałam.

- W takim razie przejmę nad tobą opiekę. Jestem pewna, że się dogadamy. Bo zdążyłaś już chyba zauważyć, że nie jestem takim zwyczajnym urzędnikiem.

Joe nie zdążyła tego zauważyć.

Gdy spotkała się z Zorro, nie opowiedziała mu wiele o tej babie. Cały czas był sfrustrowany z powodu oskarżenia. Zdradziła mu tylko, że prawdopodobnie dostanie mieszkanie. Zorro uniósł ją i zakręcił w koło. O przepisach nie wspomniała.

Zorro zmienił się ostatnimi czasy. Jeszcze do niedawna zupełnie by się nie przejął kolejną sprawą w sądzie. Ale jak mógł spokojnie się przyglądać, kiedy ci gliniarze gonili Joe? Gdyby to wyglądało tak, że przypadkiem wszedł im w drogę, próbowaliby udowodnić, że jest niemal ślepy. Na psy nie ma jednak mocnych. Zaraz znajdzie się pięciu, którzy zeznają pod przysięgą, że to było niebudzące wątpliwości usiłowanie zabójstwa. Ciężył już na nim jeden wyrok w zawieszeniu za pobicie. Nie powiedział o tym Joe. Tamta historia z rowerzystą również znalazła się na liście.

Humor polepszył mu się błyskawicznie, gdy Joe opowiedziała o mieszkaniu. Pojechali do Charlottenburg, gdzie mieszkał dziadek Addi. W obskurnej kamienicy czynszowej, wybudowanej zaraz po wojnie, nie było normalnej klatki schodowej. Do mieszkań wchodziło się z korytarza przylegającego do zewnętrznej ściany domu.

Od razu rozpoznali jego drzwi, ponieważ przyklejono na nich trupa czaszkę. Dwa nieduże pokoje były prawie puste. Znajdował się tam materac, duża, rzeźbiona w dziwaczne wzory szafa i stary stół, którego blat pokrywała taka masa powypalanych dziur, że wydawał się niemal czarny. Na stole stała klatka. W środku, z grzędy na grzędę, skakała jasnoniebieska papużka falista.

- Biedaczysko - zasmuciła się Joe i nasypała ziarna do miski. Ptaszek usadowił się naprzeciwko drzwiczek klatki i zaczął uderzać w nie dziobkiem.

- Bardziej mu spieszno do wolności niż żarcia - zauważył Zorro. Otworzył drzwiczki. Papuga zrobiła kilka okrążeń w pokoju i usiadła Joe na ramieniu.

Mieszkanie sprawiało wrażenie posprzątanego. Wynikało to jednak z niewielkiej liczby sprzętów czy czegośkolwiek w tym rodzaju. Żadnych obrazków na ścianach, żadnych zdjęć lub innych pamiątek. Na stole leżał samotnie otwieracz do butelek. Podłogę wyłożono korkiem. Zewsząd ziało niesamowitą pustką.

- Jak można tak żyć? - dziwiła się Joe.

W małej kuchni natknęli się w końcu na ślady życia. Na podłodze stała cała bateria pustych flaszek. Były ustawione w rzędach po trzy. Równiuteńko jak żołnierze na defiladzie. Zorro szukał dalszych śladów, nie wierząc, że nie ma ich więcej oprócz butelek i papugi, o której zresztą Addi nigdy nie wspominał.

- To miejsce mnie dobija - powiedziała Joe. - Chodźmy już.

- Poczekaj. On nigdy o sobie nie opowiadał. Dopiero teraz sobie uzmysłowiłem, że znam go tak długo i kompletnie nic o nim nie wiem. - Zorro zamyślił się.

- Nie ma nawet żadnych krewnych ani nic. A wiesz, jak ma naprawdę na imię? Adolf.

- Serio? Myślałem, że tylko Hitler nosił to imię.

- Pewnie po wojnie wszyscy, którzy mieli na imię Adolf, zmienili je na przykład na Addi.

Zorro uchylił drzwi od szafy.

- Chyba nie powinienes tam zaglądać - upomniała go Joe.

W szafie wisiał płaszcz i marynarka. W pokoju zaroilo się od moli.

- Papuga do klatki i spadamy - ponagliła Joe.

Zorro otworzył jedną z trzech szuflad. W środku leżało kilka przedpotopowych magazynów pornograficznych.

Właściwie żadne tam pornosy - nagie kobiety ze ściśniętymi udami i bujnym owłosieniem łonowym. Zorro pokazał je Joe.

- Myślisz, że się przy nich onanizował? Że też kiedyś rajcowały ludzi takie rzeczy!

- To niezbyt w porządku z twojej strony - skrytykowała go Joe. - Nie powinienes tu myszkować.

- Chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć. Teraz wiem przynajmniej, przy czym walił gruchę. Sama pomyśl, gdyby umarł jutro, pozostawiłby po sobie jedną wielką pustkę. Ten gaduła z krematorium chyba się załamał, gdyby nie miał o czym nawijać.

Środkowa szuflada była zamknięta. W prawej było trochę bielizny i papierowa torba z piaskiem dla ptaków. Zorro przetrząsnął bieliznę, szukając klucza do

środkowej szuflady.

Joe chciała nasypać papudze świeżego piasku. Wysunęła ruchomą podłogę klatki. Pod spodem leżał klucz. Podała go Zorro.

- Naprawdę masz zamiar tam szperać?
- Może ukrył tam milion.

Klucz pasował. W szufladzie, na samym wierzchu, leżała duża kartka papieru z namalowaną odręcznie trupa czaszką. Pod spodem znajdował się stary album ze zdjęciami. Chłopiec w skórzanych spodniach, stojący obok konia. Chłopiec z innym chłopcem. Zupełnie sztywno; zdjęcie było zapewne robione w studio. Mieli na sobie śmieszne garniturki i krótkie spodenki.

- To na pewno dziadek Addi w młodości. Widać po nosie - zauważył Zorro.

Joe jednak nie okazywała zainteresowania.

- Czemu go po prostu nie poprosisz, żeby pokazał ci swoje stare zdjęcia?

Na kolejnych fotografiach chłopiec był już o wiele starszy. Jedno z nich przedstawiało go ubranego w czarny mundur z naszytą trupa czaszką - symbolem SS.

- Rany, ale numer! - wykrzyknął Zorro. - Ten koleś był w SS! Wiesz, co to znaczy?

- To przecież nazistowscy mordercy. Pewnie to nie on.

Zorro wyjął z szuflady pożółkły wycinek z gazety. Nagłówek głosił: „Wyrok dla zbrodniarza wojennego”, pod spodem kilka fotografii różnych twarzy. Jedna z nich znajoma, z charakterystycznym haczykowatym nosem. Pod spodem: „Adolf Hinnack Lemke, 20 lat za zbrodnię przeciwko ludzkości”.

Zorro odłożył wszystko na miejsce i zamknął szufladę. Zupełnie zaschło mu w ustach. Poszedł do kuchni i napił się wody z kranu.

Joe poszła wolno za nim.

- A więc należał do SS?

- To morderca. A ja nie miałem przed nim żadnych tajemnic. Nie wiedziałem, że codziennie spotykam się z nazistowskim mordercą.

Joe spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Jesteś pewien?
- Tak było napisane w gazecie. Chcesz zobaczyć?
- Nie chcę.

Papuzka wróciła do klatki i zajęła się jedzeniem. Joe zamknęła za nią małe drzwiczki.

- Więcej tu nie przyjdę.
- A myślisz, że ja tak?
- A co z papugą? Ona niczemu nie zawiniła.

Joe zadzwoniła do sąsiedniego mieszkania. Otworzyła jakaś kobieta. Joe spytała ją, czy nie mogłaby zaopiekować się ptakiem.

- Tego lumpa? - spytała kobieta lekceważąco, ale zgodziła się.

Zorro i Joe pojechali na Alex. Z początku nikt nie chciał w to uwierzyć. Potem rozgorzała dyskusja, co zrobić. W każdym razie nikt nie miał zamiaru odwiedzać go w szpitalu. A gdy wyjdzie?

- Osobiście wybiję mu wszystkie zęby. Tak nas wykiwał. Sukinsyn. Jeśli o mnie chodzi, to niech sobie zdycha w tym szpitalu. Szkoda tylko, że tak późno - mówił Zorro rozgoryczony.

- Mógłby chociaż opowiedzieć nam, jak to wszystko wyglądało - rzekł Maria.
- Przecież ciebie pierwszego wysłałby do komory gazowej. Jako zwyrodnialca.
- Ile on miał wtedy lat? To znaczy, wiesz, co ty byś zrobił na jego miejscu, gdyby ci w kółko wbijali do głowy to faszystowskie gówno? - spytał Remo.

- Racja. Więc jak jakiś łysy skopie bezdomnego na śmierć, bo ktoś powiedział mu, że taki koleś szkodzi społeczeństwu i należy go usunąć, to jest niewinny, tak?

- Ale można by z nim chociaż pogadać. Spytać, czemu to robił i co dziś o tym myśli - zauważyła Spasti.

- Też tak sędzę. Przecież on się na pewno zmienił. Sam powiedziałaś, że z niego prawdziwy anarchista. Jak mówił, że jest przeciwny wojnie.

- I że rasa niemiecka ginie, i inne pierdoły. Wiecie, dlaczego zawsze nosił tę trupa czaszkę? Bo to był symbol SS.

- On na pewno nie jest już nazistą - przekonywał Maria. - Gadałem z nim o

wszystkim. W pełni mnie zaakceptował.

- Pewnie był szpiegiem łysych - skomentował Zorro.
- Nie żartuj sobie - obruszyła się Spasti. - Chociaż gdyby to była prawda...

Zresztą nieważne. On już i tak jest jedną nogą w grobie. Jak przyjdzie, to po prostu go olejemy. A potem niech sobie zdycha.

Wszyscy się z nią zgodzili.

Zorro był coraz bardziej przybity. Są rzeczy, z którymi trudno się pogodzić. Nie chciał teraz myśleć, ile znaczył dla niego dziadek Addi. Gdyby chciał być szczery, to wyznałby, że również z jego powodu trzymał się w pobliżu placu. Stary był namiastką jego babci. Kimś, kto nie pouczał go na każdym kroku. Nie próbował, jak wszyscy, gadać tylko o sobie, lecz interesował się problemami innych. Był zawsze, gdy go potrzebowałeś. I zawsze wiedział, co jest grane. Chociaż chyba nigdy nie trzeźwiał.

Zorro i Joe pojechali na działki. Engel nie mógł przestać mówić o nazistach, obozach koncentracyjnych, komorach gazowych. Nie mógł pozbyć się widoku żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci, stojących nago nad własnymi grobami; rozstrzeliwanych jedno po drugim przez typa o haczykowatym nosie, ubranego w czarny mundur. Jego twarz była coraz starsza i w końcu stała się twarzą dziadka Addiego. Zorro nienawidził go z całych sił. Nienawidził również siebie za to, że dał się tak łatwo zwieść temu mordercy.

To był już trzeci raz z rzędu, gdy byli sami na działkach i nie spali ze sobą.

Niedługo potem Joe pojechała do domu. Nie czuła się najlepiej. Właściwie rozumiała Zorro, choć ta cała sprawa z dziadkiem Addim nie zrobiła na niej takiego wrażenia.

Następnego dnia po południu zadzwoniła ta facetka z biura. Załatwiła Joe mieszkanie. Od zaraz. Ktoś akurat wyleciał z programu, przez narkotyki.

- Przez narkotyki - powtórzyła baba dobitnie.
- Jasne - odparła Joe. Mogła przyjechać od razu i wszystko sobie obejrzeć.

Mieszkanie mieściło się w oficynie, nieopodal Landwehrkanal*. Budynek był

świeżo po remoncie- jasny i czysty.

Kobieta miała na imię Iha, zapewne po tym hinduskim świętym.

- Możesz mi mówić na ty - zaproponowała.

Odcinek Sprewy (przyp. tłum.).

Powierzchnia mieszkania była raczej skromna. W większym pokoju stał niewielki tapczan i biała lamelkowa szafa z IKEI. Jedne z jej drzwi, krzywo przykręcone, nie dawały się zamknąć. W mniejszym pokoju znajdowało się łóżeczko dziecięce i komoda w kwiatki.

- Nie ma pośpiechu - rzekła Iha. - Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Jestem - odparła Joe.

Zajrzały do malutkiej kuchni, a potem do jeszcze mniejszej łazienki.

- I jak, może być? - spytała Iha.

- No pewnie. - Joe próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać jej życie w tym mieszkaniu. Plakaty na ścianach, Engel w tym wąskim łóżku. Przepęlniła ją ogromna radość. - Jest idealne. - Mogła wprowadzać się choćby jutro.

Gdy przyjechała na Alex, wszyscy gapili się na nią. I na jej brzuch. Joe zrobiła się purpurowa. No jasne, Engel wszystko wypaplał. A to również przez wzgląd na niego nie chciała, by zaraz wszyscy o tym wiedzieli.

- Wszystkiego najlepszego - rzuciła Spasti. Maria przytulił ją.

- Jako transwestyta, szczerze ci zazdroszczę - powiedział. Wszyscy byli szalenie mili, a Zorro wprost rozpływał się z dumy.

Joe odciągnęła go na stronę.

- Nie umiesz trzymać języka za zębami, Engel, wariacie. Zresztą jutro możemy się wprowadzać.

- Zgrywasz się?

- Nieee, poważnie. Jednak są pewne zasady. Musimy o tym pogadać.

- Jakie zasady?

- No cóż, na przykład żadnych odwiedzin po dwudziestej drugiej.

- Przecież to jakiś absurd.

- Daj spokój. Jakoś to przeżyjemy. Tymczasem pozostali otoczyli ich kołem.
- Zostaniesz chrzestną ciotką? - spytała Joe Marię.
- Pytanie! - odparł Maria.

Wszyscy już tylko żartowali. Szczególnie dziewczęta -wprost wariowały. Joe siedziała na krawędzi fontanny. Rozkoszowała się tym, że wzbudza takie zainteresowanie. Czuła się powszechnie akceptowana.

Zorro ściągnął kurtkę i rzekł do Joe:

- Usiądź lepiej na tym.

Joe posłuchała. Dziewczyny chichotały. Zorro wrócił do chłopaków.

Najbardziej podekscytowana była Stópsel, na ogół raczej małowówna.

- Czy można rozpoznać ten raz, gdy się zachodzi w ciążę? - spytała.

Spasti dostała ataku śmiechu.

- Jasne. Rurę do końca, i eksplozja. A ty masz wtedy orgazm życia.

- W moim wypadku to był bociek - powiedziała Joe.

- A czemu nie używaliście gumek? - dopytywała się Stópsel.

- Ej, przecież byliśmy już zaręczeni.

- Ja zawsze używam gumek, gdy z kimś chodzę. Nie chcę jeszcze zachodzić w ciążę - oznajmiła Stópsel.

- Ja też nie - odezwał się Maria, który akurat nadszedł. Odpowiedziała mu salwa śmiechu.

- Z gumką to nie to - stwierdziła Spasti. - Poza tym i tak za późno go wyciągają, ponieważ muszą cię jeszcze pocałować i takie tam. A to cholerstwo zwisa potem z cipy.

- Naprawdę? - zdziwiła się Stópsel. - A znacie te ohydne gummy o smaku bananowym?

- Obrzydlistwo.

- Ale truskawkowe mogą być.

- Tyle że zanim uporasz się z nałożeniem, zdąży już pięć razy oklapnąć - kontynuowała Spasti.

- Co wy chrzanicie? - zirytowała się Joe. - Nie macie pojęcia, a gadacie głupoty.

Gumkę najlepiej nałożyć ustami. Wtedy wszystko idzie gładko.

Chichoty ucichły. Wszystkie chciały, by im to dokładnie opisała. Joe spytała, czy któraś ma jedną przy sobie. Stópsel wyjęła paczkę z kieszeni. Zawsze miała przy sobie prezerwatywy, choć używała ich dość rzadko.

Joe rozpakowała prezerwatywę i umieściła między wargami. Następnie próbowała nasunąć ją na kciuk, lecz wszyscy tak się na nią gapili, że nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, wypluwając prezerwatywę na chodnik.

- Trzeba w każdym razie zawinąć wargi zupełnie do środka - wyjaśniła, chichocząc.

- A więc tym podbiłaś Zorro - powiedziała Spasti.

- Nic podobnego. Ten zbereźnik sam mnie tego nauczył. Stary kurewski trick. - Joe poczuła, że się czerwieni. Strząsnęła włosy na twarz. Nagle zrobiło jej się strasznie głupio. Na szczęście Zorro niczego nie zauważył.

Ktoś wyciągnął skręta i puścił w koło. Joe przekazała go dalej, nie zaciągając się. W następnej kolejce jednak pociągnęła macha. Bo ciągle czuła się nieswojo.

Nadbiegł Zorro.

- Co ja widzę! - zawołał. Zabrał jej skręta i zaciągnął się głęboko. Cały on. Spasti chwyciła go mocno.

- Nie jesteś chyba aspołecznym typem.

- Mam się przyglądać, jak faszerujecie tym przyszłą matkę?

- Z tym też można przesadzić - przyznała Spasti.

Zorro przemierzał czyściutkie podwórko nad Landwehrkanal. Wszystko tutaj lśniło, aż rzygać się chciało. Liczył się z tym, że w każdej chwili może przydybać go tu jakiś babsztyl w śnieżnobiałym fartuchu.

Na tablicy domofonu nacisnął górny przycisk po lewej stronie, przy którym nie było jeszcze tabliczki z nazwiskiem. Joe powiedziała mu zawczasu, który ma nacisnąć. Rozległ się sygnał. Zorro otworzył drzwi. Joe czekała na niego w korytarzu. Gdy podszedł, objęła go. Poprowadziła do małego mieszkanca. Czuł się obco. Uśmiechnął się niepewnie. Inaczej wyobrażał sobie ich wspólny dom. W

każdym razie musiało tam być nieziemsko przytulnie. Z wielkim łóżkiem.

- Przecież w sumie jest całkiem niezłe - powiedziała Joe.

- Ujdzie w tłoku.

- Wystarczy, jak powpinamy coś na ścianach, i może jeszcze dałoby się skołować jakiś telewizor.

- Dobrze. A jak tam twoja matka? Co mówiła?

- Strasznie się ciskała. „Nie unieszczęśliwiał się. Zmarnujesz sobie życie. Nie masz nikogo, kto zarobi na rodzinę”.

- Powiedziałaś jej, że twój facet jest w stanie utrzymać rodzinę?

- Nie. Nic już więcej nie powiedziałam. Potem dodała jeszcze, żeby mi nawet do głowy nie przyszło prosić ją o cokolwiek.

- A co ma wspólnego twoja matka z naszym synem?

- To samo jej powiedziałam. I że i tak natychmiast się wyprowadzę.

- A ona?

- Tylko się rozplakała. Jak mogłam być tak nieodpowiedzialna! I żeby nie odważyła się zapukać do jej drzwi z wielkim brzuchem albo z dzieckiem na rękę.

- I tak po prostu sobie poszłaś?

- Spakowałam rzeczy. I w drogę. Jeszcze tylko krzyczała za mną, że nie ma już córki.

- Co za histeryczka! Ale przejdzie jej.

Zorro wkurzały zepsute drzwi od szafy. Joe pożyczyła narzędzia od gospodarza domu i Zorro przykręcił je nareszcie jak należy. Joe popatrzyła na niego z dumą.

- Pewnego dnia staniesz się moim ideałem.

Tymczasem Django junior dokonywał inspekcji nowego miejsca. Z początku bardzo ostrożnie, potem zaś ospale, ponieważ zapewne każdy kąt mieszkania został zdezynfekowany. Zorro podniósł go i rzekł:

- Przyzwyczajasz się, co? Ale nam i tak nie wolno tu zamieszkać.

- Lepiej by było, gdybyś nie zostawał pierwszego dnia zbyt długo - ostrzegła Joe.

- No cóż. Ale na szybki numerek chyba wystarczy czasu? - Zorro chwycił ją za piersi. Może troszkę zbyt grubiańsko, był bowiem ogólnie nieco rozdrażniony.

- Ej, zwariowałaś? - Oderwała jego dłonie. - Nie słyszałaś, że w okresie ciąży piersi są wyjątkowo czułe?

- Przykro mi, księżniczko. Pozwól jednak, że odbędziemy próbę generalną tego nowego wyrka?

- Nieee, nie dziś. Moja opiekunka zapowiadała, że wpadnie dziś.

- No to ładnie się zaczyna nasze wspólne mieszkanie.

- Musimy zachować rozsądek. Obiecałaś.

- Dobrze już, dobrze. Jeśli rozsądne jest, byśmy już nigdy tego nie mieli zrobić, to w porządku.

- Engel, wariacie. Dziś dostajesz punkty karne za grubiaństwo. Wpadnę do ciebie jutro.

Zorro zachmurzył się. Ale może i miała rację. Gdy człowiek bierze na siebie odpowiedzialność za nowe życie, nic nie jest już takie jak przedtem.

Gdy przybył na Alex, powrócił mu dobry humor. Miał przy sobie zdjęcie USG. Najpierw pokazał je tylko Marii. Miicke wyrwała tamtemu zdjęcie z ręki. Wszyscy chcieli je obejrzeć. Białe amebowaty kształt na czarnym tle. Zorro objaśniał i objaśniał. „Tu z lewej to będzie głowa. Obok, o! właśnie tu - ten mały garbek, to będzie ręka”. Dziewczeta wprost nie mogły się oderwać od fotografii.

Nagle wszystkie głowy zwróciły się w kierunku dworca. Wrócił dziadek Addi. Pchał przed sobą balkonik na kółkach, o który opierał się przy każdym kroku.

Wyglądał jak zjawa.

- Nie patrzcie w jego stronę - doradziła Spasti. - I ani słowa.

Odwrócili się tyłem. Skrzypienie kółek przybliżało się. Jego głos przypominał raczej charkot.

- Witajcie, moje dzieci. To ja. Zwiąłem stamtąd. Stęskniłem się za wami. - Nie od razu zrozumiał, co się stało.

- Nie słyszycie mnie? - charczał. - A więc chyba jednak umarłem.

Nikt się nie poruszył. Nikt na niego nie spojrzał. Skrzypienie kółek cichło, aż całkiem umilkło.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiliśmy - zawahał się Maria. - Powinniśmy z

nim porozmawiać. To takie brutalne.

- Ej, przecież to zbrodniarz. Zabijał nawet dzieci. Nie mieści ci się to w głowie? - fuknęła Spasti.

- Bo mu tak rozkazali - rzekł Zorro. - Wiesz, ile ludzi zabiłoby dziecko, gdyby im tak rozkazano? Pewnie z osiemdziesiąt procent.

- Co się z tobą dzieje? Ty go bronisz?

- Bo to prawda - odparł Zorro. - Wiesz, ilu nazistów po wojnie zostało politykami? Albo szychami w gospodarce? I ile orderów otrzymali? Dlaczego takiego dziadka wsadzili do więzienia?

- Bo sobie na to zasłużył.

- Bo był głupim zabójcą. Ale może zaczął w końcu myśleć? Normalnie zabójcom rozdają ordery, a on wylądował na ulicy.

- Dobrze, daruj już sobie te uczone pierdoły - odparowała Spasti. - Tak czy inaczej to nazista, który mordował ludzi. Ktoś taki nie ma tutaj czego szukać.

- W porządku. Chciałbym się tylko dowiedzieć, co się tam wtedy naprawdę działo - wyjaśnił Zorro.

Stary zniknął im z oczu. Zorro ruszył w stronę dworca. Maria za nim.

- On już i tak długo nie pociągnie - skomentował.

- Nie ma pewności. To twarda sztuka.

Rozglądali się na całym dworcu, lecz starego nigdzie nie było.

- Na pewno poszedł się napić - powiedział Zorro.

W knajpie coś się wydarzyło. Ochlapusy dworcowe nie tkwiły przy stolikach, lecz stały obok nich. Wpatrzone w podłogę. Zorro przeczuwał, co się stało. Potem zobaczył go leżącego na podłodze. Twarz groteskowo popielata. Oczy szeroko otwarte, nieruchome wpatrywały się wprost w Zorro.

Nadbiegło dwóch sanitariuszy. Zorro odwrócił się.

- Myślisz, że nie żyje? - spytał Maria.

- Nie wiem. Ale to twarda sztuka. Powlekli się z powrotem pod fontannę.

- To nie było w porządku - skwitował Maria.

- W porządku, w porządku - odparł Zorro. - Nie takie pewne, że nie żyje. Ale

powinienem był z nim porozmawiać. Taki musi przecież więcej wiedzieć o tym całym gównie.

- To gówno go zabiło.
- On już pewnie sam nie wiedział, kim jest.
- A ty to wiesz?
- Dobra, mniejsza z tym. Zapomnijmy o tym pijaku. Chciałem go tylko o coś zapytać.

Joe nie wiedziała, dlaczego poczuła nagle taką niechęć do Zorro. Zapragnęła nagle zostać sama. Sam na sam z dzieckiem. Wyobraziła sobie, że już się urodziło. Że płacze, trzeba je karmić i przewijać. Trochę ją to niepokoiło. Nie była pewna, czy da radę. Jej piersi zrobiły się naprawdę wrażliwe.

Nie spodziewała się tak szybkich zmian. Chociaż dziecko miało dopiero kilka cali.

Dziesięć minut po wyjściu Zorro znów zaczęła za nim tęsknić. Huśtawka nastrojów była zapewne czymś normalnym w czasie ciąży.

Niemal co wieczór spotykali się na Alex. Potem jechali na działki. Często leżeli obok siebie, trzymając dłonie na brzuchu Joe. Zamykali oczy i skupiali się na dziecku. Potem opowiadali, co myślą.

Zorro był pewien, że to chłopiec. Opowiadał, że jak podrośnie, kupi mu piłkę i będą grać w mieszkaniu. Stanie w drzwiach, które posłużą za bramkę. Mały będzie miał na sobie koszulkę St. Pauli, o wiele na niego za dużą. Dzięki temu nigdy nie będzie kibicował ani drużynie HSV, ani Bayernowi, ani Hercie. Chłopiec strzela do bramki. Czasami wychodzi mu jeszcze niezdarnie. Czasami tata umyślnie przepuszcza piłkę.

Joe kochała go za te historie, które opowiadał, trzymając rękę na jej brzuchu. Swoje przyszłe dziecko potrafiła sobie wyobrazić tylko jako niemowlę. Jak na przykład karmi je piersią. Chciałaby to robić jak najdłużej. Gdy o tym opowiadała, Zorro robił się trochę zazdrosny.

- Moje piersi oczywiście nigdy nie przestaną należeć tylko do ciebie - uspokajała go. - Ale będziesz je musiał pożyczyć na jakiś czas naszemu synowi.

Czasem, w trakcie tych spotkań, znowu czuła ten niepokój. Pytała Zorro, co z jego praktykami. Odpowiadał, że ciągle o to się stara, ale jakiś pieprzony urzędnik twierdzi, że Zorro nie wytrwa w nauce, że najpierw musi wypracować w sobie sumienność. A bez normalnego mieszkania i tak nie ma mowy o żadnym stażu. Jeszcze nie chcieli dać mu mieszkania. Nie uważają nawet, że byłby zdolny prowadzić uporządkowane życie.

- Ale nie przejmuj się, poradzę sobie. Przecież wiesz, jaki ze mnie twardziel - powiedział Zorro.

- Wiem - odparła.

Zabawne, w szkole Joe myślała najczęściej o Aleksie. Że to on jest najprawdopodobniej biologicznym ojcem dziecka.

Alex rzadziej pojawiał się na placu. Jeżdżąc na desce, uśmiechał się do niej nieśmiało. Kiedyś musiała mu powiedzieć. Pewnie i tak wiedział, że jest w ciąży. Spasti bowiem nadal bywała u skejtów. Pewnego razu spotkała go przypadkiem, gdy wychodzili ze stacji metra. Najpierw nie chciała go zaczepiać, potem jednak zawołała odruchowo:

- Cześć, Alex!

Odwrócił się. Zaśmiał niepewnie.

- Cześć!

- Możemy zamienić słowo?

- Jasne. W tej chwili?

- To nic pilnego. Możemy innym razem.

- Postawię ci tort marcepanowy.

- Okay. Spotkajmy się u „Rentnera”. Zaraz tam przyjdę.

Joe sprawdziła, czy Zorro jest już pod fontanną. Jeszcze go nie było. Mimo to weszła do „Rentnera” tylnym wejściem przez hotel.

Alex, jak zawsze, wyglądał świetnie.

- Co u ciebie? - spytał głupio.

- A co ma być? A ty jak żyjesz?
- Gówniana szkoła.
- Wiem coś o tym.
- Chcesz tort?
- Nie, wolę bitą śmietanę i cappuccino.

Alex zamówił to samo. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Chłopak miętosił w ustach drewnianą wykałaczkę.

- A więc zostaniesz mamą? - odezwał się w końcu.
- Wieści szybko się rozchodzą.
- No cóż, w takim razie gratuluję i życzę szczęścia. Znów zamilkli na dłuższą

chwilę.

- A który to miesiąc? - zapytał w końcu, upuszczając wykałaczkę.
- Trzeci.
- Trzeci?
- Możesz sobie spokojnie policzyć.
- Tak sądzisz?
- Tak sędzę.
- Jesteś pewna?
- Tak jakby.

- Dlaczego dopiero teraz mi mówisz?
- Mógłbyś się sam zainteresować.
- Nic nie wiedziałem. Jakoś zawsze się mijaliśmy.
- Ale nie ma tragedii. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

- Oczywiście. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć - zapewnił. - Wiem, to było do dupy. Ale kompletnie mi odbiło na twoim punkcie.

- Sama byłam przecież pijana do nieprzytomności. Nie musisz mieć wyrzutów sumienia. Żaden facet nie przepuściłby takiej okazji.

Kelnerka postawiła przed nimi cappuccino.

- Uwierz mi, wtedy naprawdę nie byłem sobą. Wciągnąłem za dużo koksu.
- Chciałabym tylko wiedzieć, czy twój kumpel też brał w tym udział. Ja

kompletnie nic nie pamiętam.

- Przysięgam ci, że nie - odparł Alex, spuszczać wzrok.
- Jesteś tego pewien?
- Jak najbardziej. Marzyłem, żeby się z tobą przespać. A potem tak się to

wszystko potoczyło...

- Parszywie się potoczyło - powiedziała Joe.
- Nienawidzisz mnie za to?
- Chyba nie. Najwyżej samą siebie. Ale też nie za bardzo. Musiałabym

nienawidzić dziecka.

- Jesteś naprawdę w porządku. W każdym razie biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Jeżeli mógłbym coś dla ciebie zrobić...

- Nie trzeba.
- Zostaniesz z Zorro?
- Taki mam zamiar.
- Ale jakby co, to wiesz.
- Dzięki. Myślałam tylko, że powinieneś to wiedzieć. I chciałam się przekonać,

że nie jesteś dupkiem.

- I co, jestem?
- Raczej nie. Moje dziecko nie powinno pochodzić od dupka.
- W każdym razie biorę na siebie pełną odpowiedzialność, jak już powiedziałem.

Jeśli jestem ojcem.

- Teraz i tak Zorro jest jego tatą.

Przyniesiono im ciastka. Jedli w milczeniu. Alex, przeżuwać, zerkał czasem na Joe. Nie dała rady zjeść do końca. Znowu nie czuła się najlepiej. Właściwie od dawna nie czuła się tak źle. Powiedziała, że musi już iść. Podziękowała Aleksowi za ciastko i kawę.

Zorro jeszcze nie przyszedł. Joe poprosiła Marię, by przekazał mu, że nie czuła się najlepiej i musiała się jeszcze przygotować do testu z matematyki. Zorro nie powinien mieć jej tego za złe. Jutro zjawi się pod fontanną o drugiej.

Do tej pory nieczęsto myślała o Aleksie. I o tamtej nocy. Teraz jednak nie mogła

myśleć o niczym innym. Próbowwała spojrzeć na wszystko z dystansu. Biologiczny ojciec jej dziecka był niesamowicie przystojny, zapewne też niegłupi i miał masę pieniędzy. W razie czego.

Nieoczekiwanie z goryczą uświadomiła sobie, że gdyby nie było Engela, nie urodziłaby tego dziecka. Wszystko wydawało się dosyć pokręcone. Mama nigdy tego nie pojmie, musiałyby bowiem najpierw zrozumieć, jak wielką miłością darzyła Zorro jej córka.

Na następnym zdjęciu można było wyraźnie dostrzec rączki i nóżki. Zorro ślęczał nad nim z lupą, by przekonać się, czy to na pewno chłopiec.

- Gdyby okazało się, że to dziewczynka, będę się cieszył tak samo - mówił. - Ale wiem, że to chłopak. Mam już dla niego imię.

- Na pewno jakieś wykręczone w kosmos.

- Dawid.

- Może być.

- Tak jak ten stary Dawid. Nie był wcale duży. Miał tylko coś w rodzaju procy, a powalił olbrzyma. To był dopiero twardziel!

- To ja w takim razie zdecyduję, jak będzie miał na drugie.

- To już też wymyśliłem. Na drugie będzie miał Che. Kojarzysz, po kim?

- Myślisz, że nie wiem, kim był Che Guevara?

- Największy frajer w historii.

- A to dlaczego? Przecież razem z Castro i garstką ludzi przejął władzę na Kubie. A miał przeciw sobie całą armię. Mieliśmy kiedyś jednego nauczyciela, który ciągle o tym nawijał.

- W porządku. Więc mógł zostać takim wielkim bos-sem jak Castro. Mieć pałace, kobiety, jeść steki i popijać szampanem. Lecz on oparł się pokusie. Wiedział, że jak człowiek ma nieograniczoną władzę, to mu pada na mózg. Dlatego zaszył się w boliwijskiej dżungli i szykował kolejną rewolucję. Ale tam go zamordowali.

- Trochę to wszystko skomplikowane. Przecież nikt się nie domyśli, czemu nasz syn ma takie dziwne imię. Dawid może skojarzą.

- Nie ma sprawy. Ty będziesz go nazywać Dawid, a ja Dawid Che. A później sam

wyberze dla siebie imię.

- A może to jednak będzie dziewczynka?

Gdy Joe ostatniego ciepłego dnia przyszła na Alex, ujrzała na twarzy Zorro wymowny uśmiech. - Co jest grane? - spytała.

- A, nic takiego - odparł. - W poniedziałek zaczynam pracę.

- Serio? To wspaniale. A co ze szkołą?

- Nie od razu. Najpierw muszę skończyć ten kurs. Nauczyć się rzemiosła i dyscypliny. Gdy to załatwię, dostanę mieszkanie. W każdym razie, jak Dawid Che przyjdzie na świat, będziemy już mieli własną chatę. I będzie się tam można pieprzyć bez ograniczeń.

Joe coraz rzadziej odczuwała niepokój. Właściwie była w świetnym nastroju. Nie miewała też mdłości. Najwyższy guzik dzinsów musiała zostawiać rozpięty. Ale tak zdarzało się również wcześniej, gdy za dużo zjadła. Engel twierdził, że słyszy bicie serca dziecka i słyszy wyraźnie, jak się porusza. Wariat. Przy okazji przeczytał chyba wszystko o ciąży i rodzeniu. Wiedział na ten temat więcej niż Joe, dopóki nie ukończyła specjalnego kursu.

Przez następny tydzień Zorro ze względu na pracę pojawiał się na Alex znacznie później niż zwykle. Niekiedy Joe od razu jechała do niego na działki. Ale nadchodziła zima i robiło się tam coraz mniej przytulnie. Zorro był w coraz gorszym nastroju. Najprawdopodobniej z powodu pracy.

Joe próbowała się dowiedzieć, co się tam dzieje. Zorro jednak nie był zbyt rozmowny. Mówił tylko, że musi murować. I ćwiczy pisać podania o pracę. Uczy się też ciągle mówić: „Tak jest” i „Amen”.

- Nie gadajmy już o tym. - Położył jej rękę na brzuchu. Drugą chwycił dłoń Joe. - Teraz lepiej opowiedz mi coś o Dawidzie.

Dwa dni później już w południe Zorro stanął przed drzwiami Joe. Natychmiast poczuła znowu ten niepokój. Tak dziwnie ją przytulił.

- Znow nabroileś - powiedziała.

- Można to tak nazwać.

- Ktoś nastąpił ci na odcisk?

- Coś w tym stylu. Rzuciłem to wszystko w diabły.
- Powiedz, że to nieprawda.
- Rany, nie masz pojęcia, jak tam było! Musiałem po raz drugi stawiać ten sam

mur.

- Mówiłeś, że robisz to jedną ręką.
- Ale ten pieprzony instruktor ciągle stał za mną z miarką i poziomnicą. Dziś już

prawie skończyłem. Tamten podszedł i przyłożył poziomnicę. Do pionu brakowało najwyżej milimetra. A ten mówi: „A więc zaczynamy wszystko od początku.

Rozbierz mur i wyczyść dokładnie wszystkie cegły. Co by o nas pomyśleli, gdybyśmy nie potrafili cię nauczyć murować jak należy”.

- Dałbyś spokój. Czy to nie wszystko jedno, w jaki sposób spędzasz tam czas?

- A do tego jeszcze ciągle te odzywki w stylu: „Czego się Jaś nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał”. Uczą raczej bezmyślności, a nie murarki. Chcą cię bez reszty otumanić i przyzwyczaić do bycia pomiatanym. Żebyś przypadkiem się nie stawiał. Postaw mur, rozbierz mur. Pomęcz tego gościa tam. Potem go zabij. Jasne, szefie, już się robi. Ech, robią z ciebie zombie. Po takim kursie wiadomo, na jakich zasadach działa świat. Czemu dochodzi do tego, że bez protestu zabijają nawet dzieci.

- Znowu przesadzasz. Chodzi tylko o papier, ze względu na mieszkanie i szkołę.

- Załatwię mieszkanie, bądź spokojna. Ale jeszcze nie tym razem.

- Nie wiem, Engel. Rozumiem to wszystko, ale może byłoby lepiej, gdybyś tam jutro wrócił. Powiesz, że przemyślałeś sprawę. I zaczniesz budować ten cholerny mur jeszcze raz. W końcu w szkole jest tak samo.

- Tylko że potem zacząłem kopać ten pieprzony mur. Jeszcze nigdy w nic tak nie kopałem.

- No i co?

- Zawalił się.

- Więc i tak musiałbyś go odbudować.

- Kilka cegieł spadło temu bydlakowi na nogę. Kazał się zawieźć do szpitala. Do tego wszystkiego jeszcze oskarży mnie o uszkodzenie ciała.

- Więc znowu tkwimy po uszy w gównie.

- Ech, księżniczko! Nie chciałem tego. Przez cały tydzień nie pisałem słowa.

Może rzeczywiście jestem frajerem.

- Nie jesteś. Engel, naprawdę to dobrze, że zburzyłeś ten mur. Chciałabym, żeby przywalił każdego, kto spróbuje cię poniżyć. Bo byłeś i jesteś najwspanialszy. Ale chodzi mi tylko o Dawida.

- Nie martw się. Jestem twardy i będę walczył o ciebie i o Dawida, dopóki tylko starczy mi sił.

Na Alex prawie nikogo nie było. Pogoda wyraźnie się popsowała. Zimą ludzie stają się zupełnie inni. Tęsknią do przytulnego domu i ciepłego łóżka.

Maria nie chodził już ubrany w sukienki, lecz w wąskie dżinsy. Doszedł bowiem do wniosku, że przecież jest zupełnie normalną ciotą. Wrócił do domu. Ma porządnego chłopaka, z którym łączy go coś więcej niż tylko seks.

Spasti przefarbowwała włosy z szokującego różu na zwyczajny czerwony. Coraz rzadziej pojawiała się pod fontanną. Odstawiła alkohol. Nie chciała zawałać szkoły. Planowała studiować archeologię. Po Asi zaginął słuch.

Tylko Zorro przesiadywał na Alex częściej, odkąd wyrzucili go z kursu. W jego chacie i tak nie było cieplej niż pod fontanną.

Czasem czekał pod szpitalem, jak tamtego dnia.

Joe wychodziła po badaniach. Zorro podbiegał do niej i z miejsca zasypywał pytaniami:

- I co, masz zdjęcie?

- Mam.

- Widać już coś?

- Sam zobacz.

Podstawiła mu zdjęcie pod nos. Chwycił je i przyglądał mu się w nieskończoność.

- Nic nie widać - stwierdził w końcu.

- Ślepy jesteś? Nie widzisz tej plamki, gdzie zaczynają się nóżki?

- Jesteś pewna?

- Lekarz powiedział.

- Dawid Che? A ja już zastanawiałem się nad imieniem dla dziewczynki.

Zorro przytulił Joe.

- Cieszyłbym się tak samo, gdyby to była dziewczynka. Ale od początku coś mi podpowiadało, że to jednak będzie chłopiec.

- Jedziemy na działki?

- Nie ma mowy, księżniczko. Zimno tam jak czort. Jeszcze się czegoś nabawisz przy tej cholernej pogodzie.

- Chciałabym, żebyśmy mieli własne mieszkanie.

- Już niebawem.

- Naprawdę?

- Jasne. A dzisiaj mogę jeszcze posiedzieć trochę u ciebie?

- Tylko nie za długo. Ta Iha ciągle gada, że kontakt z tobą nie wpłynie dobrze na jej opinię o tym, czy będzie mi wolno zachować Dawida.

- Suka.

Gdy przyszli do mieszkania, Zorro od razu położył rękę na brzuchu Joe, wyraźnie już zaokrąglonym.

- Czujesz, jak kopie? - spytała Joe.

- Właśnie chciałem ci powiedzieć. - Na twarzy Zorro malowało się bezgraniczne szczęście.

- Czasem myślę, że nie damy rady. Na przykład teraz.

- Nie wolno ci tak myśleć. Dawid wszystko czuje. On nie może się bać niczego.

On już słyszy.

- Wiem.

Joe położyła dłoń na brzuchu.

- Nie musisz się niczego obawiać, Dawidzie. Tatuś zatroszczy się o nas.

- Choćby nie wiem co.

Joe znowu wydawało się, że wszystko będzie dobrze.

Zorro został na noc. Rano rozległ się dzwonek do drzwi. To była Iha.

- Czy on tu jest? - spytała. - Nie musisz nic mówić. Wiem, że tu jest.

- Nie mogłabyś przymknąć na to oczu? Przecież to się nieczęsto zdarza.

- Płacą mi również za to, bym przestrzegała przepisów. Na razie dostajesz ostrzeżenie. Jeśli to się powtórzy, będziemy musieli się naradzić, czy możesz tu zostać.

- A co, zostawicie mnie na ulicy?

- Nie, chodzi o to, czy nie lepszy byłby dla ciebie ośrodek poza Berlinem.

- Chcecie odebrać mi Zorro?

- Na przykład.

- Czy my żyjemy w średniowieczu?

- Moje dziecko, od niego aż bije negatywną energią. Czuję to na odległość. Bo niby skąd bym się domyśliła, że tu jest? On blokuje twoje czakry.

- Co takiego?

- Twoja własna energia nie może swobodnie emanować.

- Co to za brednie? Jakies indyjskie czy hinduskie przesady?

- Nie chcę wywierać na ciebie presji, ale coś ci przyniosłam. - Wręczyła jej zdjęcie hinduskiej kobiety, tej samej, którą miała na biurku. - Usiądź, rozluźnij się i wpatruj w to zdjęcie. Popatrz w jej niesamowite oczy. Poczujesz przepływ energii. Z góry aż po same stopy.

- Coś takiego! - zdziwiła się Joe.

- Może dzięki temu zrozumiesz, że musisz odnaleźć siebie.

Iha podała Joe szaroniebieski świstek.

- W pewnym sensie to dla niego dobrze, że tu jest. Niech to podpisze.

- A to co znowu?

- Policja od tygodni szuka tego twojego kochasia, bo nie ma stałego miejsca zamieszkania. Lepiej niech to podpisze i zgłosi się dobrowolnie na policję, zanim zostanie dodatkowo oskarżony o włamanie.

Joe zaniósła pismo do pokoju. Dopytywała się, co to jest.

- To tylko pieprzone zaproszenie. Ale dopiero na przyszły miesiąc.

- Teraz sama widzisz - powiedziała Iha, gdy Joe podawała jej podpisane wezwanie. - Czy chcesz wiązać swoją przyszłość z kryminalistą? Ale wielka matka pomoże ci wybrać właściwą drogę.

- Jaka matka?

- Matka wszystkich matek. Jej zdjęcie ci pomoże. Jeśli zechcesz, sama również nad tobą popracuję.

Joe już nic na to nie odpowiedziała.

Wieczorem wpatrywała się w zdjęcie kobiety. Była wyjątkowo ohydna. Oczy zimne jak u ryby. Im dłużej się przyglądała, tym więcej dostrzegała w nich złości. Śniło jej się, że Iha przyprowadziła tę kobietę, a ta, śmiejąc się oblesnie, wyciągnęła jej Dawida z brzucha.

Joe schowała zdjęcie na dnie szafy.

Zorro zmiął wezwanie i schował do kieszeni. Usłyszał, jak Django junior zaczyna pożerać papier. Zuch - pomyślał.

Był jeden z pierwszych prawdziwie wiosennych dni. Znow rozlegał się śpiew kosa, toteż poprawił się nastrój Zorro. Dopóki nie wszedł na teren komendy policji. Bliskość glin natychmiast budziła w nim nienawiść.

Z naprzeciwka szło dwóch tajniaków. Otyłe, różowawe facjaty. Ręce wbite w kieszenie skórzanych kurtek. Kwadratowa szczeka. Stopy szeroko na zewnątrz. Buty z klamrą. Przyczajone spojrzenie świńskich oczu. Zorro nie musiał dłużej im się przyglądać. Potrafił ich sobie dokładnie wyobrazić.

Zorro rzucił pomięte wezwanie dyżurnemu za szklaną szybą.

- A to co ma być? - zapytał dyżurny, trzymając świstek wysoko.

- Szczurze żarcie - odparł Zorro.

Wartownik odrzucił mu wezwanie i poinformował:

- Korytarzem w lewo, pokój 23b. Proszę tam poczekać, dopóki ktoś pana nie wezwie.

Zorro stanął przed pokojem 23b. Bawił się z juniorem. To go uspokajało. Drzwi z numerem 23b otworzyły się. Brodaty typ z kwadratową szczeką skinął na niego, by wszedł do środka, nawet na niego nie spojrzał. Glina nigdy nie popatrzy ci w oczy.

Przy biurku siedział jeszcze jeden. Był szczupły i nie miał brody. Skinął na Zorro, by spoczął. Z siedzenia krzesła, które stało przed biurkiem, schodził lakier. Zapewne

wiele tyłków, siedząc na nim, wierciło się nerwowo.

- A więc raczył pan się nareszcie zjawić. Poszukujemy pana od trzech miesięcy - odezwał się chudy za biurkiem.

- To nie moja wina.

- Nie ma pan stałego miejsca pobytu.

- A czy to zabronione?

- Oczywiście, że nie - odezwał się drugi. - Jednakże nakaz aresztowania powinien wpłynąć już po pańskim ostatnim wykroczeniu.

- Byłem chory.

- I był pan pod opieką psychiatryczną - odezwał się znów chudy. - Jasne jest bowiem, że stanowi pan zagrożenie dla siebie i innych.

Zorro pomyślał o Joe i o Dawidzie Che. Nie powinien skakać tym glinom do gardeł. Musiał zachować spokój.

- Miałem ciężki okres z moją narzeczoną.

- I chciał pan rozwiązać swoje problemy, fundując komuś wycieczkę do szpitala?
- spytał chudy.

- To była wyjątkowa sytuacja. O tym może zaświadczyć szpital.

- A czynna napaść na funkcjonariusza na służbie? Kolega zmuszony był wziąć tygodniowe zwolnienie.

- Wypadki chodzą po ludziach. Bez okularów jestem niemal ślepy. Mam zaświadczenie lekarskie.

- Rozumiem. - Chudy wpatrywał się zza biurka w jakiś punkt za plecami Zorro. - A atak na swojego wychowawcę? Wyjątkowa sytuacja czy wypadek? Do tego jeszcze ten wyrok w zawieszeniu. On wciąż obowiązuje.

- Dlatego właśnie przyszedłem. - Zorro nagle zrozumiał, że coś wisi w powietrzu.

- Cóż za wspaniałomyślność! - rzekł ironicznie brodac.

- Zapisujemy na pańską korzyść to, że oddał się pan dobrowolnie.

- Jak to: „oddal”?

- Zmuszeni jesteśmy zatrzymać pana ze względu na różnorodność i ciężar

popelnionych wykroczeń oraz brak stałego miejsca pobytu.

- Nie możecie tego zrobić.

- Nie mamy wyboru. Cięży na panu wyrok w zawieszeniu. To oznacza, że musi pan spędzić jakiś czas w więzieniu.

- To niemożliwe. Wkrótce zostanę ojcem. Mam właśnie niedługo dostać pracę i mieszkanie.

- Głupio wyszło - powiedział brodaty. Zorro wyjął z kieszeni zdjęcie USG.

- Popatrzcie, to jest mój syn. Urodzi się w przyszłym miesiącu.

- Śliczny malec - powiedział brodacz.

Zorro zerwał się na równe nogi. Krew odpłynęła mu z głowy albo było jej tam za dużo. W każdym razie przestał nad sobą panować. Wszystko rwało się w nim, by zmiążdżyć tę kwadratową mordę. Powalić tego typu na ziemię. Nie miał zamiaru dać się zamknąć. Nie zostawi Joe. Nie zostawi syna.

- Niech się pan uspokoi - odezwał się chudy. - Na razie to tylko tymczasowe zatrzymanie. Jutro sędzia śledczy zadecyduje, co dalej.

Ten większy ustawił się w pobliżu drzwi. Widać było, że aż rwie się do akcji. Zorro stał pochylony do przodu. Ręce mu się bujały.

Chudy również wstał.

- Proszę się uspokoić.

- Dobra, wracaj grzecznie na miejsce i ręce za siebie! -Twarz grubego była spocona i czerwona.

Wtedy Zorro skoczył. Z całym impetem walnął grubasa łokciem w szczękę. Mężczyzna poleciał na ścianę.

Zorro szarpnął drzwi. Pobiegł korytarzem. Obejrzał się. Gruby na klęczkach z pistoletem w dłoni. Obok niego chudy wyciągał broń. Zawyła syrena alarmowa. Ze wszystkich pokoi wybiegły gliny. Zorro zawrócił. Gruby wciąż był na kolanach. Miał zakrwawioną twarz. Chudy dzierzył pistolet, ale w opuszczonej dłoni.

- Niech pan się podda! Nie ma pan szans! - wołał.

Zorro minął go i wbiegł z powrotem do pokoju. Dostrzegł uchylone okno. Skoczył bez namysłu, podkurczywszy nogi, osłaniając twarz rękami. Rozległ się

brzęk tłuczonego szkła. Wydawało mu się, że leci bardzo długo. Wylądował skulony na trawie. Przewrócił się na plecy. Pomyślał przez moment, że umarł albo jest sparaliżowany. Bolało go kolano. To samo, co zawsze. Skoczył najwyżej z dwóch metrów.

Chudy wychylił się przez okno.

- Zatrzymaj się! Nie pogarszaj swojej sytuacji! - zawołał niemal przyjacielskim tonem.

Zorro podniósł się i zaczął uciekać, kulejąc. Z kolaniem nie było tak źle. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się właśnie autobus. Kierowca zaczekał nawet na niego. Zorro wysiadł na następnym przystanku. Utykając, pędził na oślep przez jakąś starą przemysłową dzielnicę. Mijał zdewastowane hangary opuszczonych fabryk. Dopadł w końcu stacji metra. Bodaj po raz pierwszy w życiu skasował bilet - przeprawa z kanarami była ostatnią rzeczą, której potrzebował.

Jeździł metrem wzdłuż i wszerz po całym Berlinie. Niespodziewanie znalazł się na dworcu Kottbusser Tor. Nie wiedział do końca, jak to się stało. Poszedł w górę schodami. Na całej ziemi nie ma nędzniejszego miejsca niż Kottbusser Tor. Dlatego właśnie tu kręciły się najbardziej popierdolone ćpuny.

Zorro kupił jakiś marny kompot, przepłacając wielokrotnie. Nie było tego wiele. Moment po zastrzyku cały koszmar rozplynął się we mgle. Nawet uśmiechnął się do siebie na wspomnienie swojej akcji w komisariacie. Tak, należało się draniom. Nie sądził, by urządzili za nim jakąś straszną pogoń. Dziś jeszcze będą go szukać jak dzicy, grubas już się o to postara. A już jutro znajdą sobie coś lepszego do roboty.

Zadzwoił do Joe z automatu, by powiedzieć, że dziś nie może przyjść. Nie, nic specjalnego się nie stało. Jutro wszystko wyjaśni. W komisariacie? Jak zwykle do dupy. Więc dziś nie przyjdzie. To w sprawie pracy.

Gdy skończył, poczuł się kiepsko. Znowu nałgał Joe. Ale nie mogła się przecież dowiedzieć, że chcieli go wsadzić do więzienia. To by ją załamało. A Dawid Che odczuwałby wszystko razem z nią. Miał zasmakować tego parszywego świata jeszcze przed urodzeniem?

Nazajutrz również nie wspomniał o wydarzeniu w komisariacie. Nie zamierzał iść

na Alex. Zapewne tam będą go szukać w pierwszej kolejności. Do czasu, aż o nim zapomną. Powiedział Joe, że chce odpocząć od tego miejsca. Miał już dość pijaństwa i obijania się. Teraz skupi się na poszukiwaniu pracy. Wystarczy jedno kłamstwo - potem już można łączyć w nieskończoność.

Joe czasem mu wierzyła. Na przykład po wspólnie spędzonej nocy. Ale gdy przyszedł następnym razem, rozpłakała się. Mówiła, że znów czuje ten strach. Że już nie może słuchać tej gadaniny o pracy. I tak zabiorą dziecko. Dawid Che nie może przecież wychowywać się w ruderze.

Zorro położył jej dłoń na brzuchu. Poczł uderzenia...

- Ale walcz! Nie chce, byś płakała. - Zorro długo rozmawiał z Dawidem Che. Tłumaczył mu, że nie powinien się niczym przejmować. Bo jego tata też jest twardzielem i wkrótce zabierze go na wielką górę, by przekonał się, jak śmiesznie mały jest świat. Potem już nic nie zdoła go przerazić.

Joe uspokoiła się, gdy tak rozmawiał z Dawidem Che. Przytuliła się do Zorro.

Zorro nie chciał, by Joe przychodziła na działki. W domku śmierdziało zgnilizną. Nie było też wody. Powinna teraz na siebie uważać. Lekarz powiedział, że dziecko może urodzić się zbyt wcześnie.

Teraz częściej bywał w mieszkaniu Joe. Jednak zawsze zjawiał się tam dopiero po zmroku. Za śmietnikiem schował skrzynkę. Gdy się ściemniało, rzucał czymś w okno Joe i po skrzynce wdrapywał się przez okno do mieszkania.

Popołudnia spędzał zazwyczaj z Marią. Wymyślali różne żarty. Stanowili genialną parę. Było to również genialne zajęcie - z całego gówna, którego dookoła nie brakowało, robić sobie po prostu żarty. Najlepsze dowcipy spisali i wysłali do Haralda Schmidta. Część też do Stefana Raaba z „TV Total”. W istocie był to stary pomysł Zorro, który narodził się w jego głowie, gdy jeszcze mieszkał z rodzicami.

Któregoś razu, po jednej z wyjątkowo owocnych sesji, wyobrażali sobie, jak Harald Schmidt i Stefan Raab przebijają się w ofertach, ponieważ obaj chcieliby, żeby Zorro i Maria należeli do ich zespołów.

Żadna odpowiedź jednak nie nadchodziła. Zorro myślał sobie, że w telewizyjnej załodze panuje zapewne piekielna zawiść i konkurencja i równie dobrze mogło się

zdarzyć, że ani Harald Schmidt, ani Stefan Raab nie dostali ich notatek. W takich zespołach prawdopodobnie panują takie same zasrane zasady jak wszędzie.

Opowiedział o wszystkim Joe, dopiero gdy wysłali pierwszą serię pomysłów. Nie podskoczyła z radości pod sufit, ale nie wątpiła, że byłby w tym dobry. Dawid jednak nie mógłby czekać w jej brzuchu, aż niejaki Engel zostanie odkryty jako autor dowcipów. Uważała, że byłoby lepiej, gdyby Zorro postarał się o jakąś realną pracę. Tak na wszelki wypadek.

Czasem męczyło go przebywanie z Joe. Gdy ludzie naokoło gadali tylko o pracy i pieniądzach, nie potrafił tego znieść. Dobrze, że był jeszcze Dawid Che, z którym mógł normalnie pogawędzić. A Joe znów stawała się taka jak dawniej, gdy czuła jego dłoń na brzuchu.

Wychodził przed świtem i pierwszym pociągiem jechał do swojej chaty na działkach.

Pewnego ranka, kiedy ledwo zdążył ponownie zasnąć po powrocie od Joe, obudził go hałas silnika. Wyjrzał na zewnątrz. Potężny spychacz taranował płot ogrodzający teren ogródków działkowych. Łyżka spychacza wgryzła się w dach jednego z domków. Podważyła go i zwała na bok. Słysząc było niemal jęk protestu pękającego drewna oraz barbarzyński ryk silnika. Operator koparki nie mógł jednak tego słyszeć. Na uszach miał ciasno przylegające plastikowe słuchawki, a na głowie ochronny kask. Wyglądał na znudzonego.

Wielka łycha uderzyła w pozbawiony dachu domek. Jego ściany ugięły się. Potem łycha natarła z góry i po chwili z chatki zostało już tylko rumowisko.

To była najładniejsza parcela ze wszystkich. Domek zdobiły liczne rzeźbione elementy. Ogród przecinały wąziutkie ścieżki, wysypane białym żwirem. Na rabatkach rosły zioła, a każdy krzaczek miał swoją własną tabliczkę z opisem. Zorro czasem przystawał tam i myślał, ileż oni tysiące godzin musieli pracować, by doprowadzić ten ogródek i domek do takiego stanu. Zupełnie bez sensu. Jak bez sensu - wykazać im musiał spychacz. W kilka sekund zrównał wszystko z ziemią.

Zorro pomyślał, że tak musiała wyglądać wojna. Ale nie w głowie mu było stawiać opór. Umieścił Django w podróżnej klatce, zebrał do kupy kilka rzeczy.

Książki musiał zostawić. Wziął tylko Buszującego w zbożu.

Spychacz obalał właśnie drzewa owocowe nieopodal jego domku. Zorro, zanim odszedł, obejrzał się raz jeszcze. Zobaczył, jak zęby spychacza wbijają się w mały balkonik. Naraz pojawił się kos i zaczął latać jak oszalały naokoło spychacza. Zapewne próbował bronić swego gniazda. Kosy to potężni wojownicy. Potrafią nawet zaatakować kota, gdy zagrozi ich pisklętom.

Zorro pojechał do Marii. Nie było żadnej odpowiedzi ani od Haralda Schmidta, ani od Stefana Raaba. Zorro mógł przynajmniej zostawić u niego swoje rzeczy. Joe o niczym nie powiedział.

Znów spał na cmentarzu albo u Joe. Chciał być blisko niej. Obawiała się tylko, że natknie się na niego ta Iha i urządzi przedstawienie.

Tym razem spał akurat u Joe, kiedy obudziła go w środku nocy, mówiąc, że odczuwa zabawne skurcze. Zorro oprzytomniał w ułamku sekundy.

- Regularne? - spytał.

- Niece, nie wiem. Przyszły tylko raz albo dwa.

- W takim razie nie ma o czym mówić - stwierdził. - To były najprawdopodobniej tylko te skurcze próbne, czy jak one się tam nazywają. To zupełnie normalne, na dwa tygodnie przed urodzeniem.

- W porządku, doktorze Engel. Skurcze przedporodowe, tak nawiasem mówiąc.

- Zostanę przy tobie bez względu na wszystko.

- Nie wiem.

- Ale ja wiem.

Zasnęli ponownie i obudzili się dość późno. Zorro spojrzał na nią uradowany.

- Wszystko w porządku? A więc nareszcie będę mógł zaserwować mojej księżniczce śniadanie do łóżka.

Znalazł w kuchni puszkę ananasów, szynkę, ser topiony i pieczywo tostowe. A więc wszystko, czego potrzebował, by przyrządzić danie własnego pomysłu - tosty po hawajsku. Posmarował dwie kromki chleba topionym serem, narzucił na to szynkę i ananas, potem złożył je razem i umieścił na płycie kuchennej. Nastawił pokrętko temperatury na pół mocy. Następnie udał się do pokoju, by dać Joe całusa.

Joe znów śmiała się jak dawniej. Objęła go za szyję i wciągnęła z powrotem do łóżka. Miała ochotę na seks.

- Myślisz, że mu nie zaszkodzi? - spytała.

- Na sto procent. Przecież czytałaś. Jak te mięśnie pracują, to jest najlepszy trening.

- Engel, wariacie.

Kochali się bardzo delikatnie. Nagle Joe zeszywniała.

- Nie zostawiłeś gdzieś zapalonego papierosa? Zupełnie jej nie słuchał.

- Odpręż się, kochanie - szepnął.

- Nic nie czujesz?

Zorro odwrócił się w panice i zleciał z wąskiego łóżka na podłogę. Natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Tosty po hawajsku! Kurwa! - Pognał do maleńkiej kuchni, wypełnionej już dymem. Wziął głęboki wdech i sięgnął po omacku po kubek na śmieci. Wysypał zawartość, odszukał kran i podstawivszy kubek, odkręcił kurki do oporu. Potem chlusnął z wiadra na płytę kuchenki.

Zaczęło strzelać i iskrzyć. Przypominało to małą eksplozję. Zorro wybiegł z kuchni, trzymając się za twarz. Oczy piekły go tak bardzo, że nie wiedział, czy przypadkiem nie oślepl. Odsłoniwszy je, odetchnął z ulgą. W całym mieszkaniu unosiła się gęsta mgła z dymu i sadzy. Zorro przez ścianę dymu dostrzegł nagą Joe. Wyglądała ślicznie z tym wielkim, okrągłym brzuchem. Chwyił ją za rękę i zaprowadził do okna.

- To tylko tost po hawajsku - wysapał. - Nie ma najmniejszego powodu do paniki. Trzymaj głowę na zewnątrz. Wykombinuję coś innego na śniadanie.

Zorro pootwierał wszystkie okna i dym swobodnie wydostawał się na zewnątrz, leniwie rozplływając się po podwórzu. Nagle rozległ się kobiecy krzyk:

- Pali się! Tam na parterze!

Jednocześnie ktoś zaczął walić w drzwi jak szalony. Zorro uchylił drzwi.

- Nie ma obawy. Coś się tylko przypaliło - wyjaśnił przez szparę.

W tym momencie drzwi rozwarły się gwałtownie na oścież. W wąskim

przedpokoju stała opiekunka Joe - Iha. Tuż przed nią zaś - nagi Zorro. Zakrywała usta i nos chusteczką. Otwierała i zamykała usta jak karp wyciągnięty z wody.

- Strasznie przepraszam - powiedział Zorro. - Spalił się tylko tost po hawajsku.

Joe owinęła się kołdrą i podeszła do kobiety.

- Zaraz wszystko posprzątamy - rzekła cicho.

Gęsta zawiesina dymu rozeszła się. Na środku kuchni leżała kupa śmieci. Na ścianach i suficie osiadła gruba warstwa lepkiego tłuszczu. Na płycie kuchennej dymiły jeszcze resztki tostu. Pod fusami od kawy i puszką po sardynkach leżało zdjęcie tej okropnej Hinduski.

Iha spojrzała na górę śmieci, potem na zdjęcie. Jej usta wciąż otwierały się i zamykały.

- Tego już za wiele - wydusiła w końcu. Zaraz potem krzyknęła, ujrawszy nagiego Zorro. - Czy ja przyszłam na jakiś peepshow, czy co? - Po raz pierwszy nadała swym słowom jakąś intonację.

Zorro dopiero teraz uzmysłowił sobie swoją sytuację. Zrobiło mu się nawet trochę głupio. Toteż niezwłocznie zniknął w drugim pokoju. Joe owinęła się szczelnie kołdrą.

- My się wszystkim zajmiemy, obiecuję - powiedziała jeszcze ciszej.

Iha znowu mówiła bez intonacji.

- Obawiam się, że z tym niewiele już można zrobić. Ostrzegałam cię, droga panno. Tym twoim tak zwanym narzeczonym tak czy owak zajmie się policja. To podpada pod włamanie ze zniszczeniem mienia.

- To wszystko moja wina. Chcesz na niego tak po prostu donieść na policję?

- Pograżaj się dalej. Dałam ci szansę. Ale ta kuchnia wymownie obrazuje użytek, jaki z niej zrobiłaś. Wyrzuciłaś zdjęcie na śmietnik - mówiła Iha głosem beznamiętnej telefonistki.

- Nie mam pojęcia, jak ono się tam znalazło - skłamała Joe.

- Możemy darować sobie dalsze dyskusje. W każdym razie w moim raporcie będę zdecydowanie przeciwna temu, by dziecko zostało z tobą. I nie daj Boże z tym degeneratem.

- Nie możesz tego zrobić.

W przedpokoju pojawił się Zorro. Miał na sobie tylko zapięte do połowy dżinsy. Podeszedł do kobiety i z odległości kilku centymetrów popatrzył jej prosto w oczy.

- Powiedz jeszcze raz, że chcesz porwać nasze dziecko.

- Nie mam zamiaru z panem dyskutować. Proszę niezwłocznie opuścić to mieszkanie - nakazała Iha, wycofując się. Trafiła jednak na ścianę obok lustra. Zorro nie ustępował.

- Powiedz lepiej, co chcesz zrobić z naszym dzieckiem.

- Ty w każdym razie możesz o nim zapomnieć. A jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, od razu dzwonię na policję.

- Ty suko! - ryknął Zorro. Joe przytrzymała go mocno.

- Engel, proszę cię!

- Ty podła suko! - zawołał niebezpiecznie głośno. - Nigdy nie dostaniesz naszego dziecka. - I uderzył. Prosto w jej odbicie w lustrze.

Iha wyciągnęła ręce przed siebie, grzbietem do góry.

- Wzywam policję - powtórzyła trzy razy, tonem automatu.

- Możesz sobie darować - odezwała się Joe. - On już wychodzi. A ja razem z nim. Nigdy nie dostaniecie naszego dziecka.

Iha wybiegła z wyciągniętymi rękami na korytarz. Joe trzasnęła za nią drzwiami.

Zorro zauważył, że z dłoni cieknie mu krew. Joe podeszła doń z ręcznikiem i owinęła zranioną dłoń. Zaczęła szlochać.

Zorro stał w miejscu, oddychając szybko.

- Co miałem robić, księżniczko? Słuchać spokojnie, jak ta suka się na tobie wyżywa? Nawet jej nie tknąłem.

- W porządku. Przecież ona jest stuknięta. I miałyby decydować o tym, czy będziemy razem albo czy Dawid ma trafić do sierocińca. Przecież to absurd! Ech, Engel, poradzimy sobie sami. - Joe, popłakując cicho, spakowała najważniejsze rzeczy do czerwonej torby.

- Nie martw się - uspokajał ją Zorro. - Poradzimy sobie bez pomocy tych wszystkich idiotów. Tylko my dwoje. - Przewiesił czerwoną torbę przez ramię.

Wyszli z domu i ruszyli wzdłuż rzeki. Zorro zapomniał nawet zapalić. Wetknął papierosa do ust. Joe zaciągnęła się raz.

- Czułam się tam jak w więzieniu - powiedziała. Złapała się za brzuch. - Mały strasznie się kotłuje.

- To prawdziwy twardziel. Przeszedł przez to wszystko razem z nami. Na pewno jest z nas dumny.

- Czyja wiem? Wydaje mi się, że takie dzieci są raczej bojaźliwe.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo ja sama w tej chwili trzęsę się ze strachu.

- Spokojna głowa! Wszystkim się zajmę.

- Co teraz, jedziemy na działki?

Zorro wpatrywał się nieruchomo w wodę. Potem spojrzał na Joe.

- Co jest? - spytała.

- Księżniczko - rzekł - nie chciałem ci tego mówić, żebyś się nie denerwowała.

- Gliny znów cię szukają?

- To też. Ale chodzi o domek. Już go nie ma. Został zrównany z ziemią.

- I co teraz? Masz coś innego?

- Jeszcze nie. Może jutro coś załatwię. Joe znów zaczęła szlochać.

- Co my teraz zrobimy?

- Ostatnio znowu sypiałem na cmentarzu. W sumie to nie gorsze niż działki.

- Engel, nie damy rady.

- Nie wolno ci tak mówić. Mały wszystko słyszy. Chodź. Spadajmy stąd, zanim ta suka wezwie gliny. - Podniósł czerwoną torbę i złapał Joe za rękę. Musiał jej pomóc wstać. Joe czuła się bardzo zmęczona. Wolno szła za Zorro, cichutko popłakując. Słyszał to, ale się nie obejrzał. Nie wiedział, co powiedzieć.

W metrze był straszny tłok. Jakaś stara Turczynka ustąpiła Joe miejsca. Uśmiechała się.

Ludzie mieli na sobie letnie ubrania, chociaż bywało jeszcze chłodno. W jakiś sposób wprowiło to Zorro w lepszy nastrój, gdy ludzie wyglądali bardziej „letnio”. Szczególnie dziewczyny. Znowu można było dostrzec, co kryją pod bluzkami. Zorro

miał w zwyczaju wyobrażać sobie różne biusty. Nie, żeby miał na tym punkcie jakąś obsesję -była to raczej taka sobie niewinna, wiosenna gra. Tego dnia nie podnosił wzroku. Wpatrywał się tylko w grube uda jakiejś kobiety. Kolorem przypominały jogurt owocowy, co zdeprimowało go jeszcze bardziej.

Przeszli przez cmentarz do okazałego grobowca Zorro. Gdy stanęli przed nim, Joe nagle się roześmiała.

-Engel, wariacie. Tu jest naprawdę pięknie. Tysiąc razy piękniej niż w tym wypicowanym domu, skąd te bydlaki chciały zwędzić nasze dziecko - powiedziała ściszym głosem.

Zorro wziął ją w ramiona.

- Jesteś wielka, księżniczko! - zawołał.
- Muszę się jeszcze od ciebie nauczyć, że najważniejsze to być wolnym.
- W każdym razie Dawid Che jest teraz kimś wyjątkowym. Prawie jak Jezus.
- Engel, wariacie.
- Zresztą Marii z Józefem wiodło się podobnie.

Joe weszła zaraz do śpiwora. Zorro przyniósł jej dwa hamburgery, kilka jabłek i pomarańcze. Joe zjadła tylko owoce, ponieważ hamburgery zdążyły już wystygnąć. Patrzyły na nich gołębice. Zorro rzucił im kawałek bułki. Joe natychmiast zasnęła.

Zorro wyobrażał sobie, że nadeszła wiadomość od Ha-ralda Schmidta albo od Stefana Raaba: „Chętnie wykorzystamy wasze pomysły. Czekamy na kolejne”. A może nie będzie żadnej odpowiedzi? Wszystko jedno. Stary Engel już znajdzie jakąś pracę. W jakiś sposób. Na pewno.

Joe obudziła się. Szukała dłoni Zorro.

- Miałam zły sen.
- Powinnaś mieć tylko piękne sny.
- Co z nami będzie? Nie możemy żyć z małym dzieckiem na cmentarzu.
- Wyruszę jutro z samego rana i znajdę jakiś kąt do spania i jakąś pracę.
- Engel, myślę, że to nie twoja domena - być tatusiem i załatwiać różne rzeczy.
- Udowodnię ci to. Od jutra wszystko będzie inaczej. Joe płakała w jego ramionach, póki znów nie zasnęła.

Wczesnym rankiem Zorro obudziło niespokojne zachowanie Joe. Odsunęła się od niego. Czasem pojękiwała. Nie chciał się jeszcze budzić. Musiałby wówczas podjąć decyzję, co dalej robić.

W pewnym momencie poczuł jej dłoń na ramieniu.

- Engel, śpisz? Myślę, że teraz są regularne - oznajmiła Joe.

Zorro wyprostował się momentalnie.

- Coś się dzieje?

- Już od jakiegoś czasu. I to coraz mocniej. To chyba już nie są bóle przedporodowe.

- Księżniczko, czemu od razu mnie nie obudziłaś? -Zorro zanurzył rękę w śpiworze. Dotknął jej brzucha. Poczul gwałtowne ruchy.

- Są coraz mocniejsze - jęknęła. Była jednak całkiem spokojna.

- Zaraz przyprowadzę taksówkę - powiedział Zorro, wkładając buty.

- Masz jakieś pieniądze?

- Jasne. Trzydzieści marek. Oszczędzałem je dla ciebie, księżniczko.

- Tylko spokojnie. Nie ma najmniejszego powodu do obaw.

- Oczywiście. Ale lepiej przyprowadzę taksówkę.

- Muszę się umyć. Nie mogę iść taka do szpitala.

- Możesz. Szlag by to trafił! To pewnie przez tę wczorajszą aferę. Oby to nie był przedwczesny poród! W każdym razie lecę po taksówkę.

- Ale bez paniki. Naprawdę.

Zorro pocałował ją i rzucił się pędem. Oczywiście nieprędko znalazł wolną taksówkę. Pojawiła się jedna, ale stał po niewłaściwej stronie ulicy i kierowca go nie zauważył. Przebiegł więc na przeciwległy kraniec. Ale właśnie wtedy nadjechały dwie z tej drugiej strony. Ci idioci gapili się przed siebie. Nie słyszeli, jak woła, albo tylko udawali, że nie słyszą. Wszak nie wyglądał na takiego, którego byłoby stać na taksówkę.

Za chwilę jednak zatrzymał się jakiś Turek. Bardzo słabo znał niemiecki. Zorro tłumaczył mu:

- Na cmentarz. Dziecko. Szpital.

Tamten nie rozumiał. W każdym razie za nic na świecie nie chciał wjeżdżać na cmentarz.

- Nie można. Nie można - powtarzał w kółko. Nie chciał też dziesięciu marek zaliczki. Zorro nie wpadł w szał tylko dlatego, że tamten był obcokrajowcem.

Gdy przybiegł z powrotem, Joe nie było na posłaniu. Myła się przy betonowej studni. Drżała z zimna. Potem myła bez końca zęby. Nagle złapała się za brzuch. Jęknęła cicho. Myła dalej.

Zorro porwał jej torbę i śpiwór. Okrył nim Joe.

- Chodź, księżniczko. Proszę, chodź. Ten cholerny Turek za nic nie chciał wjechać na cmentarz.

- Robią się coraz silniejsze - powiedziała Joe. Poszli ku wyjściu. Nagle Joe krzyknęła głośno.

- Zaniosę cię, księżniczko.

- Aż tak źle to nie jest. Przestraszyłam się tylko. Teraz nawet powinnam chodzić.

- Dobrze. Złap się mnie mocno.

- Spokojnie. Chciałabym tylko, żebyś znalazł jakąś pracę. I jakiś dach nad głową, gdzie moglibyśmy się zaszyć. Żeby nie mogły nas znaleźć te pieprzone urzędasy.

- Nigdy nas nie znajdą.

- Może to wszystko ponad nasze siły.

- Poradzimy sobie.

Gdy znaleźli się przy taksówce, Joe znów krzyknęła. Kierowca wybiegł do nich.

- Pan dlaczego nie mówić? Ja jechać na cmentarz. Pieprzyć przepisów.

Zorro nagle zrobiło się ciemno przed oczami. Oparł się o taksówkę. To pewnie przez to, że źle spał. Joe znów jęknęła. Zrobiło mu się niedobrze. Strasznie niedobrze. Chciało mu się wymiotować.

- Charite. Do Charite. - Własny głos dobiegał do niego z oddali. Wcisnął jej do ręki zwitek banknotów. - Przyjadę zaraz za tobą, księżniczko. Muszę jeszcze wrócić po Django.

- Engel. - Joe patrzyła na niego zrezygnowana.

- Zaraz przyjadę.

- Nie mówisz chyba poważnie.

Joe zatrzasnęła za sobą drzwi. Zorro zobaczył jeszcze, jak się rozpląkała. Z trudem doszedł do jakichś krzaków i zwymiotował.

Do czego to podobne? Żeby mdleć, gdy własna kobieta rodzi. Nikt nie jest takim mięczakiem. Nikt, z wyjątkiem pewnego Engela, który powinien raczej leżeć pod jednym z białych kamieni z wygrawerowanym misiem.

Począł na legowisko. Popłakał chwilę, tuląc Django. Potem skręcił najgrubszego papierosa w życiu. Palił, dopóki żar nie poparzył mu palców. Aż znów poczuł się twardzielem.

Pojechał metrem do Charite.

Na początku chcieli go wyrzucić z porodówki. Nie miał przepustki. Jakoś udało mu się ich przekonać. Więc jak nazywa się pańska narzeczona? Obiecali sprawdzić. Potem jedna z sióstr przyniosła mu biały kitel.

- Czy choćby w najmniejszym stopniu przygotował się pan na to, co wkrótce nastąpi? - spytała sceptycznym tonem.

- Mógłbym sam odebrać poród - odparł Zorro. Czuł się dumny, silny i szczęśliwy.

Joe ucieszyła się na jego widok. Siedziała na łóżku porodowym. Miała na sobie białą szpitalną koszulę.

- Dobry - rzekł Zorro takim tonem, jakby codziennie rodził mu się syn.

- A to ci dopiero niespodzianka! - Joe roześmiała się. Zorro ucałował jej oczy.

Nie odważył się spojrzeć niżej

na rozwarte nogi Joe. Spojrzał na położną.

- To ja jestem Zorro. Jak szeroko rozwarło się już matczyne łono?

Położna na moment zdębiała.

- Proszę? Ach tak! Około pięciu centymetrów.

- Ale to się wszystko szybko stało.

- Małemu się najwyraźniej spieszy.

- To zadziwiające jak na pierworodnego - nie krył zaskoczenia Zorro. - To pewnie dlatego, że nasz syn jest niezwykle silny.

- Oby jego ojciec również się taki okazał - powiedziała położna.

Joe najpierw popatrzyła z dumą na Zorro. Potem nachyliła się i spytała szeptem:

- Powiedz no, piłeś coś?

- Zostało kilka kropel na dnie - odparł również szeptem.

- Rany, niech tylko ktoś wyczuje! Bez pogroźek się nie obejdzie. - Joe złapała go za rękę. - Znowu się zaczyna. - Ścisnęła mocno jego dłoń. Jęknęła. Potem krzyknęła cicho. Za chwilę uspokoiło się. Przez moment Zorro miał ochotę parsknąć śmiechem. Natychmiast się jednak opanował.

Bóle pojawiały się w krótkich odstępach. Joe krzyczała. Jej palce wpijały się coraz mocniej w ramię Zorro. Chłopak wsłuchiwał się w pikanie aparatu - rytm serca dziecka. Nie mógł się od niego oderwać. Zauważył, że pulsowanie przyspiesza.

Przyszedł lekarz. Wyglądał poważnie.

- Coś nie tak? - spytał Zorro. - Może to niedotlenienie? Lekarz spojrzał na niego.

Zbyt długo - pomyślał Zorro.

Coś się działo.

- Martwi mnie tylko jedno - oznajmił lekarz.

- Co takiego?

- Stan ojca - odparł.

Zorro poczuł, że po twarzy cieknie mu pot. Musiał wyglądać nie najlepiej.

- Ze mną wszystko w porządku - rzekł. Joe spojrzała na niego.

- Engel, nie możesz tu zostać. Dalej poradzę sobie sama.

- Nie, wszystko w porządku. Nie opuszczę cię. - Zwrócił się do położnej: - Czy to już skurcze porodowe?

- W każdym razie już niedługo - odparła. Zorro nachylił się nad Joe.

- Księżniczko, odtąd będzie już z górki. Musisz tylko pozwolić naszemu synowi wyjść. Oddychaj głęboko.

Nadeszły kolejne bóle. Joe krzyczała przez minutę. Gdy to minęło, powiedziała:

- Engel, wariacie. Te twoje cytaty z książki zaczynają mnie już wkurzać. Tam nie ma słowa o tym, jaki to cholerny ból.

- Już prawie ci się udało.

Joe znów zaczęła wrzeszczeć. Uniosła się do połowy. Zorro chwycił ją od tyłu pod ramiona i podtrzymał, dokładnie tak jak na rysunku w książce.

- Wdech, wydech - szeptał. - Oddycham razem z tobą. - Lecz jego oddech przypominał raczej rżenie.

Nagle Joe odepchnęła go.

- Zostaw mnie. Nie mogę. Nie dam rady.

- U nas, jak dotąd, wszystkie dały radę - oświadczyła położna. Znow zjawił się lekarz. Spojrzał na Zorro.

- Poważne niedotlenienie - stwierdził.

- Co? - spytał Zorro słabym głosem.

- U przyszłego ojca. - Lekarz roześmiał się paskudnie.

Zbadał mu puls. - Myślę, że powinien pan zrobić sobie przerwę.

- Nie ma potrzeby - odparł Zorro ochryłym głosem.

- Nadwrażliwi ojcowie nie zawsze bywają pomocni - odezwała się położna.

Joe krzyknęła przesywająco.

- Zaraz chyba zemdleję - szepnęła Zorro. Położna odprowadziła go do drzwi.

- To żaden wstyd. Niektórzy ojcowie tracą przytomność jeszcze szybciej. Może pan spokojnie poczekać na zewnątrz. Wszystko przebiega jak należy - powiedziała ciepłym głosem.

Zorro leżał w fotelu. Było mu słabo, ale odczuwał spokój. Ta kobieta była w porządku. Wsadził papierosa do ust. Niee - pomyślał - żadnych kłótni. Powlókł się na zewnątrz. Zapalił i zaciągnął się głęboko. Przez chwilę myślał, że zaraz zemdleje. Natychmiast wyrzucił papierosa. Prawdopodobnie już go szukali. Może Dawid Che czekał właśnie na niego. Wrócił do środka. Chodził po korytarzu w tę i z powrotem. Przypomniał sobie o Django, ten bowiem miotał się w kieszeni. Pewnie już wcześniej był niespokojny. Pewnie chciało mu się pić. Zorro rozejrzał się, czy nikt nie idzie. Wyjął Django z kieszeni. Przytulił go do twarzy. Uronił kilka łez. Poszedł do łazienki i napił go.

Schował szczura z powrotem do kieszeni. Musiał jednak nie zasunąć suwaka do końca, ponieważ, przechadzając się po korytarzu, spostrzegł nagle, że Django biega

obok niego.

Rany, nawet w szpitalu mają szczury! - pomyślał w pierwszej chwili. Potem jednak poznał Django. Schylił się po niego, lecz zwierzak nie dał się złapać. Widocznie zapach czystości doprowadził go do szaleństwa. Django pognał korytarzem. Zniknął pod łóżkiem na kółkach. Zorro wczołgał się za nim. Udało mu się złapać szczura za ogon.

Gdy gramolił się spod łóżka, stanęła obok niego pielęgniarka.

- A czegoż tam szukamy? - spytała.

- Upadło mi szkło kontaktowe - odparł Zorro, próbując szybko wsadzić Django z powrotem do kieszeni.

Pielęgniarka jednak zauważyła, co jest grane.

- Czyżby to był szczur?

- Tak, biegał po korytarzu, więc go złapałem.

- Ach tak. I będziemy tak dobrzy, że zaraz wyniesiemy zwierzaczka na świeże powietrze, prawda?

- Teraz nie mogę. Moja narzeczona właśnie rodzi.

- Nie wydaje nam się jednak, że możemy wejść na salę porodową z tą bestią w kieszeni.

W tej chwili otworzyły się drzwi od rzeczony sali i ukazał się w nich lekarz.

- No, młodzieńcze. Chłopak jak byk! - Korytarz aż zadudnił od jego głosu.

Zorro chciał pobiec na salę, ale pielęgniarka przytrzymała go za ramię.

- Nie zapomnieliśmy o czymś?

Zorro szybkim ruchem umieścił Django w kieszeni jej kitla.

- Popilnuj go na moment. To straszny pieszczoł. Kobieta z przerażenia zwolniła uścisk. Zorro popędził

na salę porodową. Nie miał czasu wbijać się znowu w biały fartuch. Stał zdyszany nad łóżkiem.

Dawid Che leżał na brzuchu Joe z główką pomiędzy piersiami dziewczyny, które w ostatnim czasie wyraźnie się powiększyły.

Spojrzała na Zorro. Rozpromieniona, odprężona, wycieńczona.

- Engel, wariacie. Mówiłam ci, że zemdlejesz.
- Nie zemdlałem - zaprzeczył zachrypniętym głosem. Joe chwyciła go za rękę. Zjawiała się położna i podała Zorro biały fartuch. Pomogła mu się ubrać.
- Czy czuje się pan już na siłach, by wziąć potomka na ręce? - spytała.

Chłopak przytaknął. Chociaż? Taki jak on mógł równie dobrze upuścić niemowlę na ziemię. Chwilę później trzymał Dawida Che na rękach. Odszedł z nim na stronę, by ukryć łzy. Mały był niezwykle lekki. Ścisnął małe dłonie w piąstki. Wyglądał na wściekłego. Pewnie nie bardzo uśmiechało mu się przychodzić na ten świat. Zorro musnęła wargami rozwścieczoną buzię. Był przekonany, że mały uśmiechnął się do niego.

Na sali pojawiła się pielęgniarka, którą Zorro spotkał na korytarzu.

- Muszę niezwłocznie zamienić parę słów z tym młodzieńcem - powiedziała.

Ujrzawszy go jednak z dzieckiem na rękach, dodała: - No, to chyba może zaczekać. Ale potem niech się młodzieniec zgłosi do pokoju pielęgniarek po swojego szczura.

- Engel, wariacie - jęknęła Joe.

Joe spała jak zabita. Zanim się całkowicie obudziła, wydawało jej się, że jest w swoim pokoju, nagle rozlega się pukanie do drzwi i słychać wołanie mamy: „To już czas!”.

Popatrzyła na swoje współlokatorki leżące obok, potem na wyblakły obraz z kwiatami. Poczuli się nagle straszliwie samotna. Przyniesiono jej Dawida. Przystawiła go do piersi. To powinno być niesamowite uczucie, gdy dziecko po raz pierwszy ssie pierś. Tak było napisane w tej książce. Ale niesamowite uczucie nie nadeszło. Trochę tylko bolało. Może nie była dobrą matką?

Dopiero gdy położyła Dawida na poduszce, uspokoiła się nieco. Engel był zdania, że z małego wyrośnie kpiarz, jakiego świat nie widział. Joe przyjrzała mu się teraz dokładnie. Miał uśmiech Zorro.

Przyszedł Zorro. Z radości nie potrafił usiedzieć w miejscu. Pytał wciąż, czy wolno mu będzie przewinąć dziecko. Raz po raz całował Joe. Było jej trochę głupio przy tamtych kobietach.

Nie był jej obcy - cieszyła się niezmiernie z jego wizyty. Jednak w jakiś sposób cały czas czuła się samotna.

Z początku przychodził dwa, trzy razy dziennie. Opowiadał, jak wszystko załatwił: pracę i miejsce do spania.

- W razie czego możemy nawet zamieszkać w jednym pensjonacie. Wcale nie jest drogi. Tyle mogę zarobić bez problemu.

Joe słuchała. Czasem mu wierzyła. Potem znów zostawała z Dawidem sama.

Drugiego dnia odwiedziła ją mama. Joe bardzo się ucieszyła. Najchętniej zaraz o wszystkim by jej opowiedziała. O swoich obawach i o samotności. Ale nie zrobiła tego. Potem usłyszałaby zapewne: „Widzisz? A nie mówiłam? Ostrzegałam cię sto razy”. Albo coś w tym rodzaju. Mama była jednak bardzo miła. Z dumą obnosiła swego wnuka po całej sali. Obiecała, że w miarę możliwości pomoże. Joe jednak nie powinna oczekiwać zbyt wiele, a raczej nastawić się na ciężkie czasy.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Mama nie byłaby sobą, gdyby tego nie powiedziała.

Trzeciego dnia rano w drzwiach pojawiła się nagle Iha. Trzymała w dłoni mały bukietek. Przywitała się z Joe ze sztuczną wylewnością.

Joe przestraszyła się.

- Przyszłaś po Dawida? - spytała.

Iha powiedziała, że wstawiła się za nią, ręką własną reputacją. Joe mogła zatrzymać dziecko na okres próbny, pod warunkiem, że zgodzi się zamieszkać w miejscu oddalonym od Berlina.

Joe nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Czuła się bardzo osłabiona.

Wieczorem jedna z pielęgniarek poinformowała ją, że za drzwiami ktoś czeka i prosi, by zasłoniła oczy, zanim wejdzie. Joe przemknęło przez myśl, że to może Alex. Przestraszyła się. Ostatnio często o nim myślała. Schowała głowę pod kołdrę. Czasem robiła automatycznie to, co ktoś jej mówił.

Usłyszała głos Engela. Ale to nie on stał przy łóżku. Ten chłopak miał gładko przyczesane, pokryte żelem włosy. Ubrany był w szarą marynarkę, pomiętą białą koszulę i żółty, źle zawiązany krawat.

- To ty? - spytała.
- Właściwie to nie - odparł Zorro.
- Co ty masz na sobie?
- To z darów.
- Jak to?
- Ponoć ubiór określa człowieka - przebierasz się za zombie i od razu dostajesz

pracę.

- To przecież nieprawda. Ja chcę z powrotem mojego Zorro.
- Nie słyszałaś? Dostałem pracę. Zaczynam od jutra.
- A co to za praca?
- W jednej firmie cateringowej, czy jakoś tak. - Zorro ucałował jej oczy.

Jeszcze nigdy nie wydawał jej się taki obcy. Wyglądał jak ktoś, kto potrzebuje litości. Jak przegrany, nie jak twardziel.

- A jak już zaczniesz tam pracować, to będziesz mógł wyglądać normalnie?
- Jasne. Potem liczą się już tylko efekty.
- Ech, Engel, co się z tobą stało?

- Przecież mówiłem ci, że dam radę, że zrobię dla nas wszystko. - Podniósł wysoko Dawida Che. - To ja, tatuś. Przebrany za zombie. No, nie cieszysz się?

Później Joe znów została z Dawidem sama, jeśli nie liczyć tych dwóch kobiet, z którymi ledwo zamieniła kilka słów. Popłakiwała bezgłośnie w poduszkę. Rozczuliło ją, że Engel robił to wszystko dla nich. Poza tym zrodziła się w niej nowa obawa: że Zorro nie będzie już taki jak dawniej i że zamieni się w takiego, który pracuje siedem godzin dziennie, a potem całymi wieczorami, sącząc piwo, gapi się w telewizor.

Zatelefonował Alex. Następnego dnia również. Chciał wiedzieć wszystko o dziecku. Spytał, czy nie miałyby nic przeciwko temu, by ją odwiedził.

Joe w końcu zgodziła się. Tak czy siak jej uczucia opanował chaos. Nie była pewna, czy go nienawidzi. W końcu najprawdopodobniej był ojcem jej dziecka, poza tym naprawdę nie zachowywał się jak dupek. Przez chwilę cieszyła się nawet, że to on może być ojcem Dawida.

Alex przyniósł jej okazały bukiet kwiatów. Stał przy łóżku i przyglądał się

dziecku.

- Naprawdę świetnie sobie poradziłaś. Wygląda bardzo dobrze jak na swoje kilka dni.

- Tak sądzisz? Siadaj. - Alex przycupnął w odległym końcu łóżka. - A więc jesteś zadowolony.

- A tak właściwie do jakiego stopnia to pewne?

- Prawie pewne.

Alex zamilkł na dłuższą chwilę.

- Czy mógłbym go potrzymać? - spytał w końcu.

- Musisz tylko podeprzeć mu główkę.

Alex ostrożnie wziął małego na ręce. Oparł jego główkę najpierw na ramieniu, potem na podbródku. Mały wydawał się uśmiechać.

- Możesz go trzymać, dopóki nie odbije mu się po jedzeniu - oznajmiła Joe.

Wieczorem pojawił się Zorro. Wciąż wyglądał komicznie. Pozbył się tylko żółtego krawata do wymiętej koszuli. Dzierżył w dłoni różę. Był to pierwszy kwiatek, jaki podarował Joe.

- Za świeżo zarobione pieniądze - rzekł. Spytała, jak mu się wiodło w pracy.

- Nic nadzwyczajnego - odparł. - Przez cały dzień ładowałem i rozładowywałem górę krzeseł, a potem poustawiałem je wszystkie w jednym namiocie.

- Mogło być gorzej.

- Poustawiałem wszystko, jak trzeba. Potem przyszedł mój szef i wytłumaczył mi, jak powinny być ustawione, czyli równo, jak przy sznurku. Powiedziałem mu wtedy, że tego przecież i tak nikt nie zauważy, bo zostaną poprzesztawiane, jak tylko zjawią się pierwsi goście. A on na to: „To był pierwszy i ostatni raz, kiedy wdałem się z tobą w dyskusję”.

- I wtedy mu przyłożyłeś.

- Gdzie tam! - Zorro nie miał ochoty opowiadać dalej. Spojrzał na bukiet kwiatów. - Od kogo to?

Joe kiwnęła głową w stronę kobiety, która leżała obok.

- I co dalej? - spytała.

- Rany, poustawiałem mu te krzesła co do milimetra.

- Na pewno znajdziesz zaraz coś lepszego.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Po fajerancie spytałem go, czy mnie jeszcze potrzebuje. Odparł, że owszem. Dziewięć marek za godzinę bez podatku. Spytałem, czy uważa to za odpowiednią stawkę. A on na to: czy znów mam zamiar z nim dyskutować. Odpowiedziałem, że niech już będzie, na początek, ale mała premia byłaby mile widziana. Bo muszę zdobyć jakieś lokum. Spojrzał na mnie tymi swoimi wrednymi oczami. Spytał, czy coś piłem. Jako bezdomny powinienem śpiewać w metrze.

- I masz kolejną sprawę o pobicie?

- No wiesz? Jestem teraz rozsądny aż do bólu. Odebrałem grzecznie swoją dniówkę i powiedziałem: „Pierdol się, bucu”.

- W razie czego mogę iść do innego ośrodka. Jak wyjdę ze szpitala - oznajmiła Joe cicho.

- To wykluczone. Za chwilę mam spotkanie w sprawie innej pracy. Tam można wyciągnąć nawet sześć patyków miesięcznie.

- Trudno mi w to uwierzyć, Engel.

Następnego dnia ponownie odwiedził ją Alex. Joe wyszła z nim na korytarz. Przyniósł ze sobą całą torbę rzeczy dla dziecka. Wszystko w najlepszym gatunku.

- To nie było konieczne - rzekła Joe.

- To przecież drobiazgi. Poza tym mówiłem wtedy poważnie, że zatroszczę się o to dziecko.

- Nic takiego nie mówiłeś.

- Więc teraz mówię. Szczerze. Już nawet przywykłem do myśli, że mamy dziecko.

- To nie jest jeszcze do końca pewne.

- W każdym razie uważam, że wspaniale byłoby mieć z tobą dziecko. Bo jesteś najfajniejszą dziewczyną, jaką znam.

- Czy będę musiała teraz za ciebie wyjść?

- Tego nie powiedziałem. To znaczy mogę troszczyć się o dziecko, nawet jeśli

nie będziemy razem.

Joe czuła się nieco skołowana. Wkrótce jednak po raz kolejny zaniechała wszelkich prób uporządkowania swych uczuć.

- Gdzie zamierzasz teraz mieszkać? - spytał Alex.
- Jeszcze nie wiem dokładnie.
- Może mógłbym pomóc. Ojciec zamierza przepisać na mnie jeden z domów.

Tam zawsze znalazłoby się miejsce.

- To naprawdę miłe z twojej strony, ale Zorro już się tym zajął.

-To tylko propozycja. Mogę cię jeszcze kiedyś odwiedzić? - Alex wziął od niej Dawida, tak jakby było oczywiste, że ma do tego prawo. - Zauważyłaś już jakieś podobieństwo? - spytał, przyglądając się dziecku.

- Doszliśmy do wniosku, że ma uśmiech Zorro.

Zorro nie pojawiał się przez dwa dni. Zadzwoił tylko krótko, że dostał tę nową pracę i musi w związku z tym wyjechać z Berlina. Jego głos brzmiał zabawnie. Powiedział, że nie może długo rozmawiać. Joe usłyszała, jak po tamtej stronie ktoś krzyknął: „Człowieku, streszczaj się!”

Potem zadzwoniła Iha. Pytała, czy Joe zastanowiła się nad jej propozycją. Joe odparła, że zdecydowałyby się na powrót do starego domu.

- To wykluczone - powiedziała Iha głosem automatu i odłożyła słuchawkę.

Był poranek następnego dnia, koło godziny szóstej. Joe przechadzała się po korytarzu, sprzątano akurat sale. Zorro pojawił się na drugim końcu korytarza. Wzrok wbity w ziemię, ramiona zwisające luźno. Szedł bardzo wolno. Dostrzegł Joe, dopiero gdy stanęła tuż przed nim.

Podjeżdżanie długo trzymał ją w ramionach. Właściwie jej nie tulił. Milczał i nawet nie pocałował.

Po jakimś czasie wyswobodziła się z uścisku i spojrzała na jego twarz. Pod prawym okiem miał wielkiego siniaka. Jego nos również był większy niż zazwyczaj. Na białej, wygniecionej koszuli widać było ślady krwi.

- Nieźle oberwałeś - zauważyła Joe.
- Wszystko się popieprzyło - westchnął Zorro.

- Co takiego?

- A, w tej nowej pracy.

- A co, robiłeś za bramkarza?

- Słuchaj, okazało się, że to banda pieprzonych akwizytorów. Jak tylko skumałem, o co chodzi, chciałem się stamtąd zmyć. Wyobrażasz sobie? Koleś po odwyku sprzedający po domach jakieś pieprzone abonamenty. Potem jednak obiecali mi porządną zaliczkę.

- I co, zgodziłeś się?

- Tylko ze względu na tę zaliczkę.

- Engel, wariacie.

- Pierwszego dnia byli ze mnie bardzo zadowoleni. Chodziłem z takim jednym głąbem, który chyba nic innego w życiu nie robił. Kopara mu opadła, jak usłyszał moje teksty. Tylko wczoraj wyszło trochę głupio, bo takiej jednej upośledzonej umysłowo kobiecie, która mieszkała w zapleśniałej suterenie, wcisnęliśmy całoroczną prenumeratę pisma „Schöner Wohnen”. Tak, a wieczorem szef tej bandy zamierzał rozprawić się z jednym z tych popaprańców. Dorwali go we czterech. Bo tamten ponoć za mało sprzedał czy coś takiego.

- Powinieneś trzymać się od nich z daleka. Dla takich skatować człowieka to jak splunąć.

- Ja jednak się wmieszałem. Najpierw samą gadką. Wtedy ten ich szef powiedział: „Więc zademonstrujmy warchlakowi, co się dzieje, gdy ktoś złamie zasady wspólnoty i posłuszeństwa”. No i tych czterech ruszyło zaraz na mnie. A ja między nich. Dopadłem tego całego bossa i wyrznąłem go łokciem prosto w nochal. Miał szczęście, że mu nos nie wyszedł z tyłu czaszki. Tamci nie zdążyli nawet mrugnąć.

- Beznadziejnie. Przecież równie dobrze mogli cię skatować na śmierć.

- Nie daliby rady.

- To zwykli bandyci.

- W sumie to u nich jest tak samo jak wszędzie. Tylko ci nie robią prania mózgu, ale od razu łamią kości.

- A zaliczka?
- Jeszcze jej nie otrzymałem.
- Engel, ty potrzebujesz czasu, żeby znaleźć właściwą pracę. Najlepiej jakiś staż.

Jeśli zdecyduję się na ten ośrodek poza Berlinem.

- Ty, z dala od Berlina? Nigdy. Nie uda im się nas rozdzielić. A ja dopiero zaczynam walkę. Kiedy wychodzisz ze szpitala?

- Jutro, koło jedenastej.

- Już jutro? No dobra. Do tego czasu wszystko będzie załatwione, księżniczko.

Przyjadę po ciebie.

- Engel, posłuchaj...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale daj mi jeszcze szansę.

Joe długo płakała w poduszkę. Również w nocy. Dopiero nad ranem udało jej się zasnąć.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Ktoś nią potrząsnął. Joe otworzyła oczy i ujrzała przed sobą tę nieruchomą twarz Ihy.

- Dzień dobry, panienko - rzekła.

Joe nie mogła się poruszyć. Strach przygniatał ją do łóżka.

- Przyszłaś po Dawida! - krzyknęła cicho.

- Uspokój się - powiedziała Iha tonem automatu. -Chciałam ci tylko pokazać dzisiejszą gazetę. A może już czytałaś?

- A dlaczego niby miałabym ją czytać?

Iha podstawiła jej pod nos najświeższy numer „Bild Zeitung”. Z początku Joe mogła przeczytać jedynie nagłówek. „Najgłupszy złodziej w Berlinie”. Wzięła gazetę do ręki i przyjrzała się dużej fotografii. Był na niej Engel. W dłoni trzymał pistolet. Twarz miał przepasaną czarnym szalikiem, ale każdy, kto widział Zorro choć raz, rozpoznałby go natychmiast. Obok znajdowało się kilka innych zdjęć, pochodzących z kamery przemysłowej. Jak przemyka między sklepowymi półkami, jak sięga do kasy, pakuje do torby kartony z papierosami. Wtedy miał jeszcze twarz zamaskowaną szalikiem. Niżej było napisane: „Zanim zuchwały rabuś dał nogę, oddał swoją broń jednemu z pracowników stacji. Był to pistolet zabawka”.

Engel, wariacie. Joe naprawdę tak pomyślała. Zanim wszystko runęło. Kamienna twarz Ihy. Błady rysunek na ścianie.

- To jest twoja szansa, dziewczyno. Zrozum. To zwykły kryminalista. Do tego zbyt głupi, by obrabować stację benzynową. - Joe słyszała jej głos z bardzo daleka. - Teraz na pewno spędzi dłuższy czas w więzieniu. Masz szansę zacząć zupełnie nowe życie. Razem z dzieckiem. Moja oferta wciąż jest aktualna. Zamelduj się u mnie wieczorem.

Joe po jakimś czasie otworzyła oczy. Kwieciste wzory na zielonkawej ścianie uspokoiły się. Jej współlokatorki wciągały poranną porcję telewizyjnej papki. W głowie Joe kołatała się jedna jedyna myśl: „Muszę go ostrzec, żeby nie zbliżał się do szpitala”. Znowu była bliska szaleństwa. Nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. Ktoś musiał natychmiast pojechać do niego na cmentarz. Miała zapisane tylko dwa numery - mamy i Aleksa. Podniosła się z łóżka i udała do telefonu. Sąsiadki Joe śledziły uważnie każdy jej krok.

Alex oczywiście wyszedł już do szkoły. Dzwonić do mamy to idiotyzm. Urwać się ze szpitala i odnaleźć go? To również nie wchodziło w grę. Za taki numer odebraliby jej dziecko na sto procent. Zresztą i tak pewnie byłaby śledzona. Iha na pewno się o to zatroszczyła.

Gdy wróciła do pokoju, jedna z jej współlokatorek przeglądała świeże wydanie „Bild Zeitung”. Na widok Joe uniosła gazetę.

- To przecież ten sam, który ciągle do pani przychodzi - powiedziała.

Joe milczała.

- Człowiek nawet nie zdawał sobie sprawy, o jakie niebezpieczeństwo się otarł - stwierdziła druga.

Joe spakowała najważniejsze rzeczy do czerwonej torby. Przygotowała dla Dawida świeże pieluchy na zmianę. Musiała jak najwcześniej znaleźć się przed szpitalem. Być może uda jej się ostrzec Engela.

Joe stała przed wejściem do szpitala już od wpół do jedenastej. Po drugiej stronie ulicy zaparkowały dwa mikrobusy z przyciemnionymi szybami. To pewnie przypadek. Trzech czy czterech facetów snuło się w pobliżu. To pewnie

zdenerwowani przyszli ojcowie chcieli przez chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza albo zapalić papierosa. Poszła ulicą jakieś sto metrów w kierunku, z którego najprawdopodobniej nadejdzie Zorro. Dawid Che leżał w specjalnym nosidełku, który podarowała mama. Zaczął płakać. Joe wyjęła go.

Na końcu ulicy pojawił się nagle Zorro. Biegł, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Joe zaczęła gorączkowo machać rękami, by zawrócić, uciekał. Oczywiście nie mógł tego zauważyć z tej odległości, był bowiem bez okularów. Najpierw skierował się w stronę jakiejś innej kobiety. W ostatniej chwili wyminął ją zwodem. Stał przed Joe, próbując złapać oddech. Uśmiechał się z dumą i wyciągnął ręce po małego.

- Księżniczko - powiedział, zdyszany - jedziemy w góry. Jeszcze dziś.

Joe przycisnęła dziecko do siebie.

- Uciekaj, uciekaj - szeptała.

- Co się dzieje?

- Człowieku, szalik zsunął ci się z twarzy.

- Nieprawda. - Zorro stał znów jak odlany w betonie. -Dopiero jak uciekałem.

- Uciekaj. Twoje zdjęcia są we wszystkich gazetach. Joe nie widziała ich. Zorro też nie. Wyrosli nagle jak

z podziemi. Niczym demony. Ze szczelin w kominiarkach łypały nieludzkie oczy. W jednej sekundzie zaroilo się od hełmów, kamizelek kuloodpornych i pistoletów automatycznych.

Odciągnęli Joe na stronę. Chłopaka przygniotło do ziemi z pięciu. Dziesięciu innych celowało z maszynowej broni. Również w nią.

- Co wy mu robicie?! Przestańcie! - krzyczała na cały głos.

Zorro sapał niczym konający zwierz. Rozprasowali jego twarz na ziemi.

- To nieludzkie! Zostawcie go! - rozpaczała. Dawid Che zaczął płakać. Joe próbowała wolną ręką odciągnąć od Zorro jednego z tych potworów. Ktoś chwycił ją w pół, uniósł do góry i odciągnął na bok. Joe wierzgała na oślep; po którymś kopnięciu jak długa runęła na ziemię. Wiedziała, że nie może upaść przodem. Osłaniając oburącz Dawida, instynktownie obróciła się w locie. Tyłem głowy

uderzyła w betonowy chodnik.

Podniosła się natychmiast i spojrzała na Dawida. Mały przestał płakać. Patrzył zdumiony. Mogłoby się wydawać, że się uśmiechał. Tak jakby spodobał mu się ten krótki lot, zakończony gwałtownym lądowaniem. Zorro leżał na brzuchu i ciężko sapał. Tamci skrępowali go dokładnie. Ale jeden z nich wciąż do niego mierzył.

Joe zauważyła Django juniora, wałęsającego się pomiędzy ogromnymi buciorami. Pobiegł w jej stronę. Jeden z potworów go dostrzegł. Unosił właśnie nogę, by rozdeptać szczura.

- Morderca! -zawołała Joe najgłośniejszym głosem, jak tylko mogła.

Bucior zawisł w powietrzu. Być może ten potwór rzeczywiście się przestraszył. Django doczłapał do niej bez dalszych przygód. Wzięła go na ręce. Miał chyba przetrącony ogon. Poza tym jednak wyglądał w porządku. Joe schowała go do czerwonej torby.

Zorro wciąż leżał na brzuchu. Tamci stali naokoło. Jeden z nich przyniósł zdjęcie. Chwycił chłopaka za włosy i zadarł jego głowę w tył. Twarz Zorro cała była we krwi. Spojrzał na Joe. Poruszył wargami.

- Wyjedziemy w góry! Choćby nie wiem co! - zawołał.

- Zamknij mordę! - Jeden z oprawców z powrotem rozpląszczył twarz Zorro na ziemi. - To ten.

- Tę małą z bachorem też bierzemy. Zaatakowała jednego z naszych - powiedział któryś.

Z otworów w kominiarkach lypały na nią dzikie oczy. Ruszyli w jej stronę. Przypominali bardziej maszyny niż ludzi. Joe chwyciła czerwoną torbę, do której zdążyła już schować Django. Nie miała czasu zatroszczyć się o nosidełko. Zaczęła biec, ile sił w nogach. Z Dawidem Che na rękach i torbą.

- Zostawcie ją! - zawołał głos. - Za dużo ceregieli z bachorem.

Gdy Joe złapała w końcu dech, poczuła się wyczerpana do granic. Wszechogarniający ból rozsadał jej czaszkę. Dawid Che darł się wniebogłosy. Usiadła na ławce i dała mu pierś. Niestety, nie miała już ani kropli pokarmu. Gdy odstawiła go od piersi, znów zaczął wrzeszczeć.

Joe czekała w urzędzie już od południa. Iha jeszcze się nie zjawiała, ale czekając na nią, mogła chociaż przygotować dla Dawida butelkę.

Iha zjawiała się po godzinie.

- Zaczęło nam się nagle spieszyć? - rzuciła na powitanie.

- Tak - odparła Joe. Na wszystkie pytania, które padły później, odpowiadała tak samo. Pragnęła już tylko położyć się i zasnąć. A potem obudzić się w Afryce albo w Chinach.

Iha oznajmiła, że wszystko załatwione i jeszcze tego samego dnia osobiście odwiezie ją na miejsce. Ośrodek mieścił się w jakimś mieście niedaleko czeskiej granicy. Joe jego nazwa nie mówiła absolutnie nic.

- Tak - powiedziała Joe. Była jednak pewna kwestia, która ją nurtowała. - Wolno tam mieć szczura?

- Chyba nie uzależniasz od tego swojej decyzji?

- A jednak - przyznała Joe.

- Widzę, że znowu obudziła się w tobie dawna przekora - zauważyła Iha. -

Gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy duchowej, zawsze możesz na mnie liczyć.

Będę pracować nad tobą na odległość. Poczujesz tę energię. - Tak skończyło się jej przemówienie.

Ośrodek mieścił się w starej willi, która przypominała zamek. W okolicy, gdzie pełno było ruin fabryk, znalazło schronienie mniej więcej sto tysięcy gołębi. Willa należała kiedyś do właściciela jednej z fabryk, o czym poinformowała od razu jedna z opiekunek. Stwierdziła też, iż Joe powinna być wdzięczna losowi, że trafiła właśnie tu.

W całym domu unosił się nieznośny zapach brudnych pieluch i odżywek dla niemowląt. Szerokie marmurowe schody prowadziły na pierwsze piętro domu, gdzie znajdował się pokój Joe. Wszystkie ściany, z wyjątkiem jednej, były zaokrąglone - wszak pokój znajdował się w baszcie. Na jedynej prostej ścianie wisiały dziecięce rysunki, przedstawiające śmiesznie poubierane postacie z ogromnymi oczami i zbyt wielkimi głowami.

Joe chciała przewinąć Dawida. Od razu wyrosła obok niej jedna z opiekunek i zaczęła jej wyjaśniać, jak prawidłowo myć dziecko, smarować kremem i przewijać. Na razie pozwolono Joe trzymać szczura.

Po wyjściu opiekunki Joe położyła się na łóżku obok Dawida i natychmiast zasnęła.

W domu mieszkało jeszcze dziesięć innych matek. Wszystkie nie przekroczyły osiemnastu lat. Wiele z nich również miało swe dziecko na próbę. Dlatego że były uzależnione od narkotyków, piły albo weszły w konflikt z prawem. Albo wszystko naraz. Niektóre mówiły, że jest im obojętne, czy zabiorą im dziecko. Takie dziecko to bardzo stresująca sprawa i nikt normalny nie wytrzymałby długo w takim domu.

Do miasteczka było jakieś dwadzieścia minut piechotą. Najpierw mijało się osiedle trzypiętrowych domów z płaskimi dachami - kiedyś zapewne mieszkali w nich robotnicy. Teraz osiedliły się tam tysiące gołębi i spasione koty, które być może dniem i nocą obżerały się gołębimi piskletami, a potem niekiedy wpadały pod koła na pobliskiej szosie. To z powodu tych rozjechanych kotów w pobliżu krążyło zawsze co najmniej kilka dużych szaro-czarnych wron. Oprócz tego nic nie działo się w okolicy.

W mieście byli tylko starcy i skinheadzi. Łysi sterczeli zawsze pod „Heinos Bistro”. Opiekunki od razu powiedziały Joe, żeby nie pokazywała się na mieście w kurtce z antynazistowskimi naszywkami. Polityka nie była częścią programu. I że trzeba się w końcu nauczyć dostosowywać do otoczenia, zwłaszcza będąc obarczonym odpowiedzialnością za małe dziecko.

W okolicy kręciło się też kilku małolatów, którzy pragnęli zostać punkami. Zawsze mieli poobijane twarze lub połamane zębra. Wieczorami praktycznie na krok nie ruszali się z domu. Joe nie chciała nawiązywać z nimi zbyt bliskich kontaktów, ponieważ nie miała z kolei ochoty na najmniejsze choćby zatargi z łysymi. Przed wszystkim ze względu na Dawida.

Joe wyobrażała sobie czasem, że Engel obserwuje ją z ukrycia, gdy tak omija nazistów szerokim łukiem. Słyszała, jak mówi: „Czy właśnie tego chcesz nauczyć Dawida?”.

Joe próbowała zdobyć adres więzienia, w którym siedział Engel. Jednak wszyscy mówili, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Próbowała również przebłagać mamę, czy nie mogłaby chociaż spróbować. Oczywiście Engel również nie miał szans dowiedzieć się, gdzie ona jest.

Ale co by mu napisała, gdyby udało jej się zdobyć jego adres? Że go kocha. Strasznie mocno. W porządku. Że wszystko na pewno się ułoży? Że będą wkrótce normalną rodziną? Z własnym mieszkaniem i w ogóle? Przestała już w to wierzyć.

Joe musiała odwiedzić psychologa. Nie miała zamiaru rozmawiać o Engelu. Ledwo jednak usiadła przed panią psycholog, dostała prawdziwego słowotoku. Po prostu musiała w końcu pogadać z kimś o Engelu i o wszystkim innym.

Kobieta wysłuchiwała wszystkiego cierpliwie, patrząc z ogromnym zrozumieniem. Na koniec podsumowała:

- Ty i twój przyjaciel jesteście niczym dwoje tonących, którzy na wzburzonym morzu uczepili się siebie nawzajem.

Nie, żeby Joe nigdy nie myślała w ten sposób. Ale może właśnie dlatego konkluzja pani psycholog tak ją ścięła. Już nigdy o niczym jej nie opowie.

Po dwóch tygodniach w domu Joe czuła, że powoli wariuje z samotności. Dużo mówiła do Django, któremu udało się rzeczywiście wyjść bez szwanku z całej opresji. Jeśli nie liczyć złamanego ogona. Najwięcej rozprawiała o Engelu. Gadała też z Dawidem. Czasem o Aleksie. Zachowała pomięty skrawek papieru z jego numerem. Właściwie nie chciała do niego dzwonić. Jednak uczyniła to.

Alex z miejsca zaproponował, że przyjedzie w najbliższy weekend, jeśli to jej odpowiada. Joe napomknęła, że dojazd do tej dziury jest dość uciążliwy. Dla niego to żaden problem, ponieważ przyjedzie samochodem.

W sobotnie popołudnie na dziedziniec willi zajechał czarny golf kabriolet. Joe już od godziny wypatrywała go przez okno swojego pokoju w wieży. Nie wiedziała, czemu zachowuje się tak głupio. Pewnie z nudów. Wysiadł. Miał na sobie czerwony pulower, włosy zaś przewiązane niebieską chustką. Zrobił duże wrażenie na dziewczynach, które akurat siedziały ze swoimi dziećmi w parku.

Joe stanęła przed lustrem. Ciągle miała parę kilo nadwagi. Na brzuchu układała

się całkiem okazała fałda tłuszczu. W końcu nie było nikogo, dla którego opłacałoby się schudnąć. Nie mogła zdecydować, czy wsunąć koszulkę w spodnie, czy zostawić luzem.

Ktoś zawołał jej nazwisko. Joe nie spieszyła się. Z Dawidem na rękach wolno zeszła szerokimi marmurowymi schodami. Alex czekał już na dole. Zupełnie jak w cikliwym melodramacie, który Joe oglądała kiedyś u babci. Młody hrabia zajechał przed pałac i oczekiwał swej ukochanej. Joe powinna teraz tylko rzucić mu się w objęcia.

Alex stał tam sztywno. Joe trzymała Dawida oburącz. Nie mógł więc nawet podać jej ręki.

- Cześć! - rzucił krótko. Potem jednak pochylił się lekko i pocałował ją w policzek. Był to pierwszy raz od tamtej nocy, gdy się dotknęli.

- To miło, że wpadłeś - powiedziała Joe.

- Żaden kłopot.

Usiedli na ohydnych brązowych fotelach w holu wejściowym.

- Chcesz go potrzymać? - spytała Joe i posadziła Dawida na jego kolanach. Alex pogłaskał go palcem wskazującym po buzi.

- Patrzy mi prosto w oczy. Myślisz, że już coś rozpoznaje?

- Pewnie.

Pozostałe dziewczyny łąziły tam i z powrotem tylko po to, by przyjrzeć im się z bliska. Alex spytał, czy nie miałyby ochoty gdzieś się przejechać. Na przykład na tort marcepanowy.

- Tu na pewno go nie mają - oznajmiła Joe. - To kompletna dziura. Sami łysi.

- Pojeździmy po okolicy. Na pewno coś znajdziemy. W jednej zabitej dechami wsi znaleźli coś o nazwie

„Cafe Paris”. Były tam cztery plastikowe stoły, kilka także plastikowych krzeseł i ekspres do kawy z reklamy telewizyjnej. Na ścianach wisiały fotki z Paryża, na których pozowała tleniona blondyna w minispódniczce, z wywalonymi na wierzch cyckami.

Prócz nich nie było w „Cafe Paris” żywej duszy.

- Halo! - zawołał Alex.

Za chwilę pojawiła się tleniona blondyna ze zdjęć. Zestarzała się od tamtej pory. Chociaż wciąż miała na sobie rozpiętą koszulę. Jej cycki były opalone na ciemny brąz i piegowate.

Mieli do wyboru szarlotkę albo ciasto marmurkowe. Zamówili dwie szarlotki.

- Mnie się tu nawet podoba. Bardzo lubię wschód. Tu jest bardziej egzotycznie niż na Malediwach.

- Mów za siebie - powiedziała Joe.

Jakiś facet z trwałą wystawił głowę przez drzwi do kuchni. Za chwilę zniknął.

- Tych dwoje na pewno chodzi do klubu tanecznego - rzekła Joe.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Zjedli szarlotkę, potem jeździli po okolicy. Mało rozmawiali. Usiedli jeszcze na spróchniałej ławce na skraju dzikiej puszczy. Joe przyglądała się różnym odcieniom zieleni liści na drzewach. Alex próbował baraszkować z Dawidem. Mały jednak zaczął od razu ryczeć.

- To z głodu - wyjaśniła Joe. Wstała i odwróciła się do Aleksa plecami. Podążyła małemu pierś. Poczula zza pleców jego spojrzenie. Odeszła nieco dalej. Alex pozostał, jak należy, na miejscu.

Gdy wróciła, Alex powiedział, że powoli będzie się zbierał. Do Berlina był spory kawałek drogi. Następnym razem może zostanie na noc, jeśli oczywiście nie miałaby nic przeciwko temu. W okolicy na pewno znajdzie się jakiś hotelik.

- Są nawet dwa albo trzy - oznajmiła Joe.

Gdy znaleźli się z powrotem na dziedzińcu domu, Alex otworzył bagażnik i wyciągnął z niego jaskrawoczerwoną torbę od Gucciego.

- Uważam, że jest dość oryginalna - powiedział, wręczając ją Joe. - Nie wiedziałem oczywiście, czy ci się spodoba.

- Dziękuję. Ale naprawdę nie trzeba było. To znaczy -nie jest stuprocentowo w moim stylu. -Joe roześmiała się zupełnie swobodnie. Pierwszy raz od tygodni. Miesiący. Od wieczności.

Po tej wizycie Joe poczuła się zrelaksowana. Nie zamierzała rozmyślać, dlaczego

tak się dzieje. Na dziewczynach zrobiło bardzo duże wrażenie, że przyjechał do niej taki jeden golfem kabrioletem, w modnym pulowerze, z torbą od Gucciego.

Naturalnie wszyscy chcieli natychmiast wiedzieć, czy jest on ojcem Dawida.

- Na to wygląda - odpowiadała.

To czemu w takim razie Joe mieszka w tym zaszranym domu?

- On wciąż się uczy, poza tym jego rodzice robią problemy.

Czy mają zamiar się pobrać?

- Czy koniecznie trzeba się od razu pobierać, gdy ma się razem dziecko?

Wizyta Aleksa sprawiła, że pozostałe dziewczyny zaakceptowały Joe. Wyglądało na to, że jej sytuacja jest całkiem znośna. Większość kobiet zamieszkujących dom została opuszczona przez facetów, gdy tylko dowiedzieli się o dziecku.

Wcześniej uważały ją najprawdopodobniej za stukniętą. Ponieważ nie miała ochoty przesiadywać z nimi i trajkotać w kółko o facetach, narkotykach i dzieciach. Teraz z kolei uznano ją za arogantkę. Dla Joe nie miało to najmniejszego znaczenia.

W każdym razie po dwóch dniach torba od Gucciego przepadła. Na pewno ukradła ją jedna z tych zostawionych na lodzie. Joe i tak jej nie nosiła. Wyobrażała sobie, że gdyby Engel ją teraz widział, podrapałby się zapewne w głowę, myśląc: „Do licha, co tu jest grane?”.

Odwiedziła ją mama. Joe bardzo ucieszył jej widok. Potem jednak mama zaczęła rozwodzić się bez końca nad tym, jak wielkie Joe miała szczęście. Panowały tu iście królewskie warunki.

- Kiedyś, jeszcze za moich czasów, nie było we wschodnich Niemczech szans na coś takiego. Musiałaś siedzieć w robocie cały dzień, tak jak wszyscy. A wieczorem odbierało się dziecko ze żłobka. - Dopiero za jakiś czas Joe zrozumie, co to znaczy urodzić dziecko w wieku szesnastu lat i poświęcić mu najpiękniejsze lata swego życia.

Joe nie potrzebowała takich wykładów. Powiedziała to mamie bez ogródek. Wtedy mama zaczęła lamentować, że taki kawał drogi zjechała tylko po to, by nasłuchać się jej bezczelnych uwag. Zapewne nieprędko znów ją odwiedzi.

Za to w następną sobotę znów odwiedził ją Alex. Przywiózł ze sobą wszystko, co

potrzebne na piknik. Dowiedział się z przewodnika, że niedaleko jest piękny las. Udali się tam niezwłocznie. Alex pchał piaszczystą drogą wózek, załadowawszy do niego uprzednio Dawida, koszyk z jedzeniem i duży wełniany koc. Wokół rosły buki, dęby i sosny. Mijani spacerowicze uśmiechali się do nich przyjaźnie. Niektórzy pozdrawiali, zerkając do wózka. Joe i Alex musieli wyglądać na szczęśliwą młodą parę, niczym z reklamy towarzystwa ubezpieczeniowego.

Alex rozłożył koc na polanie i wyjął jedzenie z koszyka. Dawid radośnie baraszkował na kocu. Brakowało tylko skrzatów zerkających zza drzew wielkimi oczami.

Joe powiedziała, że nie wie do końca, co się stanie z nią i Dawidem. Alex otoczył ją ramieniem. Joe było całkiem przyjemnie. Nikt nie obejmował jej od bardzo dawna. Oparła się nieznacznie o Aleksa, lecz gdy zaczął pieścić jej ramię, gwałtownie wstała.

- Cholerne mrówki - powiedziała. - Ciebie nie gryzą? - spytała, otrzepując się energicznie. - Lepiej już chodźmy.

Wieczorem, po odjeździe Aleksa, Joe rozbolała głowa. Tej nocy nawiedzały ją koszmary. Ktoś bronił ją przed atakiem rozwścieczonej hinduski z piłą łańcuchową. Nie miała jednak pewności, czy był to Zorro, czy Alex. W końcu uciekli do jakiegoś wąwozu. Wtedy okazało się, że to Alex. To był naprawdę on. Objął ją ramieniem.

Ten sen miał dziwny, niepokojący smak. Zwłaszcza moment, kiedy się o niego opierała, gdy ją przygarniał. Wspomnienie bliskości z Alekssem wywoływało w niej na przemian miłe i przykre uczucia.

Myślała o Engelu. Wyobrażała sobie, jak wyciąga rękę przez kraty i woła: „Pomóż mi, proszę!”. Jak pisze do niej list. Jak wiesz się na pasku przyczepionym do kraty, gdy ona w tym czasie tuli się do Aleksa.

Joe załatwiła u dziewczyn trochę trawki. Zapaliła pierwszy raz, od czasu gdy była w ciąży. Nie poczuła się lepiej, raczej doskwierała jej bardziej samotność. Siedziała na podłodze, oparta o jedną z łukowatych ścian, pisząc na niej flamastrem: „Kocham cię”. Narysowała serce. Pod spodem jeszcze raz napisała: „Kocham cię”. Potem narysowała jeszcze jedno serce. Nie mogła przestać, dopóki na ścianie nie zabrakło miejsca.

Następnego dnia musiała odwiedzić psychologa. Kobieta wypytywała ją, do kogo adresowane były te bazgroły na ścianie.

- Sama nie wiem - odparła. Rzeczywiście, nie wiedziała.

- A więc mi nie zdradzisz?

- Do kogoś! Trzeba kogoś kochać, żeby nie zwariować. Kobieta wyraźnie nie była zadowolona z tej odpowiedzi.

Gdy minął okres przystosowawczy, Joe zaczęła uczęszczać do szkoły. Na lekcjach siedziała w ławce sama. Również na przerwach do nikogo się nie odzywała. Nie szukała kontaktu. Cóż bowiem łączyło ją z dziećmi, które czytywały „Bravo”, słuchały słodkiego popu, a o miłości dowiadywały się, czytając rubrykę „Dr Sommer radzi”?

Alex przyjeżdżał co drugi tydzień. Nocował w hotelu. Zostawał do niedzieli wieczór. W tym czasie Joe czuła się nieco lepiej. Zapewne nie wytrzymałaby w tej klatce, gdyby nie jego wizyty.

Podarował jej telefon komórkowy. Dzwonił niemal codziennie koło dziesiątej. Rozmawiali o wielu rzeczach. Joe opowiadała o wszystkich tych głównianych sprawach, które wydarzyły się tego dnia. O popieprzonych babach, z którymi mieszkała w ośrodku. Ale przede wszystkim o Dawidzie. Jak próbował chodzić albo wypowiadać pierwsze słowa, takie jak „tata”.

Jednak nie rozmawiała z nim o wszystkim. Nigdy nie poruszała tematu Zorro. Również Alex o niego nie pytał. Ale zawsze, gdy ją obejmował, myślała o Engelu. Chciałaby bardzo wiedzieć, czym jest miłość i czy wciąż go kocha. A może była na to zbyt słaba? Zbyt samolubna i wyrachowana, by w ogóle naprawdę kochać? A jeśli chce, by ojcem jej dziecka nie był żaden wariat? Nikt, kto jest zbyt prostolinijny, aby uznawać w życiu parszywe kompromisy? I zbyt głupi, by obrabować stację benzynową?

A może raczej to jest miłość, gdy chudnie pięć kilo, kiedy Alex powiedział jej, że wygląda coraz ładniej. Albo że co dwa tygodnie sterczy przy oknie, na długo zanim czarny golf pojawi się na horyzoncie. Czy można jednak kochać, nie przeżywając najpierw wielkiego zauroczenia?

To, że wszystkie dziewczyny zazdrościły jej Aleksa, również nie było bez znaczenia. Nawet opiekunki traktowały ją z większym respektem niż pozostałe. Engel zawsze mówił, że kobiety szukają bogatych facetów. Czują się przez to dowartościowane, a ich dzieci mają zapewnioną przyszłość.

Któregoś dnia po raz pierwszy pocałowała się z Alek-sem. Było w porządku. Dopóki znów nie pomyślała o En-gelu. Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach.

Jakiś czas później Alex spytał drżącym głosem, czy w następną sobotę nie przenocowałyby razem z nim w hotelu.

- Jeśli chcesz - odparła. Miał prawo o to zapytać. Byłoby głupotą, gdyby odmówiła. Nie mogli się przecież w nieskończoność obściskować w jego golfie.

Joe dostała przepustkę na jedną noc. Zapewne również dzięki Aleksowi.

Podwójny pokój w hotelu przypominał przedział w wagonie pierwszej klasy. Wszystko wyglądało bardzo nowocześnie, a kolor tapet nawiązywał do barwy dywanów, chociaż nie brakowało na nich plam i powypalanych dziur.

Joe wzięła prysznic. Potem, owinięta w ręcznik, zajęła się Dawidem. Właściwie nie czuła zdenerwowania. To było zupełnie normalne, że w którymś momencie spędzą razem noc. Alex miał do tego prawo.

Alex wyszedł spod prysznicza przepasany ręcznikiem. Wyglądał świetnie. Joe stała obok łóżka. Alex pocałował ją w czoło. Zdjął z niej ręcznik i spojrzał na jej nagie ciało. Miał prawo na nią patrzeć.

- Jesteś niesamowicie piękna - powiedział.

- Poczekaj tylko, aż moje piersi wrócą do normalnych rozmiarów - odparła.

Chciał je pocałować, lecz Joe zasłoniła się rękami.

- Na razie są zarezerwowane wyłącznie dla Dawida. Są niesamowicie wrażliwe.

Alex zaciągnął ją do łóżka. Joe cały czas osłaniała rękami piersi. Okazał się bardzo delikatny. Nie było jej nieprzyjemnie. Położył się na niej. Próbowwała go odepchnąć.

- Daj mi jeszcze trochę czasu - szepnęła. - Przykro mi.

- Oczywiście - sapnął i przewrócił się na bok. - Wspaniale czuć cię tak blisko. Naprawdę był w porządku. Joe objęła go. Zrobiła to ręką. Nie czuła w tym nic

obrzydliwego. Nawet ją to podniecało. Starła się nie myśleć o Engelu. To było miłe, gdy tak leżał odprężony obok niej. Trochę jeszcze sapał.

- Jesteś niesamowita - rzekł, uśmiechnięty.

- To nic takiego, ale wiele kobiet po porodzie ma problemy z seksem - wyjaśniła Joe. Trzeba trochę czasu, zanim hormony wrócą do stanu równowagi po okresie ciąży.

- To absolutnie zrozumiałe - przyznał Alex. Rozległ się płacz dziecka. Joe wzięła je na ręce i podała pierś. Alex przyglądał się szczęśliwy.

W nocy Joe ocknęła się. Znow śnił się jej Engel. Tonął. A ona się przyglądała. Odezwał się znajomy głos: „Ty i twój przyjaciel jesteście niczym dwoje tonących, którzy na wzburzonym morzu ucepili się siebie nawzajem”. Joe zaczęła uciekać. We śnie. Nagle jakiś nagi typ zagroził jej drogę. Od razu zaczął ją pieprzyć. Słyszała jeszcze krzyk Engela. Ale podobało jej się, jak ten typ ją pieprzył.

Od tygodni pisała do rodziców Engela z prośbą o kontakt. Bez skutku. Być może niedokładnie zapamiętała ich adres.

Alex poinformował, że wyjeżdża z rodzicami na Malediwy. Z początku nie chciał jechać. Lecz Joe powiedziała mu, że to absurd nie skorzystać z takiej okazji. Przez te cztery tygodnie, gdy go nie było, Joe znow czuła palącą samotność. Dawid wciąż budził się w nocy. Musiała wstawać do niego po kilka razy. Czasem znow miała poczucie, że nie da rady. Często płakała w poduszkę. Nie mogła przestać myśleć o Engelu.

Joe poszła kilka razy na zajęcia z robót ręcznych. Poduczyła się trochę robić na drutach. Zdobyła parę kłębków brązowej, białej i czarnej wełny. Zaczęła robić szalik w barwy klubowe St. Pauli. Raz powiedziała do Django juniora:

- Jak będę w Berlinie, dowiem się, gdzie jest twój Zorro.

Już pierwsze litery wyszły jej dość krzywo. Trupia czaszka była ledwo rozpoznawalna. Joe spruła wszystko i zrobiła z wełny legowisko dla Django. Następnego nocy nękały ją senne koszmary na temat nieudanego szalika.

W czasie kolejnego weekendu powiedziała Aleksowi w hotelu, że nie jest jeszcze gotowa. Być może, jak spędzą razem kilka dni pod rząd. Na święta wolno jej było

jechać na dwa tygodnie do domu.

Joe cieszyła się, że będzie mieć w Berlinie Aleksa. Wolałaby już spędzić Wigilię w swojej wieży niż kisić się przez dwa tygodnie z mamą i jej parszywym kochasiem.

Podczas następnej wizyty Alex oznajmił, że poznał jej mamę i tego Mike'a. Oboje bardzo przypadli mu do gustu. Joe powstrzymała się od komentarzy. Może to lepiej, że Alex ich zaakceptował.

Mama zadzwoniła zupełnie odmieniona. Mówiła, że zawsze wiedziała, iż Joe była w czepku urodzona. Ale czym zasłużyła sobie na takiego sympatycznego chłopca? Żeby tylko nie popełniła teraz żadnego błędu.

Joe chciała jechać do domu dwudziestego drugiego grudnia. Jednak tego dnia Dawid dostał gorączki. Lekarz pozwolił jej na wyjazd dopiero dwudziestego czwartego rano. Nie miała nawet czasu powiadomić mamy, kiedy dokładnie przyjeżdża.

Joe oniemiała ze zdumienia, gdy mama otworzyła przed nią drzwi mieszkania: za jej plecami stał Alex, a za nim Mikę. Alex wziął od niej Dawida. Najpierw pocałował małego, potem ją.

Joe i tak była dość chłodna. Teraz jednak stała się lodowata. Jej mózg nie potrafił analizować docierających bodźców.

Właściwie co tu się działo? Okay, niech będzie, że obiecała Aleksowi pójść z nim w końcu do łóżka. Ale to przecież ani nie czyniło z niego członka rodziny, ani nie było zaproszeniem na żadną Wigilię.

Jak oni się na nią we troje gapili! Joe zaczęła tracić grunt pod nogami, nie wiedząc jednak do końca, dlaczego. Gdy na dodatek Mikę chciał ją przytulić, zdecydowała się wycofać do swojego pokoju.

- Nie czuję się najlepiej. Moglibyście zostawić mnie z małym na chwilę w spokoju? - Wzięła dziecko od Aleksa i weszła do swojego pokoju, natychmiast zamykając za sobą drzwi. Słyszała jeszcze, jak mama powiedziała:

- Joe jest najwyraźniej przemęczona. Proszę tylko nie wyciągać pochopnych wniosków, panie Aleksie.

W pokoju Joe stała stara pralka automatyczna. Na niej leżał pozbawiony jednej

nogi stół z kaflowym blatem z dużego pokoju.

Jej zaszczone łóżko wciąż tam stało. Usiadła na nim. Wyjęła butelkę i zaczęła karmić Dawida. Próbowwała poukładać sobie wszystko na spokojnie. Może rzeczywiście zareagowała zbyt histerycznie. Może mama miała rację.

Położyła się obok Dawida.

- Myślisz, że zaczynam wariować? - spytała wpatrzona w syna. - Powiedz mamie, żeby się wzięła w garść. Jest przecież za ciebie odpowiedzialna. I w ogóle wszyscy chcą dla nas jak najlepiej.

Wyjęła z kieszeni małą klatkę z Django. Myślała o Engelu.

Z przedpokoju dobiegło wołanie mamy:

- Jedzenie już prawie gotowe!

Joe wzięła Dawida na ręce i poszła z nim do kuchni.

- Znowu wszystko na maśle? - spytała.

- A używałam kiedyś ramy?

Jak zawsze przed Wigilią pławił się w mętnej brei karp.

- Pomóc ci w czymś?

- Nie trzeba. Alex wszystko za mnie zrobił. Doprawdy, aż się wzruszyłam.

To rzeczywiście poruszające.

- A mój pokój robi za rupieciarnię? Czyżby Alex uważał to za tak romantyczne?

- Na święta jedziecie do luksusowego hotelu.

- Taa? To ciekawe.

- Chyba nie powinnam ci nic mówić. Mały zostanie u nas. Apartament w luksusowym hotelu. To jego prezent pod choinkę. Eleganckie, nie sądzisz?

- Co niby? Że córeczka mamusi zostanie pięciogwiazdkowo przerżnięta? - wyrwało jej się.

- Ależ, Johanna!

Nagle ogarnął ją chłód. Wyobraziła sobie, jak stoi z Alek-sem w wielkim hotelowym holu. Portier, podając klucz, mrugnie doń porozumiewawczo. W pokoju ogromne łóżko okryte aksamitną narzutą. W łazience bidet na później. Alex zamawia jeszcze szampana w srebrnym kubelku. Na stoliku nocnym kładzie zawczasu paczkę

prezerwatyw, bo tym razem Joe będzie musiała w końcu rozłożyć nogi.

Choć, trzeba przyznać, o wiele przyjemniej spać w luksusowym hotelu niż w tym zaszczanym łóżku obok starej pralki. A nogi musi rozłożyć tak czy siak. Właściwie to jakby mu obiecała i nie wypadało się dłużej wykręcać, że nie jest jeszcze gotowa. Poza tym podobał się jej. Miał zabójcze ciało i jędrny tyłeczek. Nie musiała mieć od razu orgazmu. Swoją drogą nie potrafiła sobie wyobrazić orgazmu z Alekssem, ale jej uczucia stępiały już nieco.

- Czasem tak sobie myślę, że o pewnych rzeczach nie masz pojęcia - powiedziała mama, wyławiając karpia z mętnej wody. Jedno z jego oczu dyndało na cienkiej żyłce. -Po prostu okaż Aleksowi choć odrobinę dobrej woli. Taka okazja więcej się nie powtórzy. Pomyśl o dziecku. Chciałabym mieć w młodości tyle szczęścia co ty. Czy może znowu zamierzasz włączyć się za tym degeneratem?

Można było zawsze liczyć na to, że mama powie coś niewłaściwego w nieodpowiednim momencie. Joe natychmiast ujrzała Engela tkwiącego samotnie w celi. Skulony, wpatruje się w drzwi. Bo na świąteczną mszę w więziennej kaplicy na pewno nie pójdzie.

Mama położyła karpia na owalnym srebrzystym talerzu. Wydlubanym okiem na wierzch. Później Mikę nabije sobie to oko na widelec i powie:

- Mmmm, dzieci. Nie wiecie, co dobre.

Od tego momentu Joe nie tknie już swojej porcji. Do kuchni wszedł Alex.

- A, tu jesteś - rzekł. Objął ją na chwilę ramieniem. Potem wziął półmisek z karpem i zaniósł do dużego pokoju.

- Co za zięć!

- To może być tak sama za niego wyszła?

W dużym pokoju prawie nie było gdzie się ruszać. Dużo miejsca zabierała choinka, jak zwykle bardzo rozłożysta. Mama uważała, że skromne choinki wyglądały „za biednie”. Domowe palmy również urosły znacznie. Niemal naturalnych rozmiarów bernardyn z porcelany, o charakterystycznym, pocziwym spojrzeniu, blokował dojście do lewej części stołu. Normalnie stał tam, gdzie choinka.

Mamę zapewne także dręczyło, iż w domu było ciasno i duszno. Zwróciła się do Aleksa:

- Zbyt przestronnie to u nas nie jest. Pan zapewne przyzwyczajony do innych warunków.

- Ależ czuję się tu bardzo dobrze - odparł Alex. - U nas jest na ogół dość chłodna atmosfera, a choinka stoi tak daleko, że ledwo ją widać.

Mikę zapalił świece, niemal kładąc się przy tym na stole.

- Czyń swą powinność - powiedziała mama.

Mikę widelcem wydłubał karpiovi oko i położył na swoim talerzu. Potem podzielił rybę.

Joe nałożyła sobie tylko dwa ziemniaki z odrobiną masła. Alex przykrył ręką jej dłoń. Ryba śmierdziała mułem na milę. Mikę wchłonął rybnie oko z głośnym mlaśnięciem.

- Nie wiecie, co dobre - mruknął z rozkoszą. - Pieczeń też jest wyborna.

Alex patrzył na niego z rozbawieniem. Z radia leciała Cicha noc.

Po kolacji Alex zerwał się jednocześnie z mamą Joe, by sprzątnąć ze stołu. I dobrze. Joe nawet nie drgnęła. Zresztą i tak było zbyt ciasno.

Przyszedł czas na rozpakowanie prezentów. Mikę przy-taszczył starą drewnianą kołyskę i ustawił ją obok choinki. Mama ułożyła w niej Dawida Che.

- Jak on się wpatruje w te świece! - zauważyła. - Aż mu oczy błyszczą.

Alex sięgnął do swojej torby. Wręczył Joe kwity hotelowe na trzy noce. Joe pocałowała go w czoło.

- Musimy je od razu wykorzystać? - spytała.

- Mamy rezerwację od jutra- odparł i pocałował ją w usta. Znowu ogarnął ją chłód.

Mama podarowała jej komplet bielizny. Czarne prześwitujące majteczki i stanik, z którego była szczególnie dumna.

- Całkiem sexy, nie sądzisz? - dopytywała się mama.

- Dziękuję - rzekła Joe apatycznie.

Mikę rozlał winiak do kieliszków od wódki. Joe również zamierzała się napić. I

tak nie będzie już karmić. Mikę stuknął się z Alekssem.

- Dajmy spokój z tym panem. Jestem Mikę. Mama poszła w jego ślady.
- Ja mam na imię Rosa, ale wszyscy wołają na mnie Rosi.
- Twoje zdrowie, Rosi - powiedział Alex. - To naprawdę bardzo miło z waszej

strony.

- Zatem co zamierzasz robić po maturze? - spytał Mikę.
- Chciałbym przejść na zawodowstwo, w jeździe na desce. Jeśli mi się uda.
- To na tym można coś zarobić? - zdziwiła się mama.
- I to całkiem niemało, jeśli ktoś jest w tym dobry.
- Ale można to robić tylko do pewnego wieku - zauważył Mikę.

Dawid Che gaworzył radośnie w kołysce. Pod tą choinką wyglądał jak mały Jezus. Joe przypomniła sobie, jak Engel powiedział, że Józef i Maria też nie mieli dachu nad głową.

- Potem pewnie otworzę sklep. Z ubraniami, deskami i wszystkimi dodatkami - kontynuował Alex. - Ojciec chciałby oczywiście, żebym pracował w jego firmie.

- I tak będziesz pracował u ojca - wtrąciła się Joe. Mierziło ją, jak Alex podlizuje się Mike'owi i mamie.

Mama wymachiwała stanikiem na wszystkie strony.

- Przymierz zaraz, sprawdzimy, czy dobrze leży - namawiała Joe.
- Na pewno przymierzę - odparła dziewczyna. - Mamo, przecież nie noszę

staników. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Ale teraz jesteś matką, więc musisz.
- Gdy muszę, idę do kibla.
- Bardzo proszę, nie bądź niezdolna. Ten komplet kosztował masę pieniędzy.

Chcesz, żeby ci potem wszystko wisiało?

- Uważam, że to całkiem sexy - zauważył Alex. To przepełniło miarę.
- A co was w ogóle obchodzą moje cycki, hę? - Odruchowo skrzyżowała ręce na

piersiach.

Wszyscy zamilkli. Z radia snuły się kolędy. Joe nie chciała myśleć o Engelu i o bidecie w luksusowym apartamencie. Miała wszystkiego dość. Tak, to była

prawdziwa Wigilia. Wszyscy mieli dość.

- Może byśmy tak wrzucili coś na wideo. W telewizji nic nie ma - zaproponowała Joe.

- No wiesz, w Wigilię? - obruszyła się mama.

- No to może niech ktoś powie jakiś wiersz albo co? Alex, ty na pewno masz coś na składzie, zapodaj coś.

Mike uniósł swój winiak. Wszyscy jak jeden mąż chwycili za kieliszki.

- Nie podoba mi się ten agresywny ton - skonstatowała mama. - Doprawdy, przecież święta są tylko raz do roku.

- Pozwól nam włączyć wideo i będzie spokój.

- A co na przykład? - spytał Mike, któremu, naturalnie, pomysł Joe nie wydawał się taki zły.

- Jakiś horror. Teksaska masakra piłą mechaniczną. Jedenastą część. Na pewno to masz.

- Dobrze, ale teraz już wystarczy. Są święta. I w ogóle -apelowała mama.

- Joe tylko tak żartuje - wmieszał się Alex.

Ten już definitywnie wlaź w to ich wspólne szambo -pomyślała Joe.

- W takim razie wrzucimy jeden z pornosów Mike'a, żeby Alex wreszcie nabrał apetytu. - Właściwie nie chciała tego powiedzieć. Ale zaczynała się już dusić w tym pokoju.

Alex powiedział jeszcze:

- Joe nie miała tego na myśli. W zasadzie możemy już iść.

Joe wyjęła Dawida Che z kołyski.

- Przygotuję małego do spania.

- Pomogę ci - zaofiarował się Alex.

- Lepiej pomóż mamie zmywać - rzuciła Joe. Poszła do swojego pokoju.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku. Myślała o Engelu.

Usłyszała uderzenie w szybę. Za chwilę rozległ się dzwonek domofonu. Joe wybiegła do przedpokoju.

- Otwieram! - zawołała. Nacisnęła guzik domofonu. Wyszła na korytarz.

Usłyszała jego kroki. Engel wspinał się powoli po schodach. Joe patrzyła oniemiała, jak się zbliża. Zatrzymał się tuż przed nią.

- Księżniczko. Potrzebuję cię. Proszę. Joe położyła palec na ustach.

- Teraz nie mogę - szepnęła.

- Błagam, naprawdę cię potrzebuję.

- Nie mogę. Musisz stąd iść.

- Więc powiedz, że mnie już nie kochasz.

- Spotkajmy się na Alex jutro w południe.

- Chciałbym chociaż zobaczyć Dawida Che. Teraz. Joe próbowała zamknąć drzwi, lecz Zorro stał już jedną nogą w przedpokoju. Światło z dużego pokoju oświetliło jego twarz - była niesamowicie blada.

- Kto tam?! - zawołał z pokoju Mikę.

- Nikt. Kolędnicy - odparła Joe. Jej głos zdradzał objawy paniki.

- Czy ktoś cię dotykał? - dopytywał się Zorro. Mikę wszedł do przedpokoju.

- Jasna cholera! - wydukał. - Kochanie, chodź tu szybko. Złodziej.

- Chciałbym tylko zobaczyć syna - powiedział Zorro prawie spokojnym głosem.

- Mam do tego prawo.

Pojawiła się mama.

- Nie masz żadnego prawa - jękał się Mikę. - Twoje miejsce jest za kratkami.

- Gdzie jest mój syn? - Głos Zorro znacznie przybrał na sile.

Mikę cofnął się o krok. Mama schowała się za jego plecami.

- Jak to, pański syn? Ojciec mojego wnuka spędza z nami Wigilię. To narzeczony mojej córki.

- Nieprawda - powtórzyła Joe dwukrotnie. O wiele za cicho.

Zorro ryknął. Brzmiało to raczej jak donośne westchnienie szaleńca. Odepchnął mamę. Mikę wcisnął się w kąt przedpokoju. Chłopak skierował się do salonu. Joe tuż za nim.

- Engel, nie rób tego, błagam! - wołała.

Zorro wkroczył do salonu. Alex stał po drugiej stronie stołu.

- Więc to ty, pętaku! - syknął Zorro i rzucił się przez stół, zawadzając o choinkę.

Dopadł Aleksa i uniósł niczym kukłę. Cisnął go przez pokój. Alex wylądował na porcelanowym bernardynie, rozbijając go na milion kawałków.

Joe uwiesiła się na ramieniu Zorro.

- Błagam, zostaw go. On niczemu nie jest winien. -Ale ten nie zwracał na nią uwagi.

- Wzywam policję! Wzywam policję! - pisał Mikę ze swego kąta. Zorro walnął go parę razy. Tamten skulił się na podłodze, krzyząc: - Ratunku! Napad!

Mama zakryła twarz dłońmi. Zorro odepchnął ją na bok i skierował się do wyjścia. Joe puściła go.

Pobiegła za nim. Widziała, jak zbiega po schodach, nie oglądając się za siebie. Chwyciła się mocno poręczy i krzyknęła w jego stronę:

- Ten pętał mnie nie dotknął! Nikt mnie nie dotknął! Joe pobiegła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko.

Najchętniej wybuchnęła płaczem, gdyby tylko mogła. Nie zastanawiała się, co robi. Wiedziała tylko, że nie wróci więcej do tego parszywego pokoju, nie spojrzy na tę obleśną bandę. Nie pojedzie też z tym pętakiem do hotelu, nie usiądzie na bidecie, gdy tamten zrobi swoje.

Spakowała klatkę z Django do czerwonej torby. Ubrała Dawida. Gdy chwyciła za kłamkę, usłyszała zapłakany głos mamy:

- Co ty wyprawiasz?

Joe chwyciła z garderoby swój płaszcz. Mikę chwiejnym krokiem wytoczył się z kuchni, przyciskając do oka torebkę z lodem. Alex najprawdopodobniej już się zmył.

- Czy ona zamierza lecieć za tym bandytą? - spytał Mikę.

- Na to wygląda - odparła zrezygnowana mama.

- Z dzieckiem? Dzwonię na policję.

Zorro pojechał prosto na Alex. Ukucnął skulony, opierając się plecami o kamienny brzeg fontanny. Był sam na placu. Gdzieś tam stały jeszcze opustoszałe świąteczne stragany. Pomalowane na brązowo, miały czerwone daszki. Wyglądały

jak osiedle ubogich karłów. Gdzie tylko się dało, umieszczano wizerunek świętego Mikołaja. Jego policzki były tak czerwone, jakby zasnął pod kwarcówką. Zaczęło padać.

To, co miał, starczało akurat na tę jedną, ostatnią działkę. Skoro i tak musiał zdechnąć, to czemu nie odwlec tego trochę w czasie i nie wycisnąć jeszcze odrobinę z zafajdanego życia?

Zorro dostał przepustkę z więzienia na okres świąt. Może jednak niepotrzebnie o nią zabiegał. Zrobił to dla Joe. Zresztą wszystko jedno, gdzie się zdycha. Nawet w więzieniu nie czuł się nigdy tak podle jak teraz. Tam jak wszędzie - można być na górze albo na dnie. On był akurat na górze. Szybko urobił sobie jednego Turka, który handlował w więzieniu prochami. Tamten był bardzo zadowolony, że zostanie współnikiem Zorro.

Zorro przejął znaczną część zysków. Mając odpowiednią pozycję wśród społeczności więziennej, można tam było spokojnie wytrzymać.

Alex to raczej nieciekawe miejsce. W każdym razie w taki wieczór jak ten. Tylko zupełnie chory mózg mógł wpaść na pomysł spędzenia tu Wigilii. Zorro siedział skulony, opierając głowę na kolanach. Wyglądał jak klasyczny ćpun. Usłyszał zbliżające się kroki. Pomyślał, że najwyraźniej nie tylko on był tak szurnięty. Podniósł głowę. Przed nim stała Joe. Z małym Dawidem na rękach i czerwoną torbą przerzuconą przez ramię.

- Ty? - spytał.

- Tak, ja.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Jakoś tak, zupełnie niechcący. Zresztą czy gdzie indziej mogłabym cię znaleźć?

- Księżniczko - Zorro podniósł się wolno. Wyciągnął ręce do dziecka. Joe podała mu Dawida. Chłopak przytulił malutką główkę do twarzy. Mały zaczął płakać. Prawdopodobnie dlatego, że był już nieźle przemoczony.

Zorro pocałował Joe w czoło. Długo jej się przyglądał.

- Naprawdę nie dotykał twoich piersi?

- Oczywiście, że nie. Obietnica to obietnica. Mam jeszcze coś dla ciebie. -

Otworzyła torbę i z malutkiej klatki wyciągnęła Django juniora.

- To cud, że przeżył.
- Tylko ogonek miał złamany.

Podawała mu szczura. Zorro stał jak wmurowany. Z oczu kapwały mu łzy, zraszając obficie futerko zwierzątka.

- Dlaczego tu przysłaś?
- Chciałam oddać ci Django.
- Ach tak. Wielkie dzięki.
- I żeby już zawsze być z tobą.
- To niemożliwe, księżniczko.
- Jakoś sobie poradzimy. We troje. W każdym razie nie mam zamiaru wracać do

ośrodka ani do domu. Bez ciebie oszaleję.

- A więc nic nie wiesz? Nie możemy już być razem.
- Dlaczego?
- Znowu biorę. Rozumiesz? Ćpam na potęgę. Gdyby nie to, nie zniósłbym myśli,

że jakiś inny facet dotyka twych piersi.

- Engel, wariacie. Tylko Dawid ma do tego prawo.
- Wiem.
- Teraz, gdy masz mnie i Dawida, nie potrzebujesz już tego gówna.
- Księżniczko, nie wiem, czy dam radę.
- Przecież jesteś twardzielem.
- Jestem skończonym frajerem. Że też znowu musiałem się w to wpakować!
- To również moja wina. Nie zrobiłam wszystkiego, co w mojej mocy, by

dowiedzieć się, gdzie cię trzymają. Ale teraz się tobą zaopiekuję. Natychmiast skończysz z tym gównem. A na wiosnę jedziemy w góry.

- Księżniczko, musisz dać mi trochę czasu. I więcej czasu musimy spędzić razem. Ale teraz chodźmy już stąd.

- Ale gdzie będziemy nocować?
- Spoko. Maria ma wolną chatę. Jego starzy wyjechali na narty.

Wsiedli w metro. Zorro nie powiedział, dokąd jadą. Lecz gdy wyszli na stacji

Zoo, wszystko stało się jasne.

- Co to ma znaczyć? - spytała.

- Ech, księżniczko, nie mogę tego odstawić tak od razu, to znaczy dzisiaj. Nie masz pojęcia, co to znaczy być na głodzie.

Joe tylko spojrzała na niego wymownie. Zorro odnalazł znajomego, który również spędzał święta poza murami więzienia. Zorro kupił od niego pół grama, stojąc przed głównym wejściem na dworzec - były święta, więc w pobliżu nie mogło być glin.

Przykucnął przy wejściu obok dworcowego przytułku.

- Lepiej się odwróć. Dawid nie powinien tego oglądać. - Zagotował porcję na łyżeczce. Słyszał cichy płacz Joe. Dostrzegł jeszcze samochód, który podjechał wolno pod główne wejście na dworzec. Potem wkuł się w żyłę. Za chwilę usłyszał kobiecy głos. Wydał mu się znajomy. Dochodził z bardzo daleka.

- Jest tutaj!

Rozległ się krzyk Joe. Obok niej pojawili się dwaj mężczyźni. Była z nimi kobieta.

Zorro nie wyciągnął igły. Musiał wkuć się jeszcze raz, by wtłoczyć resztę kompotu.

- Nie! - krzyknęła Joe kilka razy. Jeden z mężczyzn wyrwał jej dziecko. Mały zaczął płakać.

Zorro próbował wstać, lecz kolana ugięły się pod nim.

Kłęczał na ziemi. Iha stanęła nad nim. Chciał się na nią rzucić, lecz narkotyk kompletnie go obezwładnił.

- Ładny prezent mi przygotowałaś - powiedziała Iha do Joe. Potem zwróciła się do mężczyzn: - Niemowlę trzeba najpierw zawieźć do szpitala. - Potem wszyscy troje wraz z Dawidem zniknęli w samochodzie.

Joe oparła się o ścianę. Zorro cały czas kłęczał. Minęło jeszcze dużo czasu, zanim się podniósł. Igła wciąż tkwiła w jego żyłę. Podczołgał się do Joe i wstał, trzymając się ściany. Joe wyciągnęła igłę. Rozdeptała ją obcasem. Zorro objął dziewczynę. Właściwie chwycił ją mocno.

- Zapomnij o mnie - rzekł.
- Mam już tylko ciebie - szepnęła.

Poszli do dworcowej jadłodajni. Stała tam nawet choinka. Wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie patrzyli przed siebie, ściskając mocno jednorazowe kubki z herbatą.

Joe i Zorro usiedli na podłodze. Wtulili się w siebie.

- Odzyskamy Dawida. Obiecuję ci - powiedział Zorro.
- To robota mamy i jej gacha - domyśliła się Joe. - Nie chcę ich więcej widzieć.

Już tylko ty mi zostałeś. - Była wyczerpana.

Bardzo długo siedzieli tam przytuleni. Nagle Zorro odezwał się:

- Mam już dosyć tego zasranego miasta. Nie wrócę do więzienia.
- A Dawid?
- Oni i tak nas do niego nie dopuszczą.

Wsiedli w najbliższy pociąg do Hamburga. Zorro znał tam kilka osób.

- Dokąd teraz? - spytała Joe, gdy stanęli przed dworcem głównym.
- Na razie zostaniemy tutaj - odparł. Joe popatrzyła na niego. Zorro nigdy jeszcze nie widział w jej oczach tyle smutku i obojętności zarazem. Chciał coś powiedzieć. Jakoś ją pocieszyć lub rozbawić. Albo chociaż uczynić coś, po czym mógłby liczyć na pocałunek. Lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Był zbyt pochłonięty własnymi problemami.

Zorro dobrze znał dworzec główny. Kiedyś spędził tu parę tygodni. Udało mu się uciec w ostatnim momencie. Teraz koło się zamknęło. Wtedy nie był jeszcze w takim ciągu. Odwyk to było nic. Teraz przeżywał istny horror, będąc na głodzie.

Oczywiście nie zastał tu wielu z ówczesnych znajomych. Pozostali byli na ogół w takim stanie, że ledwie go pamiętali. Odnalazł młodego Kurda, który handlował towarami na dworcu. Kiedyś Zorro zrobił dla niego parę kursów. Były to akurat jego najgorsze dni. Zorro z miejsca zaczął się do niego przymawiać.

Chłopak nie mógł oderwać oczu od Joe.

- Twoja laska? - spytał po chwili i gwizdnął z uznaniem. - W takim razie problem kasy masz z głowy.

Zorro w końcu wydebił od chłopaka partię towaru do rozprowadzenia. Dostał nawet coś w komis. Pięćdziesiąt procent mógł zatrzymać jako rodzaj zaliczki. Zorro pomyślał, że w Hamburgu jest całkiem nieźle.

Joe łąziła za nim wszędzie. Mówiła niewiele. Nie rozumiała, co się dzieje. I raczej nie chciała rozumieć. Zorro ciągle załatwiał jakieś sprawy. Wielokrotnie przemierzał dworzec tam i z powrotem. Załatwił im nawet jakiś nocleg.

Pod wieczór jeden ćpun zaprowadził ich na miejsce. Joe stanęła osłupiała w drzwiach jakiegoś mieszkania. Śmierdziało tam jak w chlewie. W kuchni widać było stos puszek po piwie i brudnych talerzy.

- Nie mam zamiaru tu spać - zbuntowała się Joe.

- Tylko jedna noc. Jutro zarobię furę kasy i załatwię coś pierwsza klasa - powiedział Zorro zmęczonym głosem.

Ułożyli się w jakiejś komórce, na podłodze usianej milionem niedopałków. Na ścianie pełno było śladów krwi. Mimo to spali tam bez końca. Dopóki Zorro nie musiał dać sobie w kanał.

- Kiedy zamierzasz skończyć z tym gównem? - spytała Joe, gdy wrócił z łazienki.

- Jutro, może pojutrze. Musimy najpierw zbierać trochę kasy. Przecież nie mogę przestać brać w tym chlewie pełnym ćpunów.

Mieszkanie było wypełnione narkomanami. Gdzie oni wszyscy spali? Nikt nie zwracał uwagi na nowo przybyłych. Każdy zajęty był sobą.

Kolejną noc znowu spędzili w tej norze. Również następną. I tę, co była po niej.

Joe pytała go czasem, kiedy zbiera dość kasy i podda się leczeniu.

Interesy szły marnie. Joe poszła zebrać na Mönckebergstrasse. Wzdłuż pasażu handlowego kręciło się jednak zbyt wielu zawodowców - lumpów i ćpunów. Prawie każdy z nich miał psa, a niektórzy nawet dwa albo trzy. Bo ludzie prędzej skłonni byli litować się nad psem niż człowiekiem.

Joe dostawała czasem trochę towaru od dziewczyn. Gdy akurat trafił im się hojny klient. Oddawała wszystko Zorro. Wierzyła, że dzięki temu nie będzie musiał kupować na mieście i uda im się zaoszczędzić trochę pieniędzy na leczenie. Ale inne

dziewczyny mówiły, co zresztą jej samej chodziło już po głowie - że może od razu iść na ulicę.

Pewnego dnia powiedziała Zorro, że dłużej tego nie wytrzyma. Odparł, że jeśli go teraz opuści, to i tak będzie mu już wszystko jedno i będzie ćpał dalej. Aż do końca.

Joe chciała wiedzieć, po co to robi i czemu inni to robią, skoro to takie bagno.

- To takie samo bagno jak wszędzie - odparł. - Wszyscy całymi dniami gonią za forszą. Każdy chce wykiwać drugiego. Wygrywa silniejszy.

- Skoro wszędzie jest tak samo, to po co brać? - spytała Joe.

- Bo inaczej świat byłby nie do zniesienia. Poza tym, załóżmy na takim dworcu - to jest szczyry układ - nikt ci nie wmawia, że jest twoim przyjacielem. Bo jak długo każdy dba tylko o siebie, nie ma mowy o przyjaźni.

- A miłość?

- Nie wiem. Z nami to pewnie co innego.

Kochali się bardzo rzadko, tylko dlatego, że Zorro chciał ukryć, w jak fatalnym jest już stanie.

Joe dzwoniła czasem do domu, by wypytać o Dawida. Mama nie była zbyt rozmowna. Powiedziała, że ma on się dobrze i trafi do rodziny zastępczej. I żeby Joe nie robiła sobie nadziei.

Raz było z Zorro tak źle, że zaczął ją błagać, by wydobyła go z tego gówna. Potem nagle zdecydował się na terapię.

Joe zaprowadziła go do poradni. Rehabilitant wysłuchał historii Zorro. Stwierdził, że jako poszukiwany przez policję nie może liczyć w Hamburgu na pomoc. Jedyna możliwość to wrócić do więzienia i tam zacząć leczenie.

Wróciwszy któregoś wieczoru bardzo późno do zapuszczonej meliny, Zorro zastał Joe siedzącą z dwiema dziewczynami na podłodze w cuchnącej kuchni. Wciągały właśnie nosem jakiś towar. Zorro postawił ją gwałtownie do pionu. Uderzył w twarz.

- Odbiło ci? - spytała niewzruszonym tonem. - Czy ty już niczego nie dostrzegasz? A może myślisz, że robię to po raz pierwszy? Sądzisz, że tkwiłabym z tobą w tym całym syfie na czysto?

Zorro wybuchnął płaczem. Joe objęła go.

- Spoko. Jeszcze nie jestem uzależniona.

- Na początku każdy tak mówi - powiedziała jedna z dziewczyn, o imieniu Biggi. Potem dodała, że to ona dała towar Joe, ponieważ spodziewa się godziwej zapłaty za pośrednictwo. Zorro na początku nie zorientował się, o co jej chodzi. Tamta gadała jeszcze o jakimś młodym koleśku, z którym była w pokoju.

- Był całkiem do rzeczy i w ogóle. Chciał tylko, żebyś mu obciągnęła rękę, a zapłacił jak za godzinę pieprzenia. I ciągle pytał o Joe. Mówił, że pieniądze nie grają roli.

Zorro dopiero teraz zaświtało w głowie.

- Ty wredna suko! - wrzasnął. - Bawisz się w pieprzoną swatkę?

- Tylko popatrz na siebie. Ty najbardziej potrzebujesz, żeby twoja laska dorzuciła się do domowego budżetu -skomentowała niewzruszonym głosem Biggi.

Zorro wyprowadził Joe z kuchni.

- Prędzej zdechnę, niż pójdziesz na ulicę - powiedział kompletnie załamany.

- Nie dramatyzuj - uspokajała go Joe. - Tak tylko udawałam, że mnie to interesuje. Myślałam, że może wtedy mi jeszcze coś odpali.

- Nie rób tego więcej. Boże, to wszystko moja wina.

- Wcale nie.

- Jedziemy do Berlina. Wrócę do więzienia i tam pójdę na leczenie. Nie chcę, byś się w to wciągnęła.

- Naprawdę jedziemy do Berlina? - spytała Joe. - Ale jak pójdziesz do więzienia, to zostanę zupełnie sama.

Następnego popołudnia dotarli na peron dla InterCity. Pociąg do Berlina właśnie odjechał. Zorro stwierdził, że w taki dzień nie warto już nic zaczynać.

- W porządku - odparła Joe.

Zjawiali się tam niemal codziennie. Na ogół przybywali tuż po odjeździe pociągu. Raz udało im się zdążyć, ale zorientowali się, że nie starczy pieniędzy na bilet. Postanowili zaczekać do weekendu. Wtedy bilety były tańsze.

Joe zebrała na schodach metra. Na dole wspinała się po schodach jakaś

dziewczyna z walizką. Joe nie od razu ją poznała. Asi zmieniła się. Była w towarzystwie kobiety odzianej w szare futro. Zapewne jej matka.

- Jak tam, wszystko dobrze? - spytała Asi, szperając w portmonetce. Wrzuciła Joe dwie marki.

- Przecież ona od razu kupi za to narkotyki - powiedziała kobieta w futrze.

Joe uciekła stamtąd. Długo nie mogła odnaleźć Zorro. Przemierzała ulice na tyłach kin, mijała obskurne hoteliki z pokojami na godziny, nocne lokale i sterzące pod nimi nieletnie prostytutki. Biggi też tam była. Stała na ulicy, wyczekując kolejnego klienta. Spostrzegłszy Joe, zawołała:

- Twój wielbiciel znów jest w okolicy!

- Czyżby? - rzuciła Joe.

- No i co?

- Nic.

- Czy ty nie jesteś przypadkiem Maria Dziewica?

- Możesz mi odpalić odrobinę? Oddam jutro na sto procent.

- Na sto procent? O ile sobie przypominam, wisisz mi ciągle dwie działki. A dałam ci je tylko dlatego, że miałaś się zastanowić w sprawie tego koleśia.

- Dziś nie mogę.

- Dama dziś nie może. Właśnie zaczął jej się okres. Ładnie pomagasz swojemu chłoptasiowi, który zresztą trzęsie się właśnie na Hansaplatz.

Zorro siedział na murku na Hansaplatz, przed śmierdzącym blaszanym pisuarem. Jego głowa zwisała bezwładnie między kolanami. Zerwał się gwałtownie, gdy Joe szturchnęła go w ramię.

- Ile masz? - spytał.

- Nie pójdę więcej zebrać - powiedziała Joe.

- Hej, ja tu zdycham. - Jego ciałem zaczęły targać gwałtowne skurcze. - Cholera, ile masz?! - krzyknął.

Joe wyciągnęła otwartą dłoń. Było tam trochę miedziaków i dwie jednomarkówki. Zorro spojrział na monety.

- To wszystko? Ech, księżniczko, wymyśl coś.

- Nie pójdę więcej zebrać.
- Pozwolisz mi tu zdechnąć?

Joe czuła się parszywie. Nawet nie przez Zorro. W tej chwili był jej zupełnie obojętny. Joe nie potrafiła już znieść tego wszystkiego na trzeźwo. Choć właściwie nie była jeszcze uzależniona.

- Musisz coś wymyślić - powtórzył Zorro.
- Może mam iść pod latarnię? - Ledwo stała ze zmęczenia. Usiadła na murku.

Zamknęła oczy. Usłyszała z oddali głos Zorro:

- Nie zrobisz tego. Nie możesz tego nigdy zrobić. Potem usłyszała własny głos:
- Ech, stary. To już zaszło za daleko. Każda laska, która zadaje się z ćpunem,

ląduje w końcu pod latarnią. I ty dobrze o tym wiesz.

- Wolę tu już zdechnąć.
- Myślisz tylko o sobie! - krzyknęła Joe. - A może ja też potrzebuję czegoś, żeby

wytrzymać cały ten syf?

Zorro wstał, trzymając się za brzuch.

- Proszę, przestań - jęknął.
- Bo zdechniesz zaraz na tym murku, tak?

Zorro osunął się na ziemię. Oparł się plecami o mur. Spojrzał do góry na Joe.

- Tylko nie patrz mu przy tym w oczy.
- I tak najwyżej obciągnę mu ręką. Zresztą pewnie tylko wtedy mu stanie.
- I nie wygaduj żadnych świństw.
- Tak, tak.
- I nie pozwól mu się dotykać.
- Spokojnie.
- Nie rób tego - rzekł w końcu.

- A co, masz coś dla mnie? - Zostawiła go skulonego pod tym murem.

Biggi stała wciąż na tyłach kina. Joe podeszła do niej i powiedziała:

- Rzucę okiem na tego twojego kolesia.
- To nie będzie możliwe - odparła Biggi. - Warunek jest taki, że nie możesz

widzieć jego twarzy.

- A więc to zboczeniec?
- Coś ty! Zboczeńca wyczuję na kilometr. Ten to jakiś nieśmiały. Ale tacy są najlepsi.

- I chce, żeby mu tylko obciążać?
- Ze mną zawsze. Trochę popatrzeć, potem trzepnąć, i do kasy.
- Jak on wygląda?
- Zabójczo. To jeszcze młodzik. Mógłby mieć każdą, tylko jest nieśmiały.
- No cóż, chyba się zgodzę.
- Mam jego numer. Umówię was. Czekać pod hotelem „Hansa-Eck”.

Biggi wróciła po godzinie. Zaprowadziła Joe do niewielkiego pensjonatu.

- Wystarczy, jak powiesz: pokój 301. Wszystko załatwione. To czysta sprawa.

Zresztą mam jego numer.

Joe nie czuła właściwie nic. Nawet niepokoju. To tak jakby tylko jej ciało wchodziło po schodach. Jej dusza wciąż czekała pod „Hansa-Eck”.

W korytarzu minęła dwóch pedałów. Jeden z nich trzymał rękę na tyłku drugiego.

W całym pensjonacie podłogi wyłożono czerwoną wykładziną w złote wzory.

Kinkiety w kształcie muszli rzucały czerwone światło. Tu nie było tanio.

Pukając do drzwi, poczuła, że ma kompletnie sucho w ustach.

- Wejść - odpowiedział jej nienaturalnie niski głos. Joe otworzyła drzwi. W pokoju panował mrok. Między

zasuniętymi kotarami przemykała cienka strużka światła. Dostrzegła zarys postaci, dopiero gdy usłyszała ponownie jego nienaturalnie niski głos.

- To miło, że przyszedłeś.

Oślepiło ją światło zapalanej nagle lampy. Joe zdołała jedynie dostrzec, że miał na sobie niebieski płaszcz kąpielowy. Głowę skrywał pod kapturem.

- Nie chcę, byś mi się przyglądała.

Joe powtarzała w myślach, że Biggi ma numer jego komórki, że on jest tylko nieśmiały. Zerknęła na zewnątrz przez szparę między kotarami. Pragnęła jak najszybciej się tam znaleźć.

- Nie rozbierzesz się? - spytał zmienionym głosem, który jednak w jakiś dziwny

sposób wzbudził jej zaufanie. Na pewno się go nie obawiała. Joe zerknęła jeszcze raz na zewnątrz i zaczęła się mechanicznie rozbierać.

- Czuję się niepewnie, gdy w trakcie ktoś na mnie patrzy - powiedziała Joe.
- Nie będę patrzył - odparł nieznajomy.

Joe zerknęła ukradkiem w jego stronę. Rzeczywiście - odwrócił się. Za chwilę stała naga na środku pokoju.

- Jesteś bardzo piękna.
- Naprawdę? - Komplement sprawił jej przyjemność, lecz w następnej chwili zadrżała. Dopiero teraz dostrzegła stojące za łóżkiem lustro, w którym na pewno ją obserwował. Ale w końcu dlaczego nie miałby tego robić?

Weszła pod prysznic. Woda obmywała jej twarz, Joe nabierała jej do ust. Wytarła się i ponownie stanęła nago na środku pokoju.

- Masz ochotę wziąć prysznic? - spytał.
- Czemu nie? - Ciągle miała sucho w gardle, lecz znikły w niej wszelkie obawy.

Weszła pod prysznic. Woda obmywała jej twarz, Joe nabierała jej do ust. Wytarła się i ponownie stanęła nago na środku pokoju.

Tamten wciąż był odwrócony do niej tyłem. Zapewne obserwował jej odbicie w lustrze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna? - spytał.
- Nie bardzo - odparła niemal zakłopotana.
- Nie powiedziałaś jeszcze, ile. Joe czuła się coraz pewniej.

- Dwieście.

- Dwieście? - powtórzył.

- Ale wyłącznie obciążanie.

- Co to ma znaczyć?

- No dobra. Niech będzie sto pięćdziesiąt - rzekła po krótkim namyśle.

- Jesteś warta o wiele więcej - powiedział typ. - Rzuć okiem na stół.

Na stole leżały banknoty. Cały stos banknotów.

- Lepiej schowaj je od razu - doradził ten zabawny typ. - Forsa przede wszystkim.

Joe odruchowo podeszła do stołu. Podniosła z podłogi swoją kurtkę i wypchała banknotami obie kieszenie. Nic z tego nie rozumiała. Wielokrotnie wyobrażała sobie,

jak to jest za pierwszym razem. Jak za pięć dych robi laskę jakiemuś spasionemu pijakowi z obleśną mordą. Nasłuchiwała się różnych opowieści.

Tamten zgasił nagle lampę. Joe nawet nie drgnęła. Usłyszała odgłos bosych stóp na posadzce. Poczwała jego oddech i dłoń na karku. Zaprowadził ją do łóżka. Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach. Chłopak rozchylił je delikatnie. Pozwoliła mu na to. Nie protestowała również, gdy zaczął całować jej piersi.

Inne dziewczyny zawsze radziły, by w trakcie nie myśleć o facecie, tylko o kasie. Joe wyobraziła sobie stertę banknotów. Czwała język chłopaka na swoich piersiach. Sprawiało jej to przyjemność. Engel nie kochał się z nią od wieków.

Stanąła przed pensjonatem. Tu przynajmniej świeciło słońce. Powoli budziła się z tego snu. W głowie cały czas rozbrzmiewał jej ten zmieniony głos, wypowiadający w pewnym momencie: „Bierz pieniądze i zjeżdżaj. Ratuj się, póki nie jest jeszcze za późno”. Wciąż czwała na sobie jego dotyk. Na ustach pożegnalny pocałunek. Dotyk, głos i pocałunki nie budziły najmniejszej obawy. Próbowwała to sobie wytłumaczyć, lecz na próżno.

Ruszyła wolno przed siebie. Jak najdalej od Engela. Jak najdalej od wszystkich. Minęła „Protz-Hotel” i skierowała się nad Alster. Wiedziwała już, kim był ten chłopak. Zdradziły go dłonie - z początku delikatne i spragnione, potem coraz bardziej gwałtowne. To był Alex. Była niemal pewna, że to on. Albo księżę z bajki.

Usiadła na ławce nad brzegiem Alsteru. Wpatrywała się w mętne wody jeziora, po którym pływało kilka kaczek. Nie zastanawiała się, dlaczego właściwie było jej z nim dobrze. Z Aleksem. Albo księciem z bajki. Ale tak to najczęściej bywa, że sny pozostają zagadką. Potem znów zasypiamy, a sny toczą się dalej.

Engel tkwił ciągle na Hansaplatz. Zerwał się gwałtownie, gdy Joe pogłaskała go po głowie. Wbił w nią wzrok.

- No i co? - spytał.
- Wszystko w porządku - odparła.
- Długo cię nie było. Coś się działo?
- A co się miało dziać?
- No, czy próbował coś kombinować?

- Pewno. A ty jak, lepiej się czujesz? Udało ci się coś wyżebrać?

- Biggi odpała mi trochę valium. Dotykał cię?

Joe zacisnęła dłonie na banknotach, które wypełniały jej kieszenie.

- Spójrz.

Engel nachylił się.

- Zajrzyj do środka. Tylko dyskretnie.

- Same papiery? - spytał Zorro.

- Jasne. Chwycił ją za rękę.

- Pokaż!

- Co robisz, oszalałeś? - Joe wetknęła ręce z powrotem do kieszeni.

- Co musiałaś za to zrobić? - spytał.

- Poszłam na ulicę.

- Co ten zboczeniec kazał ci robić?

- Przypominał raczej królewicza z bajki.

- Nie drwij ze mnie, księżniczko, proszę. Pewnie jeszcze sprawiło ci to przyjemność?

- Przecież sam mówiłeś, że piękne kobiety lecą na bogatych facetów, że to taki instynkt.

Głowa chłopaka opadła bezwładnie na kolana.

- Hej, mamy w bród kasy. Nie wymiękaj teraz. Powiedz, sądzisz, że jestem ładna?

- Owszem - odparł, podnosząc się z miejsca.

- Więc czemu, do cholery, nigdy mi tego nie powiesz?

- Daj mi szmal. Już czuję, jak mnie bierze.

- Mam lepszy pomysł.

- Najpierw daj mi szmal.

- Weźmiemy pieniądze i pojedziemy w góry.

Zorro spojrzał na nią zaskoczony. Nawet lekko się roześmiał.

- Jasne, że pojedziemy. Choćby w przyszłym tygodniu albo jakoś tak.

- Nie, pojedziemy jeszcze dziś. Najbliższym pociągiem.

- Muszę najpierw coś skołować. Choćby na drogę. Skończę z tym, jak tylko dojedziemy na miejsce.

- Ech, skończysz z tym natychmiast. - Joe kupiła opakowanie valium. Potem zatelefonowała do mamy. Powiedziała jej, że wyjeżdża na jakiś czas w góry. Spytała o Dawida. Mama odparła, że u niego wszystko w porządku. Poza tym nic nowego. Z jednym wyjątkiem - Alex zrobił testy. Dawid nie jest jego synem.

Przed południem następnego dnia siedzieli w pociągu, który wspinał się w górę doliny.

Ich wagon przypominał zabytek. Miał drewniane wykończenia i hałasujące szyby. Zorro uczepił się kurczowo Joe. Cały drżał.

- To dobrze, że się w końcu przekonałaś, iż Dawid jest moim synem.

- Przecież nigdy w to nie wątpiłam - skłamała. Góry na zewnątrz były coraz wyższe. Engel przyłgął

twarzą do hałaśliwej szyby wagonu. Jej chłód przynosił mu ulgę, a może po prostu czuł się wtedy bliżej gór.

Podnóża szczytów tonęły w oszołamiającej zieleni łąk. Domy były ciemnobrązowe albo brązowo-białe. Krowy tak samo.

- Jak barwy St. Pauli - zauważył Engel. - Wynajmiemy sobie taki dom. Na środku bezkresnej polany. Będziemy mieć dwie krowy i wielki ogród. Z dwóch krów, ogrodu, może jeszcze paru kur, da się już wyżyć.

- Nie da - zaprzeczyła Joe. - Musisz mieć choćby na ubranie albo abonament telewizyjny.

- Będziemy mieli bernardyna. I może jeszcze osła, Dawid Che będzie miał na czym jeździć, gdy podrośnie.

- Podobają mi się te domy. I w ogóle w górach jest pięknie.

Zorro dostrzegł ogromny masyw z ośnieżonym szczytem. Wysiedli z pociągu na najbliższej stacji. Engel odnalazł również tamten pensjonat. Zapadł zmrok, ale z okna ich pokoju ciągle widać było błyszczący w słońcu wierzchołek góry.

W pokoju stało łóżko z ciemnego drewna. Leżały na nim ciężkie, pękate poduszki w niebiesko-białą kratę. Zorro legł skulony na łożu. Joe owinęła mu wilgotny ręcznik

wokół głowy. Położyła się obok. Engel wtulił się w nią mocno. Czuła, jak drży. Po pewnym czasie udało mu się nawet zasnąć.

Wyruszyli o świcie. Engel miał na sobie bluzę z podobizną Che Guevary. Patrzyli, jak złotoczerwony blask spowija wierzchołek góry. Najpierw sam szczyt, potem złota poświata powoli spłynęła po całej górze, docierając w końcu do jej najniższych partii. Rozległo się pianie kogutów. Wokół rozpościerały się ukwiecone łąki. Wspinali się wąską ścieżką w górę. Engel musiał na chwilę zatrzymać się, gdy nawiedzały go drgawki. Joe nalegała, by odpoczął. Zresztą sama nie miała już siły. Ale Engel nie chciał przerywać wspinaczki.

- Jestem twardzielem czy nie? - mówił.

Przystanęli, by napić się wody ze strumienia. Joe stwierdziła, że nie dadzą rady. To strasznie daleko, a ścieżka robi się coraz bardziej stroma. I że to nie ma sensu ze względu na jego stan.

- Wiesz, że Che Guevara całymi miesiącami przemierzał boliwijskie góry we wszystkie strony. Nękaną przez malarię i inne choroby. I on wiedział, że nie ma szans.

Musieli wspiąć się po skałach. Oderwane podeszwy wisały. Zapadali się po kolana w śniegu. Engel niezłomnie parł do przodu.

Niewielki krzyż znaczył wierzchołek góry. Joe uczepliła się kurczowo ramienia Zorro. Miała lęk wysokości i wszystko wirowało jej przed oczami.

- A nie mówiłem? To jest właśnie totalna wolność! -zawołał Engel. Przestał się trząść. Stał nad samą przepaścią, pochylając się lekko do przodu. Machał luźno rękami.

- Uważaj - ostrzegła go Joe, choć sama trzęsła się ze strachu.

- Popatrz w dół - zachęcał ją Engel. - Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mendy tego świata wyglądają z góry jak pieprzone mrówki? Myliłem się. Ich w ogóle stąd nie widać, tacy są mizerni.

Joe próbowała spojrzeć w dół, lecz natychmiast dostawała silnych zawrotów głowy.

Engel podszedł jeszcze bliżej krawędzi.

- To jest właśnie totalna wolność. Gdy całe to gówno jest tak daleko, że już go nawet nie widać. Czy teraz mi wierzysz?.

- Sama nie wiem. Wszystko zaczyna tańczyć, gdy patrzę na dół.

- Nad tymi szczytami unosi się duch wielkiego Che. On był ponad całym tym bagnem. A po śmierci czasem zagląda tu, by ponabijać się z takich pajaców jak Castro czy Kennedy.

Doliną nadciągały srebrnoszare chmury. Spowity skalisty szczyt góry. Wyglądało to tak, jakby pod nimi falowało morze waty.

- Czy to nie zabawne? Słońce świeci wyłącznie dla nas. Chodź, urządzimy sobie spacer w chmurach.

Joe bała się coraz bardziej.

- Engel, mgła robi się coraz gęstsza. Potem nie znajdziemy drogi powrotnej.

Chodźmy już.

- Dokąd?

- Z powrotem na dół.

- Na dół? Raczej nie. Nie dam rady. Wrócić na dół do tego gówna.

- Dasz radę, bo jesteś twardzielem. -Joe drżała z zimna. Zaczęła powoli schodzić na dół. Gęsta, ciemnoszara mgła otulała ją ze wszystkich stron. Panowała absolutna cisza. Nagle usłyszała dobiegający z daleka odgłos spadających kamieni.

- Engel! - krzyknęła. Ponownie zaległa cisza.

Mgła wokół niej układała się w nieruchome pasma. Joe dostrzegała zarysy skał. Chwilę potem ujrzała nad sobą morze chmur. Obejrzała się na lśniący szczyt. Engela już tam nie było.

Otworzyła szeroko oczy. Pojedyncze promienie słońca prześwitywały przez grubą warstwę chmur, padając na powierzchnię jeziora. Na srebrzystoszarej tafli Joe dostrzegła kilka kaczek. Wiedziała, że musi wrócić najbliższym pociągiem. To pewne. Zaraz mu to powie. On już nie zdąży na najbliższy pociąg.

Joe mieszka w Berlinie, samotnie wychowując Dawida. Po maturze planuje studiować z Asi archeologię.

